

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 11

LONDYN

L I S T O P A D

1944

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ODEJŚCIA I POWROTY

RODZIAŁ XXI

(Fragmenty z powieści)

Manuel zasunął klapę od razu, gdy tylko czołg ruszył, bo widział jak pierwszy szwadron, który przeszedł przed nimi, podniósł za sobą niskie, zagęszczone żółto, tumany kurzu. W czołgu nastąpił półmrok. Manuel widział wyraźniej tylko ręce, nos i podbródek kierowcy, w prawo od niego odróżniał przed sobą ciemny zarys kurzu, czuł na prawym kolanie pustą sztywność torby czekającej na łuski wystrzelanych pocisków. Gdzieś przed sobą przeczuł, bardziej niż dostrzegł, metalowy chwyt jarzma którym „naprowadza się na kierunek strzału lufę karabinu maszynowego”. Przypominał sobie ostatnie dzisiejsze ranne lekcje Edwarda. Sprawdził — i doznał uczucia ulgi. Istotnie, za słabym ruchem ręki lewej cała biza przegięła się ku lewej, potem ku prawej, potem wprost. Poczul, że nie jest zupełnie zagubiony w maszynierii Cromwella. Och, oczywiście, jest to zaledwie, abecadło czołgu, umniejszał sam własne wrażenie, ale jednak był znacznie pewniejszy. Trema pozostała poza ciasnymi ścianami czołgu.

Z ruchem lewej ręki luneta podjechała jakby sama przed prawe oko Manuela. Manuel przypomniał sobie właśnie, że gumowa ochrona lunety była wczoraj cholernie zakurzona — trzeba dbać o szczegóły — sięgnął po popielatą skarpetkę, która w czołgu służyła za ścierkę „od lepszej roboty”, przetarł. Poczul na sobie w tej chwili uważny wzrok kierowcy i pomyślał co tamten o nim myśli. Jako o poszukiwaczu wrażeń? Zbieraczu guzów? Frajerze? Manuel chciał być metodyczny. Przetarłszy gumę ścierką wziął chustkę, przetarł jeszcze, kiwnął z zadowoleniem głową — pozornie dla siebie, naprawdę dla kierowcy. Nie był to tylko snobizm. Manuel chciał tym wszystkim umniejszyć jak tylko mógł ów niepokój jaki musieli mieć załoga idąc na dalekie jak obecnie zadanie z dwoma zupełnie sobie nowymi członkami — dowódcą, Edwardem i przednim strzelcem — Manuelem właśnie. Manuel wiedział, że te drobne psychologiczne zabiegi, podobne tym które stosuje dentysta w stosunku do zbyt nerwowych pacjentów dają niemniej pożądane skutki; napełniają spokojem. Manuel nauczył się już i tej prawdy, że spokój w czołgu jest tym samym czym smar w jego motorze — musi dochodzić wszędzie, musi przenikać wszystko, inaczej możliwości niebezpieczeństwa rosną niwspól-

miernie szybko. Manuel powiedział sobie, że naładuje się spokojem ruchów, słów, milczenia.

Przetarłszy lunetę przytknął oko do jej gumowej ochrony. W ten sposób z ręką prawą na spuścić brazy, z lewą na jej uchwycie, był naprawdę przednim strzelcem. Przez krągłe, jakby powiększające, szkło celownika widział teraz przed sobą spory szmat świata, który pozostał jasny gdy nad nimi zamknęła się ciemność czołgu i był tym bardziej świecący że mijali właśnie rżysko za którym stali przez te dwa dni, gdzie przeszli ten nalot i spędzili noc. Od rżyska, jak przewidział, gąsienice czołgów podniosły żółty kurz i poprzez ten kurz dopiero dostrzegł Manuel posuwające się powoli grube wieżycy czołgów. Słońce poranne świeciło — niebo było blade przejrzyste — prawie jesienne. Wieże czołgów nie bały się niskiego kurzu i miały klapy otwarte i Manuel poznał w pierwszym przed sobą zaraz porucznika Lamberta. Smukły porucznik wyglądał sam jak ludzki maszt swej radiostacji — wysoki, górujący nad czołgiem — Manuel zaraz poznał jego długi silny kark, czerwony od opalenia, beret założony na ukos, wysunięty podbródek, ostro zakrojony nos. Oczu nie widział ale pamiętał szaroniebieskie przymrużone oczy porucznika Lambe ta. „Czy Pan nie wie panie po uczniu — pamiętał jak onegdaj po przełamaniu lodów mówił jemu Manuelowi, ten chłopak, — że nieraz miałem ochotę strzelić panu w łeb?” „Domyślam się, odpowiedział wtedy Manuel, że będąc tak młody nie może Pan być również i równie mądry”. „Za to co pan pisał o oficerach”. „Drogi panie, właśnie pan jako młody oficer, był najbardziej zainteresowany w tym aby nie było jak było”. „Moja żona jest z Rosji, przrzucal się Lambert, toteż ona pana ładnie nosi w sercu, za to co pan pisał o tym”. Jeśli tylko logicznie myśli słyszy, swoją odpowiedź, Manuel te zapewne nienajgorzej; przecież należałem do nielicznych Polaków londyńskich, którzy byli zwolennikami paktu, bez którego ona nigdy nie wyjechała-by z Rosji, a pan nigdy by nie był jej mężem. — Tyle razy słyszał Manuel to zarzuty i ile razy rozbrajał je tak samo, że nawet nie słuchał słów porucznika Lamberta. Teraz patrzył przez lunetę czołgu na tę jego urodną młodość. — I naraz odczuł żal. — Wojny powinni robić koślawcy, niewydarzeńcy, szmelc ludzki nie takie śliczne chłopaki, jak sosny gonne, na których czekają w domu takie dziewczyny jak jego. — Czołg przegiął się i wstrząsnął. W kręgu lunety zachybotwały drzewa szosy na Falaise.

Angielski żandarm w śnieżno białych szelkach z „MP” na opasce, w białych kamaszach, kierował ruchem jakby byli na Piccadilly. Tak, to są te angielskie niezmienności, jak cup of tea, jak kominek w messie, jak głębokie fotele, jak królewski portret, jak dancing i pub. Znak widomy niewidomego Imperium usunął się przed czołgami, kiwnął energicznie prawą ręką, zakrzyczał coś — i już miał oczy zwrócone na następne w tyle wozy. Czołg zachwiał się znowu ku przodowi jak wtedy, potem ruszył jakby w dół. Celownik był teraz tak przesłonięty płowym kurzem, że nie było nawet na co patrzeć. Przez radio, dotąd milczące, zaczęły biec jakieś wołania. Manuel poprawił słuchawkę. Wołania były angielskie. Pytały się ponawiające wołania jakiegoś Harry czy słyszy i czy everything było o key. Manuel nic nie widział, tylko zaczęły coraz częściej przystawać i poprzez ciecz kurzu przeblyskiwały szkarpy domów i musieli zamknąć wentylator bo zawiąło ich słodkim, trupim zapachem. Byli zbyt blisko postoju — to nie mógł być jeszcze front — to musiało być owe Cavincourt na wzgórzu, z potrząskanym kościołem wysoko, skąd żołnierze przynosili skwaśniały cyder i gdzie pod gruzami leżało wielu Francuzów i Niemców. — Tak to było Cavincourt, bo teraz znowu wjechali silnie w dół. — Manuel przekręcił wentylator i w rzeczy samej buchnęło zaraz strugą zimnego powietrza, jak to które znał z tych łąk gdzie nocowali po dwakroć. Wentylator nie zmylił go; ale zmyliła go za to luneta. Przez szkło lunety jak przez podłużną szparę peryskopu wyjrzała bowiem z kurzu nie zieloność łąk, ale płowość złota pszenicy.

Manuel chciał przez chwilę zapytać Edwarda gdzie są. Nawet podniósł do ust mikrofon i omal nie nacisnął, kiedy się wstrzymał. Oblała go, jak ten pot, gorąca wściekłość na siebie. Czy nie on właśnie podchwytował w poprzednich zadaniach, to gadulstwo przez radio? Czy nie było wiadomo, że Niemcy słyszą ich tak jak oni słyszeli nieraz na tej samej fali rozmowy niemieckie? Wreszcie czy sam Baca nie zapowiedział wczoraj, nie powtórzył jeszcze dzisiaj, aby ograniczyć radio do minimum? Manuel opuścił mikrofon. Czółg kołysał się, przewalał. Droga widocznie kamienista i twarda. Stawało się coraz goręcej i smary śmierdziały coraz duszniej. Wentylator z trudem wpierał w te gęste wyziewy zimne, tankiem, pachnące powietrze. Czółg przestał przystawać co chwila—widocznie pułk rozwinął się już z kołomy, czy w każdym razie wyszedł z zatorów frontowego zaplecza. Kołysał się teraz dość monotennie i miarowość tej jazdy poczęła działać tak jak gorącość, jak duszność, jak ciemność i jak ciasnota. Usypiająco Manuela ogarnęła senność. Senność zdawała się ogarniać także resztę załogi za nimi; nawet radio przestało się odzywać. Nic dziwnego, pomyślał Manuel i przypomniało mu się tamto znużenie, potworne znużenie po wczorajszym popołudniu kiedy ich wozy, rozstawione w prawo od szosy, wzięły fale alianckich bombowców za wyznaczony target. Znużenie, potworne znużenie, po tych kilkudziesięciu minutach grozy. Potem, w nocy, ten nalot niemiecki i ów ranny, który przypelzł pod ich czółg w mroku. I krótki łączowy sen nad samym ranem. — Tak. Mieli prawo popadać teraz w odrętwienie, mogła ogarnąć ich senność. Manuel pamiętał, że do linii niemieckich mają jeszcze dobrych kilka, może dziesięć mil i że pułk czółgów nie porusza się tak szybko. Był więc czas.

Ale czas się dłużył, a sen jednak nie przychodził. Przeciwnym zastrzykiem okazał się niepokój. Drażący, zaskórny lęk. Manuel uświadomił go sobie, zlokalizował i nie tail. Nie wstydził się nawet, że go odczuwa. Jeśli *tu* jest, jeśli siedzi w tym Cromwellu *teraz*, jeśli ma ręce na karabinie maszynowym czółgu a oko na lunecie, to przecież tylko i wyłącznie dlatego, że tego chciał, że całym szeregiem własnych, pobieranych kolejno decyzji, dotarł aż właśnie tu. Uświadamiał sobie po prostu ów niepokój jak lekarz uświadamia sobie chorobę — swoją własną. Nic więcej. Uświadamiał sobie jej źródła. Cokolwiek by było, Manuel nie był już nowicjuszem. To nie była pierwsza jego wyprawa, ani pierwsze jego zadanie. Słów majora na odprawie słuchał już teraz inaczej niż przedtem. Już umiał sobie przetłumaczyć ów język fachowych określeń (— rozpoznać — dotrzeć — uchwycić — kierunek na — stwierdzono broń pancerną npla) — na język ludzkiego niebezpieczeństwa. Gdy na odprawie czarny ołówek Majora wytyczał grubą ugiętą strzałę po płowych i zielonych plamach mapy, Manuel umiał już odczytać, z długości tej strzały i z plam tej mapy czy zadanie będzie należało do łatwiejszych czy bardziej trudnych. Manuel umiał już sobie dopowiadać resztę z milżeń, z uwag ubocznych, zawahań dodatkowych, pozornie nic nie mówiących, rozkazów jakie padały potem. Wiedział, że idą dziś daleko w głąb; że mają przed sobą teren bardzo niejednolity, parę lasów, parę zwartych miejscowości, że Major troszczył się z pewnym naciskiem o to by możliwie blisko za czółgami szły recovery i sanitarki i ile będzie sanitarek, a recovery służą tak samo do wyciągania czółgów jak sanitarki do ratowania ludzi. Obcy który przybędzie do dywizjonu bombowego nie zawsze wie jak inaczej tłumaczyć się na język niebezpieczeństwa wyprawa na Mannheim, Hamburg, Bremę czy Milano, ale ci co są w dywizjonie wiedzą. Manuel tak samo wiedział.

Od paru dni straty w pułku przestały się dla Manuela ograniczać do pewnej liczby czółgów i pewnych nazwisk ludzi. Teraz Manuel coraz częściej umiał skojarzyć nazwiska z wieczornej listy strat z jakąś twarzą, ruchami, głosem, zdaniem, uśmiechem. To wszystkie nie byli *jeszcze* ludzie z nimi zżyci, zaprzyjaźnieni jak tylko wojna zaprzyjaźnić może; ale to *już* byli ludzie z którymi obcował, których znał. Coraz rzadziej wieczorna

lista strat nie zawierała dla Manuela nazwisk nie dających mu się skojarzyć z kimś żywym. Ale też w ten sposób wielka sprawa śmierci nabierała cech codzienności.—Ludzie przyzwyczaili się do niej jak do porzuconych na drodze zwłok niemieckich, jak do smrodu spod gruzów, asymilowali ją do życia żartami, omawianiem praktycznych, technicznych szczegółów. Ludzie starali się ją ustrawnić, a czas pracował na to, czas zabijał zdolności reakcji. Otóż Manuel znalazł się na pograniczu obu tych sfer i etapów. Już uświadomił sobie różnorodność i bogate i proste owej techniki przy pomocy której odbywa się tu nieustanne przechodzenie z poza życia w śmierć; *jeszcze* nie zdołał na to zjawisko zupełnie zobojętnieć. Być może, że im intensywniej ktoś myśli, tym do owego zobojętnienia przychodzi później. Manuel, jak lekarz badający własne choroby, wie dobrze, że właśnie ów etap pośredni jest idealnym dla bakterij niepokoju. W poprzednim nie mają jeszcze danych aby się tak pięknie rozwinąć; w następnym natrafiają na grunt zbyt zatwardziały, aby mogły tak pełnie rozkwitnąć. Manuel uśmiecha się w ciemność czołgu do nowej swojej myśli. Jakże tu jest *inaczej*. Czy kto by pomyślał, czołgu nie znając, że można w nim podchodząc do walki, tak myśleć właśnie, analizując, dociekając, odchodząc? Przecież czołg to nowoczesność, maszyna i walka. Manuel uśmiecha się do tych dzieciennych poglądów jak sobie mały Jasio wyobraża wielki czołg! Gdyby teraz był z powrotem w piechocie i tak jak jedzie, szedł na linię, o ile mniej, wcale prawie, mógłby myśleć o rzeczach o których teraz myśli. Łykałby kurz drogi, uwierałyby go buty, pociłby się z gorąca albo marzył z zimna, ciążyłby mu plecak, albo cekaem, odwoził uwagę nękający oderwanymi pociskami ogień, jeszcze dalekiej artylerii, albo wielki spór na szczelbu małej drużyny czy starszy strzelec Omieciński nie niósł magazynka o pięć minut dłużej od kaprała Główniaka? Tu jakżeż jest inaczej. Wszystkie tamte sprawy, uwagę odwozzące, zmały lub odeszły, świat nawet jest widoczny tylko przez jednooką lunetę i wąską szparę peryskopu. Może kierowca, radiooperator czy dowódca ma niezwolnioną uwagę; on strzelec przedni, ma ją w zupełności. Dopiero przed samą akcją włączy się w pracę pułku; teraz, czeka. Mogłby tak samo spać. Może myśleć. Nic bliższego, bezpośredniego, nie ściąga, jak rzemień ostry, jego myśli. Mogą odbiec daleko, rozbiec się szeroko, oddzielić się od tego wszystkiego. Zawisnąć, ogarniając naraz to co było, co jest i co zaczyna się stawać. Manuel ma bowiem świadomość, że coś zaczyna się stawać. Pewne rzeczy już właściwie zapadły z chwilą gdy przed—ileż to było? pół godziną, godziną? Nie; tylko przed minutami czterdziestoma — po *tamtej* stronie drogi na Falaise zasunął kłapę czołgu za sobą. Wrażenie było pewno takie jakie ma załoga bombowca gdy zamknięto drzwi za ostatnim członkiem załogi, gdy odrzucono schodki i pękają ostatnie nity z ziemią. Bombowiec wszedł już wtedy na tory swoich przeznaczeń. Aby doszedł do swoich losów potrzeba już tylko czasu.

Porównanie z lotnictwem przypomniało naraz Manuelowi tamte urywane dyskusje z ostatnich dni w pułku. Pułk miał kawaleryjską nazwę i kawaleryjskie tradycje. Patrzyli Manuelowi w oczy; a nam, co Pan wytknie? Może stosunek do żołnierza? Manuel mógł powiedzieć, że stosunek do żołnierza, stosunek z żołnierzem jest nie tylko dobry tam gdzie armię ogarnęła rewolucyjna fraternalność ludzkości, taka jaką gorzały masy jakobińskiego żołnierza, z jaką niósł swój pożar bolszewizm, z jaką toczyły swój bój przez trzy długie lata międzynarodowe barykady Hiszpanii. Bywają oddziały które zespala to co nazywa się pułkową tradycją, to co nazywa się zżyciem. Tak było z pułkiem w którym szukał szczęścia wojennego Manuel, pułk miał sztandar przeniesiony z Polski, jeden z nielicznych — trzech? — sztandarów pułkowych jakie poszły na Zachód po Wrześniu. Dowódcy pamiętali tamte czasy. Wachmistrze służyli po lat dwadzieścia. Manuel mógłby odrzec, że niemniej świetne pułki były niejedne pułki wolnego kozactwa carskiej armii, i niejednen staroaustrjacki

Montekukulego i niejedyn pruski huzarów śmierci, Tradycja może wytworzyć wielki duch pułku; ale tradycja nie wytworzy wielkiego ducha armii, nie wskóra tam gdzie się świeżego rekruta wmieści i wrzuca, śle w bój dywizję po dywizji; armię po armii. To że ten pułk był takim jakim był, że nie miał się co bać krytyki niczyjej to było tylko potwierdzeniem generalnej, ale mającej wyjątki reguły. Manuelowska przekora uderzała za to, w co innego; w kawaleryjskość pułku! Nosicie — powiadał wtedy Manuel — swą kawaleryjską nazwę, macie wachmistrzów i rotmistrzów; i wszystko inne. Chcecie koniecznie być przeszłością. Tymczasem wbrew sobie jesteście przyszłością. Bezkarne nie zamienia się konia na motor, tak samo jak w rozwoju ludzkości nie pozostawały bez głębokich społecznych skutków zamiany łuków na muszkiet, żaglowca na parostatek, ani wrzeczona na warsztat tkacki. Ułan który przestał czyścić konia, a nauczył się prowadzić motor, nie jest tym samym człowiekiem; pięciu ułanów zamkniętych w czółgu, pełniących różne funkcje i dzielących wspólne losy jest bliższych załodze bombowca niż plutonowi ułanów. Chłopak z kurnej chałupy nie stanie się innym człowiekiem gdy go wsadzicie na konia, ale stał się innym człowiekiem, gdy go nauczyliście operować radiem i używać Morsego. Gdybyście chcieli, panowie, być konsekwentni, musielibyście siadać do waszych czółgów z kawaleryjskimi ostrogami u wysokich butów; a siadacie w szoferskich overallach, bo tak wymaga czółg, to jest życie. I to wasze obstawanie przy tej teoretycznej kawaleryjskości jest szczątkową formą tego co już w was samych życie zmiotło. Bliżej wam, powtarzam, do dywizjonu Sterlingów czy Lancasterów niż do szwadronów siwków z obrazów Kossaka. — Manuel tak mówił, i było trudno zaprzeczyć; ale teraz niemal żałuje, że to mówił. Pamięta jak dostrzegł przymglenie smutku w czyichś oczach. Oczy te szanował. Przyznawały mu milcząco rację. Były tu wyrocznią. Ale mówiły: „Może to i prawda co twierdzisz, może jest tak właśnie, może matematycznie masz rację. Ale zrozum! Dla nas ta kawaleryjska nazwa, może i ten wachmistrz i rotmistrz to bardziej pamiętki, niż dzień dzisiejszy. Ale zrozum i spamiętaj, że to nas trzyma, że to nam przypomina tamto, że to, jak ten sztandar ocalony z pożogi wrześnie i rozgromu państwa, jest dla nas, wśród nas, dotykającym strzępem ojczyzny. Zrozumiałeś to? Więc uszanuj”.

Czołgi, przystanąwszy ruszyły dalej. Zjeżdżały teraz niezawodnie w dół. Manuel, spojrzawszy w lunetę widział teraz dość dalekie horyzonty, samotne, wyrosłe drzewa w polu, — jeszcze nie rozróżnia jakie, — jakąś farmę dużą po lewej. Jakżeż czółg nie ma pograżać w myśleniu skoro tak jedzie aż w ciemność? Zjechali w wąską, wdrażoną w grunt drogę, i po bokach jej chwiały się uschłe, płowe osty, jak stepowe bodiaki. Kurz, wzniesiony przejazdem poprzedzającego ich czółgu osypywał je co chwilę żółtym nalotem. Manuel przejrzał raz jeszcze działanie brazy, rozpiął sobie u szyi overall i koszulę. — Ulżyło. — Czółg potoczył się dalej, jak w ciemność. W ciemności dalej toczyły się myśli. Manuel czuł, że odchodzą one jeszcze dalej, wciąż dalej od tego teraz, że na niego samego w tym rozchełstany drelichowym overallu, z ręką prawą u spustu brazy, w ciemni Cromwella, patrzą jak na obce, dziwne zjawisko. Here you are? pytały myśli. Yes, odpowiadał strzelec przedni; and I am quite happy to be there. A wiesz co to znaczy, być tu? pytały myśli. Wiem, uśmiechał się Manuel. — Chciałem. Chęć.

Teraz myśli nie gonily pułku i nie szukały z nikim sprzeczki o konie czy motor. Manuel odrzucił głowę w tył, w siedzenie, tak że nie patrzył już nawet przez lunę. Po co? W mroku za to wracało życie. Własne życie. Całe. Manuel nie patrzył na nie teraz jak na swoje własne, związane z fizycznym, biologicznym istnieniem człowieka, który siedzi teraz po lewej ręce kierowcy. Manuel patrzył na nie jak na czyjeś życie które by on, Manuel, układał, lub — lepiej — pisał. Czy pisałby je tak właśnie jak było napisane dotąd, czy może inaczej, gdyby rozdziały, już zapełnione

pismem, wolno mu było zmienić, poprawić czy przekreślić? Czy obecny rozdział — który jeszcze — czy prawie jeszcze — mógł zmienić — zmieniliby też? Czy gdyby... (Niepokój, w tym beczynnym rozpamiętywaniu, wdrażał się wciąż głębiej). Czy gdyby?... Czy jeśli teraz, w godzinę lub dwie... Za dzień lub tydzień?... bo to przecież może być — Manuel wie — przyszedł koniec całej powieści? Powieści zawierającej życie? To właśnie życie co w tej ciemni, jak w kinie, przepływało na ekranie myślenia? Czy byłby to właśnie taki koniec jaki byłby najlepszy? Jakiego by Manuel najbliższemu z bohaterów swej powieści mógł życzyć? Nie? Tak? Manuel sobie nie życzy. Ale przyjmuje. Il admet. Owszem. Skoro to życie było właśnie takim jakim było, może najlepiej by było skończyć je teraz — i takim właśnie akordem.

Czy w takim razie to co dziś robi uważa Manuel za najlepsze, najważniejsze, może jedynie ważne? Czy dokonywa tym aktem jakiegoś „powrotu do szeregu” — a coś innego, co było *jego*, przekreśla? Nie. Czuje, że nie. Manuel, strzelec przedni w załodze Cromwella nie przekreśla, nie odmienia niczego z tego w co wierzył, w tamtych ostatnich trzech latach walki, Manuel człowiek, Manuel pisarz. (Manuel zatrzymał wentylator czołgu: zbliża się południe i powietrze jakie teraz dolatuje, gorące powietrze z pól nie jest chłodniejsze od atmosfery czołgu. Ręką lewą poszukał manierki, pomocował się z korkiem, wypił łyk ciepłej wody, o metalowym smaku, odłożył; zawsze to lepiej. Miał ochotę zagadać do dowódcy, przez radio. Ale to milczenie czołgowych radiostacji, nakazane dziś rano przed wyruszeniem na cały marsz zbliżania, paraliżowało — niepotrzebnie — i jego w mroku. W duszności na nowo przyływały myśli.

Film życia, och, jak dobrze mu znanego życia, wypełził z powrotem na ekran myśli. Manuel patrzy na nie, prawie od początku, z dziwną melancholią. Widzi naraz jego błędy początkowe, małe i śmieszne dzisiaj, wydające się pewnie wtedy ważne i tragiczne — o tak jak upadki i pierwsze kroki dziecka. Jakże daleko poszedł! Jakże daleko odszedł! Manuel jest rad, że tak właśnie, po wielu potknięciach poszedł, że jego droga nie była, stamtąd, skąd wyszedł, łatwa do odnalezienia; o nie! Manuel jest rad, że odszedł tak daleko, że między tym co było, a tym czym on sam teraz jest zaległa tak wielka droga. Że przebyć jej już z powrotem nie sposób. Jak wyjść już z czołgu. Jest wdzięczny temu wszystkiemu co mu w tym okresie — wypadki, książki, ludzie — umożliwili to właśnie odejście. (W ciemności i czołgu, i pamięci, migają teraz słowa, zdarzenia, twarze, i gdy Manuel skłania teraz głowę, to nie tylko dlatego, że Cromwell zachwiał się na wyboju.) Tak. To szukanie, długie i trudne, i to przyjscie z daleka — oto rzeczy jakie podobają mu się w tym filmie. Podoba mu się trud szukania i męka myślenia. Pamięta jak w jego pokoleniu brano gotowe myśli, seryjnie obtoczone światopoglądy, masowo importowaną manufakturę, latając co najwyżej faszyzującą kamizelkę, chrześcijańsko-socjalnym pułowerem, jak brano co było na najbliższym rogu ulicy, właśnie byle wykluczyć sobie trud szukania. (Żałuje ich teraz; jacy biedni!) Oczywiście, byli za to łatwi do zrozumienia. Nie musieli się nigdy skarżyć na brak zrozumienia innych. Mówili łatwo, jak mówi się łatwo rzeczy wykute i cudze. Jemu przychodziło trudno sformułować każde swe zdanie. O, czasem, jakże trudno. Przychodziło mu z trudem sformułować własne swe życie. I to — tak teraz sądzi — było właśnie dobrze, że było tak, nie inaczej.

Ale film to nie tylko człowiek, to jeszcze i czyjeś życie. Nie wystarczy sobie sformować. Trzeba pchać tę rzecz poza sobą. Nie wystarczy doszedłszy do jakichś twierdzeń wcielać je na użytek własny; trzeba by dawać innym. Nie wystarczy przejść migotliwym przechodem przez pewien okres lat — ot, gdzieś z jakichś jarów nad cichą rzeką Słuczą do innych jarów nad błotną rzeką Orne. — Trzeba zostawić *ślad*. Trzeba

wejść w glinę dróg narodowych koleiną, trzeba przejść przez ich rzyśko grubym rozkrojem lemiesza, czy — lepiej — rozmieścić je ciężkim ugniotem traktorowych gąsienic. Kiedy u innych zużyte dawno słowo meflo dla narodu omlot przeżutych myśli, trzeba szukać nowych rzeczy do podania, trzeba z rzeczy widzianych, słyszanych, zrozumianych, dopowiadać nowe, jut zejsze. Czy nie należy odrywać starego bluszczu, choć sławą przylegli do ścian, jeśli niesie dziś tylko wilgoć, kryje zmurszenie, przesłania światło? Trzeba. Czy nie trzeba dopowiadać do końca myśli nowych choćby cięły jak nożem? Czy trzeba unikać myślenia? Nie. Szukania? Nie. Czy Manuel unikał szukania? W ciemni Cromwella, z prawem kolaniem wpartym o próżny worek parciany, czekający na łuski jeszcze niewystrzelonych pocisków, Manuel wie, że nie. Nie obruszałby tak często, nie gniewał, ani jątrzył. Przeciwnie. Nie w tym leży troska Manuela. Leży w daremności zupełnej tych wysiłków w których zmęczył życie i stargał myśli.

— „Kierowca: nie wjeżdżajcie w tę wyrwę! Stać. Manuel: możesz wyjrzeć”.

Południowe słońce było tak oslepiające po mroku, że Manuel widział tylko białe i pożółkłe plany domów, potem jakąś ulicę, potem kościół. Cóż to, już będzie? Nazwy małych osiedli rozmieszczonych po szlaku wypadu na Jort, wypadły z pamięci. Mapnik zesnął się gdzieś za siedzenie; nie chciało się teraz wstać poń z powrotem do ciemności! Manuel stwierdził raz jeszcze, że Stuart ma tę — jedyną chyba — wyższość nad Cromwellem, że wyskakuje się czy wchodzi do niego nieporównanie łatwiej; i pożałował Stuarta. Ale co za różnica motoru, opancerzenia, uzbrojenia. I jaka linia! Wojna Cromwellami byłaby pięknym raidem — gdyby nie to, że Niemcy mają lepsze pancerze i lepsze działa swych panther i tajgrów.

Jakakolwiek by nie była ta miejscowość przysiadła w słońcu, pyłe i opuszczeniu, Manuel wiedział, nie pytając, że tu już postój ostatni. Ostatni zandarm brytyjski — wciąż białe szelki i getry — został za tą wioską. Droga była już prosta. Nikt nie miał już jej wskazywać. Domy tu były rozbite, z powywalanymi bebeczami materacy, papierów, szkła. Ściana jedna ołamała się jakby — legła gruzem poniżej — i odsłoniła jakieś wnętrze — duża, ciemna komoda, nad nią obraz w ramach. Czółg stał tak blisko, że Manuel mógł poznać krągłą czaszkę, kałmuckie kości policzkowe i siwe, opuszczone wąsy Jerzego Clemenceau zalane sierpniowym słońcem normandzkim. Z izby wyszedł Kanadyjczyk, w rozchelstanej na piersi koszuli, ogorzwały i brodaty. Zapytał rzeczowo, nie zwlekając, czy chcą sidru? Pili, gdy objaśniał niepytany, że tamci są za tym skłonem, mają umocnienia w lesie i trzymają twardo. Był z Montrealu i mówili po francusku.

Okazuje się, że będą tu stali jeszcze; dragoni, czy piechota która miała pójść za ich wylomem podciąga się dopiero, czy też jakieś inne sprzęgło dzisiejszej opeacji nie jest w czymś gotowe. Chwila. Słońce praży teraz, jakby za wszystkie czarne czasy w czołgu, ale milczenie południa jest jeszcze bardziej przejmujące. W załomie drogi przejdzie czasem jakiś żołnierz kanadyjski; kuraki małe, bezpieczeństwa i głupie włożą, nie wiedzieć po co, za gąsienice czołgu. Na murze obok świerszcz strzyka, ale nie sposób go wykryć. Schowany jak sniper. Myśli Manuela spływają dalej, szerokim, chłodzącym nurtem.

Nie tego mu żal co robił, ani tego że się stargał w tej walce, bardziej może niż ciało człowieka może potargać pocisk. Żal mu bezskuteczności tej walki. Prowadził ją najlepszym ze swych sił, rzucił w nią wszystko co posiadał. Miał kiedyś wrażenie, że Wielki Wstrząs jaki przeszli co-kolwiek odmieni. Każę zastanowić się nad tym co było złem. Każę nasterować na inne tory. Teraz z wysokości swego Cromwella mógł Manuel widzieć po latach czterech nie tylko jak daremne były jego wysiłki, ale jak niczego nie przeorał ten wstrząs. Daremność. Głucha zawistna

niechęć do każdej krytycznej myśli; niewolniczy, bydlęcy kult dla najgłupszej chwalby co swojskie, ze swojską głupotą na czele. Pełne zwycięstwo klik, klanów i kast przeciw samotnej jednostce i biernej, zniechęconej, bezradnej masie. Bojaźń przed burzami jakie nadciągały nieuchronne, złość do ludzi co ani nie chcieli pleść, że burza nie nadciąga, ani nie chcieli twierdzić, że burzę potrafią wrzaskiem odpędzić.

Nie żal Manuelowi ludzi ginących w walce; żal mu ludzi ginących bezpłodnie. — Wypadek. Każn. Pomyłka. — To są najgorsze śmierci. — I oto, gdyby teraz trzeba było zamknąć rozdziały życia, to właśnie byłoby przykre; bezpłodność. Manuel splywa myślą po smutnych szlakach historii. Manuel zna z dociekań książkowych, z archiwów bibliotecznych, z niemego chłodu lektoriów, jak bardzo byli samotni wszyscy, którzy myśleli w Polsce, jak bardzo znienawidzeni którzy ośmielili się przestrzegać. Jest słońce Francji i silniki czołgów nie zgaszone i sieć telegraficzna od pocisków pocięta i świergot świerszczy w gruzach domów, a Manuel pamięta jak dygoczącą nienawiścią był zalewany suchotniczy prorok Skarga, z jaką lubością zadeptywała czerń kontuszowców szkoły i druki ariańskie, jak sejmikowe pałkarstwa zakrzykiwały Myśl. Żeby rozumieć historię Polski, myśli przedni strzelec w załodze czołgu, trzeba nie tylko o tym wszystkim wiedzieć. Trzeba pamiętać, że właśnie najwięksi, Kollątaje, Staszyce, Kościuszki, których dziś obkadza ten który by ich kamieniował wtedy, znosili gehennę, jak w żadnym innym narodzie, o której dziś nikt już nie pamięta. Mało tego. Trzeba samemu w Polsce przeżyć część małą tego co przeżywali najwięksi. Trzeba jak oni widzieć, że trud ich myśli idzie na darmo, a plewa cudzej bezmyślności upaja ów naród. A wtedy zaczyna się rozumieć ile dopiero przejść musieli tamci, jeśli tyle potrafi przenieść w tym narodzie człowiek mały. Ale też z każdym pokoleniem rośnie nędza tego narodu. Bezkarne nie zadeptuje się myślenia. Bezkarne nie hołduje się miernotom. I Manuel zastanawia się przez chwilę czyja tragedia w tym narodzie była największa? Jednostek zahukiwanych i zaszczytanych, czy masy obojętnej na los zaszczuwanych, powolnej klikom i kastom, a potem za swą powolność, za tamtą obojętność, za własne nieocknienie krwawo i boleśnie płacącey.

* * *

Czas dłuży się; postój przeciąga. W lewo od drogi, od tej wsi puste jak kłos próżen ziarna, w prawo od niej, rozciągnęły się ciemnymi plamami na płowości pola czołgi tamtych szwadronów. Kierowca się zdrzemał. Oparł głowę na skraju, podłożywszy ramię pomiędzy żelazo i skroń. Ma jasne, ciemniejące włosy polskiego chłopca, przejaśnione siwymi pasmami. Śpi spokojnie jakby siedział na żniwiarce, w czas żniw, w południe. Jest coś polskiego w tym śnie. Spokój, czy rezygnacja?

Manuel patrzy przed siebie. O dwieście, może trzysta jardów kończy się horyzont. Jest to pole, które łagodnym garbem podnosi się od tej wsi, po czym załamuje linią niemal prostą. Tak faluje, długimi i płytkimi falami, cały chlebny krajobraz Normandii. Za tamtą linią będzie znowu jakieś wgłębienie, kotlina, znowu jakieś pole, jak te, i jakieś miedze zarosłe, i domy, jak te tutaj. Tylko że jeszcze Niemcy. Niemcy. Los... nowy rozdział. Może jeden z wielu. Może ostatni.

Na materacu wyrzuconym z domu śpi dwóch żołnierzy alianckich. Tak samo jak ten kierowca. Tak samo jak inni. Manuela teraz opuściła senność przedpołudnia. Opuściły go wątplenia, żale, wątpliwości. Falami napływa spokój, uroczysty i smutny jak w słoneczny dzień we wsi opustoszałej wojną. W świergotcie świerszcza który zapadł w szczeliny starego muru, Manuel słyszy teraz myśl własną która naraz układa się w rodzaj dziękczynnej modlitwy:

— Boże tych co męczyli się szukaniem, Boże tych co myśleli za innych, wiesz, że jeśli porzuciłem tamtą, trudniejszą walkę, że jeśli jestem tu

w tej walce łatwiejszej, to nie dlatego bym tamtą moją uważał za złą czy błędną. Wiesz, że podjąłem ją nie dla żadnych niecznych pobudek, ale z jedną myślą o dobru moich. Jeślibyś zapytał czemu nie prowadzę jej dalej i czemu jestem tutaj właśnie, jedna będzie moja odpowiedź. Co miałem powiedzieć, rzekłem. Com miał napisać, napisałem. Rzeczy poszły po przeze mnie i pomimo mnie. Ale jeśli myśli tych naokoło mnie poszły innym szlakiem niż moje, to ich losy będą moimi losami. Albowiem, choćby sam szedł w przepaść, jest to mój naród. Nie wiem, coś mi ma-temu przeznaczył z niezmierniej Twojej wysokości; nie wiem który rozdział mej powieści będzie rozdziałem ostatnim. Nigdyśmy jeszcze, my, ludzie, nie byli tak bardzo pyłkami marnymi jak oto; nigdy nie pochłaniała nas tak w nicosć zamieć światów, jak teraz. Ale, jeśliby teraz czy potem miało się to skończyć dla mnie to proszę, niechże pozostanie o mnie to jedno. — Myślą był im obcy, łosem jednaki. — Może lepiej to niż myślami swymi innych wtrącać w przepaść w jaką szli — i raz strąconych, gdzieś daleko, przetrwać i przeżyć. —

— Manuel! jedziemy!

Radio zadźwięczało krótkim, jękliwym sygnałem. Jakby zbudzone nagle. Kierowca ocknął się z drętwy. Przeciąga się jak parobek. Sen południowy skończony. Motory zgłuszają świerszcza. Kanadyjczycy śpiący przed domem poruszyli się, spojrzeli i opadli.

Manuel opuszcza się do wnętrza, zamyka klapę. Jest znowu ciemność. I jakiś spokój. Czółg rusza. Obie ręce Manuela są teraz na karabinie maszynowym. Okiem patrzy w krągłe oko lunety. Czółg przed nim, zaraz za domami, zjechał w bok i Manuel teraz widzi wszystko dokładnie. Szeroki łań potratowany do cna, wielka płowa łysina poła przegięta na tamtą stronę. Horyzont blisko staje się coraz bliżej; y i Manuel ma celownik na linii tego horyzontu. Widzi wyraźnie niedotratowane kłosa i chwasty chwiejące się ciężko na tle nieba; widzi drogę, pylną i rozmytą, która o paręset kroków dalej przelamuje się na tamten stok. Pierwsze czółgi drugiego szwadronu już podjeżdżają pod grzbiet, już dodają gazu aby przejechać go szybko, nim się nie ocknie obserwator artyleryjski. Już są, jednym skokiem, na samej linii horyzontu; jak śmiesznie; całe, aż po wyszlizgane bruzdy gąsienice, na tle nieba. Jakby tam przed nimi kończył się świat. —

„Ankona” dodała gazu: Manuel ma oko na lunecie. Poprzez krzyż celowniczy i podziałkę, widzi teraz jak tamte czółgi zachwiały się wieżami, masztami radiostacji, lufami długimi dział, — i przechyliły na tamtą stronę, w dół. I w tym samym momencie „Ankona” przechyliła się także. Zamiast nieba i bliskiego horyzontu ma naraz Manuel jakąś chwiejącą się panoramę z plam płowych, zielonych i sinych. Wraz z czółgiem nachyla się w dół. Naraz grubę kawały gleby, czerwonej, stwardniałej od sierpniowych spiek furczą jak spod gąsienicy czółgu, przekreślając swym lotem widok. Wita ich wybuch po wybuchu.

Artyleria niemiecka wstrzelana była w ten garb.

ROZDZIAŁ XXII

Odtąd skończyło się wszystko inne. Jest już tylko trzymany oburącz karabin maszynowy, typu Besa; prawa ręka Manuela ujęła go silniej pod kolbę; przy zamku palce są na spustach. Lewa trzyma odgięty od karabinu metalowy drążek, którym tym łatwiej „nakierować na strzał”. Manuel podziwia tę łatwość i ów podziw dodaje mu pewności. Wpojęny w czółg karabin maszynowy chodzi w ręku lekko, jak na zawiasach, w górę, dół, w prawo, lewo. Za nim i wraz z nim idzie posłusznie wzrok Manuela przywarły znowu, ale teraz już na stałe, do szkieł celownika. — Jak to dobrze, że prawe oko mam lepsze, znacznie lepsze od lewego, myśli z dziwną

radością Manuel, i jest to właściwie jego główna myśl teraz, kiedy czołg stacza się z ostrzeliwanego grzbietu. Oko przywarło do gumowej ochrony widzi jak przez teleskop, i w miarę jak Manuel nasterowuje lunę „bazy”, w krąg widzenia podłazi coraz to inny wykrawek tego co jest przed nim. Manuel widzi najpierw rżysko na które wjechali: złe, jazda nietkniętą pszenicą, jak przedtem, o ileż była pewniejsza! Kopki poustawiane na skraju pola budzą nieufność czołgów. Mogą być miny; mogą snipery. Krąg celownika przesuwają się dalej — na prawo wieś w dole samym, a przed nią mgła, zieleń i nie bardzo wyraźne jeszcze: sady jakieś? Tak, sady, widać obielone wapnem pnie śliw czy jabłoni, gęste linie żywopłotów — Manuel notuje sobie te gęste linie żywopłotów — potem dalej zieloność sadu — i to że sad jest rzadko rozsadzony. (Tę okoliczność notuje sobie Manuel także, lecz jako ułatwienie, nie jak tamto.) Z sadem nie będzie niespodzianek. Ale zaraz potem pole wybrzusza się silnie do góry. Znowu Manuel zapisuje w pamięci liczne kopce snopów. Wydają mu się one czemuś dużo za grube i dużo za wysokie niż normalne; pamięta przecież *normalne*; to jest polskie. Kopce są tak duże i jest ich na tym nowym polu wyżej, po tamtej stronie doliny tyle, że przestaniają lizjerę lasu. Bo po lewej, w głębi samej, jest las. LAS. Manuel pamięta go z mapy. Las ten zachodził kwadratowym klinem w ich kierunek marszowy i szedł daleko w lewo, a także w tył, na zaplecze niemieckich pozycji i wszyscy widząc ów podługowaty las na mapie pytali czy jednocześnie z naszym uderzeniem — naszego pułku — pójdzie na ten las zachodzący tak szpetnie pod żebro — jakie inne uderzenie? Teraz Manuel nie może sobie przypomnieć jaka była odpowiedź — i czy była jakaś; ale zresztą widzi. Ich szwadron idzie właśnie lewym skrajem; jeśli dojdzie otrze się o ten las; w lewo od ich szwadronu nie ma nikogo. —

Luneta, jak krągłe oko, wodzi się teraz po horyzoncie. Horyzont po przejściu tamtego garbu stał się od razu szeroki — w prawo od lasu znów wysoko linia pól, czasem jakieś zakrzewienia, pustka. Manuel nasterowuje teraz spólcześnie broń, celownik i oko na wszystko co mu wyrasta na drodze. Zwłaszcza na to co może stać się *celem*. Przeżywa raz jeszcze dziecienny snobizm. Oto celownik Cromwella posiada pewne pokrewieństwo z celownikami samolotów myśliwskich. Nie ma żadnych widełek, czy muszek, czy jakich tam piechocińskich pozostałości po ś.p. prababce fuzji. Po prostu, na szkle teleskopu przecinają się tworząc czarny krzyż duże linie. Na jednej z nich — pionowej — kreskowa podziałka. — I to wszystko. — Nie, nie wszystko. Z brzegu na szkle są jeszcze cyfry i litery. Po lewej i po prawej stronie. Na teraz i na całe długie godziny jakie będą, ten czarny krzyż z podziałką i te cyfry po bokach będą stały pomiędzy oczyma Manuela a światem, tym sadem, żywopłotami, polem, kopicami, lasem. Dwa rzędy cyfr. Po prawej i po lewej:

| | | |
|-----|---|----|
| 5 | | 4 |
| 10 | — | 8 |
| 15 | | 12 |
| Gun | | MG |

Manuel raz jeszcze — dotąd był przyzwyczajony do Stuarda — powtarza sobie ich znaczenie. Liczy: pięć, dziesięć, piętnaście Gun; cztery, osiem, dwanaście M.G. Ale pierwsza kolumna, po lewej, go nie obchodzi. To „Gun”. Podziałka dla dział. MG. — to on. 4, 8, 12. Od 400 jardów wzwyż, od 800 jardów, od 1200. Jak w aparacie fotograficznym. Manuel nie będzie tym mniej strzelał ani na osiemset, ani na tysiąc dwieście jardów. Kieruje oko i celownik na sam krzyż na szkle — tam gdzie duże prostopadłe linie przecinają się pod kątem prostym i na następną kreskę. Gdy zjeżdżają prowadzi tym skrzyżowaniem kolejno. Po czerwonych dachach w prawo. Po żywopłocie na wprost. Po kopicach które, im zjeżdżają dalej są wyżej nad nimi.

Milczące radio teraz rozgadalo się gorączkowo, nerwowo. Przejęty swą funkcją Manuel wylapuje z trudem szczątki zdań spod kamuflażu szyfrów. Jak zawsze: Kamile, Pawły, Barbary. Manuel poznaje pytający głos dowódcy i szybki, ostry, rotmistrza. Już je zna. I naraz, w to wszystko wdziera się intruz:

„Katowice, Lwów, Poznań, Wilno i Baranowicze na falach Londynu...

— *Rozpoczynamy naszą audycje...*”

Manuel odjął głowę od lunety. Złapał pytający wzrok kierowcy; to krótka fala odbiła się, wyjaśnia radiem Edward, i przekręca. Ale krótka fala odbija się znowu bo po chwili, znowu jakiś strzęp komunikatu. Gdzieś daleko na świecie są jeszcze komunikaty, audycje, fale długie i krótkie. Wszystko takie samiśkie jak w Londynie, słuchane sobie w mieszkaniu. Aż dziwne, że takie same. Oho...! Zdyszany znajomy akcent mówi: Ici, Londres. Manuel zna dobrze ten głos i wyczuwa w nim dzisiaj jakąś żwawość. Istotnie... *Ce matin, depuis l'aube, des forces américaines sous le général Patton — Patton, Patton, précisez on we Włoszech, zaczyna pracować Manuel — ont inauguré une descente sur la côte française de la Méditerranée entre Toulon et Nice, ne rencontrant qu'une faible résistance allemande. Nous répétons: Ce matin.* — I Manuel rozumie. Edward, Edward woła, podaj Dowódcy, podaj pułkowi, że Amerykanie lądują na południu Francji!... Tak, Tak? — odpowiada Edward i Manuel czuje, że uwaga tamtego, uwaga pułku i dowódcy nie myśli teraz wcale o tym kto i jak ląduje gdzieś o setki mil stąd. Wraca więc do radia. Ale radio francuskie już nie rzuca komunikatów, a tylko słowa wzruszone, uroczyste i puste, poprzez które twardym chrzęstem przebijają szyfrowe rozkazy polskie. Słowa francuskie są teraz już tylko jak muzyka i wreszcie naprawdę spływają w miękko, podnieśliwą muzykę. Muzyka jest stara, ale zawsze wzrusza głęboko Manuela. Przez mrok Manuel napotyka na twarz kierowcy i widzi na jego twarzy jakieś wzruszenie nieśmiałe, i w starych oczach, jakiś połysk wilgotny. W radio polskim rozkazy ucichły i Manuel słyszy tym silniej potężną pieśń zwycięstwa, tak silną jakby ją grały silniki bombowców i werble pułkowie. I naraz, Manuel przysuwa skroń do lunety, nie po to aby widzieć cośkolwiek, ale po to by nie widziano jego, strzelca przedniego, oczu. I istotnie, Manuel teraz nie widzi nic. Szkło lunety jest tak zamazane i mgliste, jakby oto spadł deszcz i zmętniał obraz na szybie. Plamy zielonkawe i płowe mieszają się ze sobą, nawet czarne linie celownika, nawet podziałka, nikną w tej mgie wilgotnej na oku. Mój Boże, myśli Manuel ostatkiem sił nieuległych wzruszeniu; tak, oto jest szczęście! Być czymś w tej fali wyzwolenia jaka idzie ojczyzną wolności. Słyszeć tak w czołgu sunącym polami Francji, te święte słowa, tak samo żywe dziś jak w dniach jakobińskiego gniewu. I wargami przyciśniętymi do żelaza, Manuel powtarza te jak zwrotki litanii słowa radiem na świat huczące. *Formez vos bataillons, Marchons, marchons, qu'un sang impur —* och, jakież to dzisiejsze to sang impur — *abreuve nos sillons —* och, jakież to dzisiejsze to nos sillons — kiedy czołg się polami toczy. Co za dziwne, niespodziewane wrażenie daje w dzisiejszej wojnie postęp techniki!

W tej chwili przed sam czołg wyrasta ciemna burza ziemi, wybuch bez huku i bez wstrząsu. (Potem cały przód Cromwella będzie ochlapany błotem, wspomina Manuel.) W rzeczy samej, przed czołgiem wyrósł dół błotnisty. Ta łąka zacieka pod glebą. — Radio gada:

— Mam jeden czołg uszkodzony. Recovery! Słucham, Bernard, słucham. Proszę recovery, przysłać recovery. —

Drugi pocisk pada za Cromwellem: Mówi o nim Edward. Ale Edward nie mówi wiele. Nie mogą, nie powinni *tamci* wiedzieć czy biją za długo czy za krótko; nie mogą. *Hello, twenty four, report by signals, bello twenty*

four... nawołuje nieprzerwanie jakiś angielski sąsiad. Czołg rusza. Na-jeżdża na żywoptot. Ostatnia chwila odwagi i pokusy. Wypuścić serię? Gałęzie żywoptotu nachodzą na czołg, coraz bliższe, coraz wyrazistsze, jak w szklach powiększających. Krzyż celownika i cyfry podziałki tańczą po nich. Czołg podnosi się ciężko... Opust. — Zielona trawa, białe pnie. Sad. — Manuel czuje pot ulgi.

Po lewej czołgi poszły dalej; po prawej meldunki radiowe mówią, że przeszły wieś. To wzbudza optymizm. Manuel czuje jak przy przejeździe żywoptotu zrobiło mu się naraz gorąco. Głupia rzecz, a gorąco, wstydzi się. Przez radio pół szyfrem, pół nerwami trwa rozmowa o wsi — jej kryptonim to „Buraki”, że czołgi przeszły „Buraki”, że nie ma tam Niemców ukrytych.

„Hallo Henryk pierwszy i drugi na naszej wysokości. Trzeci naprzód — ten sam kierunek”.

Trzeci — to ich — i czołg Manuela rusza naprzód. Pole — ściernisko raczej — z kopicami pod lasem jest teraz o tyle wyżej od nich, że Manuel musi zadzierać celownik i broń ku górze. Wysoko ku górze. Sad bowiem także wspina się wyżej. Przez radio idą teraz rozkazy własne czołgu. W słuchawkach na uszach Manuela huczą teraz dochodzące z wieży dokładne rozkazy Edwarda.

— Kierowca bardziej w prawo. Objeżdżać w prawo, wyżej.

Nowy żywoptot, a raczej gęste krzaki, zasunęły się znowu przed celownik. Cała gęstwa. Manuel jest teraz pomiędzy tym głosem z tyłu a tymi gałęziami z przodu. „Kierowca, objeżdżać w pra...”

Za późno!

Czołg podniósł się znowu, jak wtedy, na tamtym żywoptocie. Gałęzie jeszcze silniej zatrzepotały po szkle. Ale zaraz w następnym mgnieniu cały czołg zachwiał się naraz w przód, i zwałił całym swoim straszliwym ciężarem naprzód. Przed celownikiem nastąpiła ciemność. Manuel uderzył najpierw całym sobą w przód a potem naraz coś rzuciło nim plecyma o oparcie. Czołg poleciał w dół. Huk. Huk który jest bólem jednocześnie, straszliwym bólem wszędzie. Manuel opada bezwładnie na kolbę karabinu. Jęczy: nie, *nie może* wydać dźwięku. Przez myśl przebiega pytanie: wybuch? Dół? Mina? Wstrząs odrzucił go bokiem i Manuel widzi twarz kierowcy, usta w czołgowym półmroku rozwarłe, łapiące powietrze wargami, jak karp. Brzegiem tych warg zaczyna się przesączać czerwony ściek, jakby wina czerwonego z opitych do nadmiaru ust. Ze słuchawek, które wstrząs upadku odrzucił na kark, dochodzi ostry głos Edwarda:

— Kierowca, mówiłem omijać w prawo! Nie jechać wprost! Czemuście nie słuchali? Tam z jednego czołgu już dwóch ponieśli...

W półmroku, jeszcze większym niż przedtem, Manuel dostrzega dalej, twarz kierowcy do której ten głos nie dociera jakby. Teraz Manuel widzi ją dobrze. Jest to postarzała, pomarszczona twarz, teraz w tym cieniu i bólu starsza jeszcze. Kiwa się ona z lewa na prawo, z przodu na tył, bezwiednie. Tylko te wargi, poruszane miarowo bólem, mają jakąś świadomość reakcji. Na sekundę szare oczy kierowcy natrafiają na wzrok Manuela i twarz wykrzywia się świadomie w jakiś skurcz niezrozumiały. Chciał coś powiedzieć, poprosić, wyjaśnić. Może po prostu jęknąć. Mogło to być wszystko; i nie wiadomo co to było. Manuel naraz czuje jak i do niego słowa ze słuchawek dolatują jak przez watę:

— Manuel, co z tobą?

Manuel chce odpowiedzieć. Nie może. Teraz rozumie czemu tamten ruszał wargami. To to. Ale w tej samej chwili budzi go przelotem ostre ukięcie innej myśli. Przedni strzelec jest nie tylko przednim strzelcem. Jest jeszcze zastępczo kierowcą. Siedzi najbliżej kierowcy; w razie czego. Manuel, w przeblysku, pamięta rozmowę z Dowódcą, i jak on, Manuel, tłumaczył, że przecież jeśli kierowca jest ranny to wtedy chyba i czołg już

w ogóle. „Nie zawsze” odpowiadał Dowódca i istotnie, właśnie teraz tak jest. Myśl ta cuci Manuela. Powinien zepchnąć tamtego, wziąć za kierownicę. Cóż kiedy nie umie! Ale w tejże chwili najgorszej — cud. Kierowca dźwiga głowę. Ma dalej skurcz bólu na twarzy pomarszczonej i wargi poruszają się nadal rybitm, bezradnym ruchem. Ale ręce są z powrotem na kierownicy i motor działa. Czółg, jak góra żelaza, drgnął.

To drgnięcie przechodzi bólem przez plecy Manuela; pierwsza, prawdziwa myśl. (Tamte były tylko odruchami.) Kręgosłup! Manuel wie co to znaczy taki upadek w czołgu. Kręgosłup! Czuje naraz zimno od tej myśli, lodowate zimno schodzące z włosów, ze skroni, w dół, policzkiem, karkiem, aż za rozchełstany na piersi overall. Próbuje ostrożnie, ukradkiem jakby, poruszyć lewą nogą. O, cudo: działa. Zaskakujące odkrycie. Ostrożnie wyciąga prawą: działa. Już śmielej rusza ramionami, szerzej, szerszej. Jest ból, im bardziej ruch dosięga pleców, tym większy ból, i Manuel ma wrażenie jakby był maszyną, której cały mechanizm tam w środku potrzaskał się na kawałki od wstrząsu. Ale uczuciem górującym jest ulga: działa! Może poruszyć rękoma, nogami, poprawić się w siedzeniu, nawet przechylić w przód. Ujmuje wypadły z ręki mikrofon. „Hallo Edward, to tylko potłuczenia”. I ta zadyszka. Po tych paru słowach jest jak dziecko które ucząc się chodzić przebiegło naraz całych siedem kroków.

Czółg cofa się w tył, skręca — „teraz dopiero!” woła Edward w słuchawki — w lewo, wykręca znów ku polu. „Radio nie działa, konstatuje Edward, zmienić bezpiecznik H.T.2”. „H.T.2” powtarza bezwiednie Manuel i usiłuje sobie uświadomić to wszystko. Tak. Radio zamilkło. Czółg naraz ogłuchł. I kiedy, przy wyjeździe z jaru w który naraz stoczyli się wtedy, ukazuje się z powrotem tamto pole, kopki i las, Manuel aż się dziwi. Oto w ów las tuż przed nimi w lewo, groźnie czerniejący tak długo, opada ogień artyleryjski, bliski, jakże bliski! Ale do czołgu nie doleca ani odgłosy wybuchów, ani furkoty odłamków. Tylko przez peryskop i lunetę Manuel widzi jak drzewa łamią się w pól i skoszone wyskakują pod niebo nim nie zwałą się ciężko w dół. Ach tak, myśli Manuel, ach tak? Artyleria miała zająć się tym lasem, podczas gdy my?...

— Manuel, z *bizy* po lesie!

400 jardów, czy więcej? (Manuel czuje ból w krzyżach kiedy schyla się nad karabinem.) Bierze 400. Pada seria i naraz — zaczyna się. Manuel zagryza wargę — chwyta z boku skośne spojrzenie kierowcy — repetuje broń tak jak to jeszcze sprawdzał rano, strzela. Biza zaczyna się po pierwszym strzale. „Tego tylko brakło” — myśli Manuel. Powoli, jak w filmie przesuwany *au ralenti*, odciąga zamek — ach prawda, kciukiem nacisnąć wyłaznik, naciska. Wyszarpuje taśmę; może co w taśmie? — założy nową. Kierowca pomaga w przełożeniu nowej i ręce obu spotykają się nad zamkiem i są po chwili całe w tłustym, rozgrzanym smarze. Znowu Manuel naciska spust. Tym razem — o szczęście! — seria idzie równo. Zatrzymuje ją. Stoją na wprost ciemnego, postrzelanego lasu. Tamta zwalina gałęzi wydaje się Manuelowi podejrzana. Naciska spust. Suchy trzask. Znowu jeden strzał.

To wszystko nie jest straszne, mówi Manuel; uzbrojenie Cromwella polega na tym co ma jego wieża, ale jednak, ale jednak! Rano działało świetnie, ale rano nie oddawali strzału — po cóż by, w obozie? — Kierowca także nie może poradzić. Raz zaczyna się, raz nie. Pokrwawili sobie ręce i smar miesza się teraz z czerwoną, perlistą krwią, gryzie w zadrapania, ale nie ma rady. Za naciśnięciem spustu Manuel nie wie: pójdzie na nowo pełna, wspaniała seria, spokojem ich w czołgu napelniająca, czy takie pojedyncze trzaśnięcia. Zagadka.

Myśl Manuela tak nawraca do owej zagadki — gdzie błąd — że niemal nie zauważa jak zmienili kierunek. Omijają las. Ich czołgi już wyszły

z wsi na prawym skrzydle i teraz wszystkie wałą w pole przed nimi, w górę, uchwycić nową faliznę Normandii, nowy — jak się to mówi wojskowo? — skraj horyzontu. Manuel nachyla się ku celownikowi tego zawodzącego karabinu. Pole równe — ściern — i tu już nowy grzbiet. Krzyżują się drogi polne — nieliczne krzaki — pole.

— W lewo kierowca, w lewo. Tamte kopki!

Czołg skręcił silnie i za chwilę Manuel rozpoznaje gdzie są. Tamten las jest na lewo za nimi, a tu tutaj jest takie spokojne pole, kotlinka prawie, zboże zebrane i moc kopek. Moc. Po raz pierwszy są tak blisko te kopki i Manuel może stwierdzić, że istotnie są wyższe i szersze niż polskie. I naraz „— Niemcy, o Niemcy tam! Uciekają do lasu!”

Manuel widzi przez peryskop — długą, wąską szczelinę — cały wykrawek świata. Ścierniskiem pomiędzy kopkami a lasem biegną Niemcy — zielonkawe mundury — czołg nasz strzela — widać świetlne pociski! Manuel słyszy naraz śmiech Edwarda. Zły, spokojny śmiech. Dlaczego Edward się śmieje? Naraz olśnienie. Ach tak, przecież! Jakże mógł zapomnieć! Manuel sam nie wie czy się bardziej wstydzić, że nie zrozumiał od razu, czy cieszyć, że domyślił na czas. Manuel już wie co się stanie. — To co się miało stać dzieje się rzeczywiście. — Zza tamtego skraju kotlinki, tuż popod tym lasem, wysuwają się naraz z przeraźliwą, fatalną powolnością kopulaste wieżycy Cromwellów. Jest aż dziwnym że tamci, biegnący, nie widzą ich jeszcze. Ale nie; widzą. Zielone stado pędzących do lasu ludzi zatrzymało się naraz — padają — i Manuel widzi jak jedni padają inaczej, a inni inaczej. „Celownik, Manuel! Masz ich!” Manuel wie, przesuwa celownik i czarny krzyż samym skrzyżowaniem jest teraz na tych ludziach przed nim. I tylko jedna myśl: zatnie się, nie zatnie się. I ulga błoga: poszło — na ten raz, równym ściegiem...

* * *

„Nie strzelaj go; niech i my mamy swojego” — woła Edward i Manuel ocyka się z obrzydzenia tamtej chwili. Teraz wie: łatwo, jak strasznie łatwo jest strzelać do człowieka kiedy ucieka przed tobą. I kiedy skrada się by z bliska rzucić granatem i kiedy pędzi na ciebie, jak ci teraz, w tym mgnięciu czasu; łatwo, jakże łatwo! (Nawet gdyby całą myśl nie zaprzętała troska o wypał karabinu. Nawet wtedy.) Ale kiedy tak stają i podnoszą ręce nie można. Strasznie nie można. Manuel pamięta i nie zapomni nigdy. Uciekający, na których z dwóch stron wyszły czołgi, stojący naraz i podnoszący ręce. Nie; nie podobna. Nigdy w piechocie Manuel nie strzelał do ludzi gdy podnosili ręce, ale myśli, nawet teraz, że w piechocie mógłby. Ale to co innego w piechocie, a co innego strzelać *siedząc* w czołgu. Nawet to *siedząc* ma znaczenie teraz. Strasznie jest pomyśleć, że człowiek zabija siedząc. Czołgi w polu czystym na wprost ludzi to nie jest ani wojna, ani rzeźnia nawet, to tak jakbyś z jakiejś sikawki jakimś rozczysem lizolu czy arseniku spryskiwał mszyce. To *nie jest* wojna, to *nie jest* walka. — Just a job. Just a job. — (Manuel jest rad, że żadnym polskim słowem nie umiał nazwać tego.) Just a job. Celowanie z bity jest też just a job. Krzyż na szkle wszystko ułatwia. (Ach, jak niespodziane zastosowania ma Krzyż!) Drażek metalowy czyni nakierowanie tak dziecinnie prostym. An easy job. Just a job. Byle tylko *tamci* nie utrudniali zadania. Niech uciekają, niech biegną na nas, niech się kryją — naiwni — za kopce — słome. Głupcy. Byle nie *stawali* naraz. Byle nie podnosili rąk.

— Gewehr — weg!

To Edward, dziwną niemczyzną, woła do tego obok. Nie widzą go, bo czołg go minął. „Panie poruczniku, a żeby on nam jaja nie rzucił”. „Nie, nie” — powiada Edward. „Manuel otwórz!” Manuel otwiera klapę — ma ją z lewej strony, u góry, na wskos, nad głową. Gdy odsunął, na tle nieba widzi wzniesione ręce i rękaw feldgrau. Ręce kiwają się w takt biegu; głowa ludzka. Manuel podnosi się z siedzenia — ból w krzyżu

ostrzy i wydstaje przez otwór głowę. Niemiec biegnie u boku czołga, patrzy się i uśmiecha, prosząco, życzliwie, ludzko, do tej twarzy ludzkiej co wyrzała spoza blach. Na tę przymilność w Manuelu tężeje wszystko. Głową robi Niemcowi ruch: — przed czołg! Nie z boku, obok; przed. So! Niemiec rozumie. Rozumie nie tylko to że ma biec przed czołgiem. Rozumie i wiele więcej.

Manuel obsuwa się w głąb — plecy bolą znowu, długim, dojmującym bólem. „Nie wytrzymam, nie wytrzymam” — mówi Manuel; ale, aby tamtą złość spędzić i ten ból zabić, schylił oko do celownika i celownik kieruje na Niemca. Czarny krzyż na szkle tańczy teraz tamtemu po czapce, spieczonym karku, plecach. Naprawdę tańczy, bo czołg jest w ruchu i człowiek co biegnie przed nimi jest w ruchu, i czarny krzyż ześlizgowuje się co chwila z Niemca, co przykuwa uwagę Manuela, i odwraca uwagę od tego bólu w krzyżach. Wreszcie Manuel osadza środek celownika — owo skrzyżowanie prostych — wprost na plecach Niemca. — Jeśli *znowu* się zatnie, rozumuje, to zawsze, gdyby trzeba, jeden strzał odda. — Czołg jedzie, Niemiec biegnie, widać że się męczy — widać sperlony tłusto kark — kierowca pokazuje i śmieje się w mroku, — a palce prawej ręki Manuela są wciąż na „języku spustowym” — tak to się mówi? — karabinu maszynowego. I trwa to długo, długo — aż zza pleców Niemca wyrasta zakryty nimi dotąd świat. Jeńcy; nasi; czołgi. —

Wyskoczył Edward: wyszedł Lampert; Manuel poznaje paru znanych mu z twarzy kaprali. Edward pomaga mu wyjść. Manuel ma przecież aparat fotograficzny; nigdy jeszcze szwadron nie miał naraz tylu Niemców. Manuel wychodzi (nie chce powiedzieć nie), ale z trudem; kiedy chodzi czuje z tyłu szarpający ból. Jest w pół zgięty. Kilkudziesięciu szkopów siedzi w dwuszeregu, z nogami podwiniętymi pod siebie. Karny naród. Uszeregowali się tak składnie i szybko jak dobre wojsko do jeszcze jednej wojskowej zbiórki. Kilkunastu innych stoi z podniesionymi rękoma i kolejno przechodzi przeszukiwanie. Manuel widzi grube, natrętnie łapy Drozdka jak *oblaskują* od góry na dół smukłego, obciśniętego mundurem Niemca. Przechodzi mu przez myśl, że Drozdek był w Legion Etrangère, i odwraca się na czyjs drwiący głos: „Tylko mo tam wszystkiego nie urwijcie!” Niemiec ma znieczuloną, obojętną twarz. Inni zbliżają się z pola; im dalej są tym wyżej podnoszą ręce. Żadnego oficera, stwierdza z żalem Edward. Co to za oznakę ma tamten z lewej na ramieniu? Za zniszczone czołgi? Taka tarcza jakaś żółta? Czy chcesz ten Eizerne Kreuz?

Manuel nie chce Eiserne Kreuz. Ale patrzy na komiśny, złe obrobiony krzyż ze wstążeczką o barwach czerwono-białych. Za co? pyta ktoś Niemca. Niemiec nie rozumie, ale połapuje się szybko. „Stalingrad” — odpowiada obojętnie i pcha ten krzyż do ręki. „Niech pan weźmie, panie poruczniku!” Manuel nie wziąłby i nie bierze tym więcej właśnie, że tamten pcha. „Haben Sie englische Zigaretten?” — pyta bohater stalingradzkiej odsieczy. Manuel patrzy mu w oczy. Ach, co za niezmierna obojętność. Niemiec myśli, że Manuel nie zrozumiał. „Cigarettes anglaises avez-vous?” Oto wojna — myśli Manuel; w końcu chce się tylko papierosów! Długa musiała być droga od Stalingradu nad rzeczkę Orne, ale to jest wszystko tylko kwestią drogi i czasu; prędzej, wcześniej, nieuniknione. Zaczyna się od idei i ambicji. Kończy na papierosie.

Ból w plecach odzywa się coraz częściej; lepiej już w czołgu. Czołgi nie ruszą nim nie nadsięgną dragoni; nie pozostawi się tak jeńców. Z daleka dolatują strzały; w tej kotlinie przed lasem zacisznie. Siedząc z powrotem w czołgu Manuel sprawdza raz jeszcze działanie *bixy*. Wszystko wydaje się w porządku; dlaczego zatem te zacinania? Co będzie jeśli...? Patrzy na zegarek: już trzecia. Już trzecia, ale jeszcze dobre dwie, trzy godziny. Dokąd mieli dojść?...

Kierowca nie opuścił czołgu i kiedy jego oczy spotykają się ze wzrokiem Manuela obaj wiedzą. Nie muszą się pytać inaczej. Tylko gdy Manuel

opadł na plecy, tamten na piersi. Może ma wysiąk. Pewno go ma. W górze, we wieży, Edward próbuje coś z radiem. Nie, nie działa. Cała nić łączności przerwana. Jakże to się nazywa? Realing? Manuel zbyt świeżo i dorywczo obuczał się tego wszystkiego, zbyt wiele jest aby pamiętać dobrze. Te plecy w dodatku zbyt bolą. Co za nieznośna ta ciągłość! I jeszcze to zacinięcie się niewyjaśnione. I to że czołg jakby stracił głos i słuch. Nie ma łączności z zewnątrz. Co robić? Edward dowodzi plutonem; nie może dowodzić z tego czołgu. Przesiądzie się na inny. Manuel? Nie, Manuel woli zostać. Może dlatego, że już siedzi i nie wymaga to *nowego* ruchu...

Kłapa zamyka się raz jeden jeszcze i znowu nastaje, jak wtedy, taka pierwsza, zupełna, ciemność. Manuel przywiera znowu okiem do jasnej plamy lunety; tędy, odkąd zaniemówiło radio, łączy się teraz ze światem. Czołg jedzie powoli; na wskos zaś mija go kolumna jeńców. To ci, odcięci przed lasem. Już biorą ich dragoni. Trochę aby zabić rwanie w plecach Manuel liczy głowy jak przesuwiają się w szkle celownika; dłonie splecione za karkiem: jeden, siódmy, trzydziesty. Dolicza do trzydziestu siedmiu i staje się to też męczące. Kierowca prosi o coś ruchem. Nie, nie ta manierka; tamta. Pije chciwie i w półmroku Manuel widzi jego twarz, zestarzałą od bólu. Po raz drugi zbiera go lęk; co będzie jeśli tamten nawali zupełnie? On, Manuel, nie poprowadziłby także. Ale kierowca odając manierkę uśmiecha się uspakajająco. Pewno odgadł myśli Manuela; to takie nietrudne, w czołgu. Czołg myśli i czuje załoga. Nawet wtedy gdy są niezgrani jak ci, nawet gdyby wszelkie aparaty zawiodły. W duszności, w ciemności, w łoskocie motoru idą jakieś prądy tajemne, łączące tych paru ludzi.

Kierowca jest teraz jeszcze bardziej bratnią duszą Manuela. Oni dwaj widzą wzajemnie swoje twarze — ci z wieży nie widzą ich, i oni nie widzą tych z wieży. Oni dwaj chyba najciężej przeszli tamten skok w dół. Teraz łączy ich pewne współnictwo win. Kierowca dwukrotnie, łamanym głosem, — on też nie może mówić — zagadywał niezgrabnie Manuela. Że to tamten jar, że nie widział. Nie można było widzieć, uspakajał Manuel; nie, nic mnie nie jest, ale z wami? Kierowca wiedział, że Manuel myśli inaczej — jar *był* do ominięcia, rozkaz *był* wyraźny — ale rozumiał i oceniał kłamstwo. Manuel czuł, że chyba coś jest z jego, Manuela, winy w tym zacinięciu się karabinu maszynowego; kierowca brał się do broni i dowodził, po nieudanych usiłowaniach, że chyba coś z taśmą, czy jak... Manuel oceniał i to, choć nie wierzył. Musi, musi być jakiś drobny, z jego strony, błąd, jakiś ruch nieuchwytny prawie, który wykonywa raz tak a raz inaczej, na skutek czego zacięcie powstaje lub nie. Ale jaki? Ciało Manuela, gdy teraz tak jadą wskos pół pustych, drażą naraz dwie reakcje. Jedną jest tamten ból, o którym coraz trudniej zapomnieć, w krzyżach; drugą ta myśl, która sprawia że coraz uporczywiej krąży uwaga koło zagadki swej *bizy*. Dlaczego? Dlaczego?

Od odjazdu z tamtego pola, wzdłuż tych kopek zboża za wielkich, i świeżych całkiem trupów niemieckich tak obficie wysączających się krwią w żółte zdeptane rżysko, Manuelowi ubył jeszcze i Edward. Na jego miejsce do ogluchłego i zaniemiałego swą radiostacją czołgu przyszedł sierżant z tamtego czołgu po prawej — tam gdzie przeszedł Edward. Manuel go nie zna. Po odejściu Edwarda załoga czołgu jest zresztą bardziej zwarta — poza nim, Manuelem — sami podoficerowie. Mówią do siebie per Antoś, Felek, gwarą o wdziękach swoistej chropawej urody. „Wolno, Antosiek, wolnusięńko, na maluśkim gazie” płynie słuchawkami zalecenie do kierowcy. Manuel uśmiecha się. Kiedy to było? Ach tak, dwa dni temu. Na skraju tamtego lasu za St. Martin. On, Manuel kazał jechać czołgowi „pelot” w którym był, przez las, padały pociski, stawali się nerwowi. „Dalej, dalej, mówił Manuel. „Pan porucznik myśli, że

czołg to taksówka żeby po krzakach jeździł” — odgadywał kierowca. — Ale to było dawno. — Dawno. Wszystko jest teraz dawno.

— Ale wa! przechwytuje rozmowę w wieży.

— Żeby tylko motoru nam nie trzasnęli; już bez radia; nie byłoby nawet jak...

To są opiłki lęku. Czołg istotnie jest ślepy i niemy. Idzie tak jak idą inne czołgi plutonu — patrzy co robią inne. Nie słyszy i nie mówi. To prawda. Znad zamku *bizy*, którego działanie wciąż bada, Manuel patrzy przez lunetę. Pole, krzaki. Miedze. Jadą teraz znowu pod górę — lekki wskłon — Manuel odgaduje bardziej niż dostrzega, że zaraz znowu przegnie on się w dół. Próbuje odgadywać co będzie za tym nowym skrajem horyzontu — czy już jest. Nic. A może? Patrzy na zegarek. Dochodzi piąta. Myśli odruchowo: tea time. W mroku dzielą się z kierowcą manierką. W manierce jest kawa, i to nawet lepiej, cóż kiedy skwaśniała po sydrze. Ale, jakby nie było, od razu człowiekowi inaczej.

— Uważaj, Antoś, zjazd...

Przez celownik widać. Są na półkolistym wzniesieniu, ale o kilkanaście metrów przed nimi jest linia krzaków. Może nowy rów? Jar? Dwa czołgi wparły się w coś — i cofają naraz, oba. Dlaczego tak naraz? Niestety, radio nie powie. W wieży, przez słuchawki idzie nowa rozmowa:

— Kiedy porucznik macha; „jechać!”...

— Jechać? Ano; Antoś, tak pod te krzaki. Tylko nie zaś za bardzo. Panie Poruczniku? Tam jakby Niemcy uciekali... Nasz porucznik strzela...

Czołg zatrząś się wstrząsem. Manuel wie. To działko z wieży. Jak wtedy kiedy w tych, przed lasem, tamta rzeź... Teraz, już teraz. Manuel przywiera do karabinu maszynowego, rżęsami wparł się w szkło. Za czarnym krzyżem migają, coraz bliższe gałęzie krzaków, jak leszczynowe prawie, Antoś najeżdża uważnie, powoli. Poprzez pręty leszczyny przebłyska łagodny stok — ścierń — dalej, mniej wyraźnie — jakaś wtulona w grunt kępa drzew. Farma? Las? Nie widać. I naraz myśl: gdyby puścić wyłącznik?

Myśl nie ma nic wspólnego z krajobrazem do którego wolno, wolniuszko zbliża się czołg. Aby móc pociągnąć zamek ku przodowi Manuel musi nacisnąć taki nieznaczny, metalowy wyłącznik. Wtedy idzie. Manuel naciskał go — ale co potem? Trzymać naciśnięty kiedy odciąga zamek? Zwolnić? Manuel naciska, trzyma naciśnięty cały czas. Od-pala. Znowu jeden strzał. Ale teraz Manuel jest bliski, bliski odkrycia. (Krzaki są też coraz bliżej, musi być gorąco, wieża się trzęsie od pocisków działka, w czołgu u nich błękitno od gazów z odpaleń.) Manuel nie patrzy nawet przez lunetę. Nie widzi nic co się dzieje *tam*. Ważnym dla niego jest jego broń i jej zagadka. Wolno, wolno, powtarza sam do siebie. Naciska zwalniacz. Pcha zamek do przodu. Tak! Wolno, wolno, wolno. Puszczą palec ze zwalniacza. Inaczej niż wtedy. Tak. Odciąga zamek; pocisk już w lufie. Tak. Teraz odpalić. I Manuel naraz wie, że teraz seria pójdzie niewstrzymanie, równo jak taśma, jak ścieg. Naciska jezyczek spustowy. Tak!

Po raz pierwszy Manuela nie boli nic, nie czuje nic, tylko pełno radosnej ulgi, jak tchu, w piersiach. Uśmiecha się do kierowcy i łowi w półmroku, w błękitnawych smugach gazów, uśmiech tamtego, rozumiejący, cieszący się wzajem. Manuel zwolnił spust, *bizy* przestała strzelać, ale Manuel wie, że za pierwszym naciśnięciem pójdzie teraz dobrze. Kolanem wy-czuwa, że torba płócienna na łuski staje się ciężka i pełna: już zdołała nabrzmić. Nawet ta pełność podnieca. Czołg wstrząś się nowym wy-strzałem działka, i ruszył jeszcze naprzód. Przez celownik — Manuel ma teraz znowu wzrok w celowniku — widać jak rozchylają się bliskie, dotykalne gałęzie, spoza nich wyziera to pole i ludzie, ludzie w feldgrau zbiegający w dół na tamte drzewa. Są coraz dalej. Za moment będą

w tych drzewach. Czołg wyrzał za linię krzaków, odsłonił się zupełnie. Najlepszy moment — i ostatni. 400. Celownik 400.

I Manuel zaczyna prowadzić szeroko, z lewa na prawo, po linii biegnących. Nigdy żadna seria nie szła mu tak równo. Gdyby poszli bliżej czołgiem, wprost w to pole, dopadliby jeszcze! Prędej, Manuel, prędzej. Seria wali równo, nieprzerwanie, za tamte wszystkie zawody. Jest tylko to. Tylko. Radość odzyskanej mocy. Aż...

Manuel przerywa ogień. Co się stało? Po tylu wstrząsach od strzałów działka nie zauważyłby nawet tego nowego wstrząsu. Nawet w części, w ułamku nie to co wtedy kiedy stoczyli się w jar. Ale dlaczego naraz taka cisza? Motor stanął? Co to za ruch za nimi w wieży? Dlaczego kierowca?

Kierowca jest najbliższy. Manuel patrzy na jedyną ludzką twarz dostępną jego oczom w ciągu tych długich godzin. Ręce kierowcy nerwowo wędrują w górę — szukają wyjścia — i naraz spotykają pytanie Manuela. Nie ma w nich już męki, jak wtedy, nie ma uśmiechu, ani potwierdzenia, ani podziękii, jest strach. Jego wargi i ręce drgają jednakim pospiesznym ruchem.

— Panie poruczniku! Wychodzić, wychodzić!

Manuel rozumie. Zresztą błękitnawe wybuchy z dna czołgu mówią więcej. W wieży ruch. Silne, jak może, pchnięcie lewej ręki. Otworzy się? Zatnie? Ulga; otwarło. W ten mały kwadrat nieba i światła jaki się rozwarł nad nim — nieco z lewa — wskakuje Manuel wślizgiem. Zawsze było to takie trudne, powolne — i Manuel zastanawiał się jak to będzie jeśliby kiedy trzeba? Jakże łatwo! Wyskakując, Manuel pada, podnosi się. Stoi teraz naprzeciw czołgu, twarzą do jego boku, bokiem do krzaków za którymi kierowca, na poły w czołgu, coś woła, wyciąga rękę. Manuel podnosi ku niemu lewą rękę ruchem nad czołg. I wtedy...

Staje się to jeszcze szybciej, jeszcze nieznaczniej, niż tamto. Naraz jakaś MOC uderza czołg z przodu — tam gdzie siedzieli, tam gdzie miało przyjąć opancerzenie dodatkowe, z gąsienic niemieckich. (I tamten napis „Ankona”.) Jednocześnie jakiś podmuch zakręca Manuelem, wywraca go na ziemię, wiatrem suchym ogłusza w usta. Manuel czuje jeszcze jak w jego bok, ramię podniesione i nogę chlasło jakby batogiem o ostrych rwących kolkach. Leży.

Pierwszym uczuciem jest nagły napływ ciepła. Jakieś ciepło które w pierwszej sekundzie, nie wiedzieć czemu, wydaje się błogie, dobre, ale już w następnej jest zarem. Manuel rozumie, że gorąco idzie od czołga; ale dlaczego? Dlaczego naraz czołg jest jak piec? Podnosi głowę; och! Uczuciem jakie podnosi Manuela na nogi jest przypomnienie tamtych, spalonych do połowy na węgiel, wyciąganych za karki ze spalonej maszyny. Nie; nie tak, nie tak. Manuel odbiega o kilka kroków. I przystaje nagle. Silnik można poczyna działać na nowo, spokojnie, chłodno.

Czy można mieć na przestrzeni sekund, myśli i obrazy których opisanie zajmie całe minuty? Oczywiście, że można. I kiedy myśl Manuela na nowo poczyna działać, działa już metodycznie. Tylko skupienie myśli może mu pomóc. Manuel czuje, że jest ranny, ale iść *może*; Manuel rozumie, że od czołgu musi *odejść*. Ale Manuel wie, że amunicja — niebezpieczeństwo — zacznie wybuchać dopiero po kilku, kilkunastu minutach; *ma czas*. Grozi co innego. Manuel pamięta tych dwóch, z czołgu podchorążego Możdżenia, którzy z palącego się już czołgu pobiegli wprost, nieprzytomni, ku Niemcom. I tamtego w lesie, co z innego płonącego czołgu skrył się wprost do wykopanej jamy; dwóch Niemców, jej „stałych lokatorów”, podniosło na jego widok ręce do góry. (Ale, gdy wybiegł, strzelali.) To wszystko uświadamia sobie *naraz*. Uświadamia sobie, że po godzinach w ciemni czołgu w jeździe tam i sam, wyskoczywszy, człowiek nie wie, gdzie swoi, gdzie Niemcy. Manuel staje i rozgląda się. Istotnie nie wie. W tej chwili zaboląła go silniej ręka lewa. *Trzeba iść*. Dokąd! Kędy?

Pole jest istotnie dezorientujące. Jest wzniesienie, wielkie rżysko z trzech stron obramowane żywopłotami. Gdzie Niemcy? Gdzie las? Słońce? Powinno być między południem a zachodem o tej porze; a świeci teraz wprost w twarz Manuela. Musi on więc iść na lewo; tam jest zachód. Manuel patrzy na zachód i widzi puste, samotne pole, ugięte w dół na lewo. Tędy? Długa droga! Jeszcze jedno. Z prawego boku, z par-cianej pochwy, Manuel odpina rewolwer. Myśli z gniewem że nie ma ładownic; ten gadatliwy leń, magazynier! („Po co panu porucznikowi? W plutonie oświaty?”) Ach wy, pierniki biurowe! Potem będzie w Londynie biegał za bohaterą, magazynier. Gniew zawsze dobrze robił Manuelowi.

Patrzy w prawo. Na tej samej linii co czołg Manuela — tu, wzdłuż tych krzaków, ale o parę kroków przed nimi — stoją cztery czołgi. Nasze? Nasze. Są zwrócone frontem tak jak czołg Manuela — teraz tyłem do Manuela. Jeden z nich strzela poprzez te krzaki. Manuel ma nowe uczucie złości. Po cośmy się wysuwali tak, durnie? Było wleźć za naj-gęstszy krzak. Idzie. Widzi ludzi biegnących w kierunku tamtych czołgów; są dużo przed nim. Z jego załogi? Nie dostrzeże. Pójdzie i on tam.

Zaczyna tędy iść tym ścierniskiem, pomiędzy rozrzucone z rzadka kopce. Teraz odszedł go wszelki niepokój. Od czołgu odszedł; iść może; wie gdzie swoi. Trzeba po prostu iść tym ścierniskiem. Nic więcej. Manuel czuje że staje się słaby, ale czuje też że dojść może. Nie będzie poniżenie leżał czekając czyjegoś zmiłowania. Rewolwer w ręce prawej dodaje pewności. Manuel idzie. Naraz coś z furkotem wylatuje spod nóg. Co to? Nieprawdopodobne, a jednak tak, to przysiadłe pod kopcem stadko kuropatw. Niskim lotem odfrunęły o sto kroków dalej i znowu zapadły na ścierń. Co im Manuel? Co im jakieś czołgi?

I naraz, po paru krokach, nie ma już niczego co teraz było. Nie ma wojny, nie ma czołgu, nie ma ciemności. Nie ma smrodu smarów i zaciniał *biży*, nie ma kierowcy Antosia, nie ma nawet Normandii. Jest tylko ściernisko puste po żniwach, kopce na których kłosami szeleści wiatr, letnie, późne popołudnie, i spłoszone, spod nóg poderwane, szare stadko kuropatw. A może przepiórek, zastanawia się idąc Manuel? Może przepiórek; był zawsze takim złym strzelcem. Lewa noga poczyna sztywnieć, rękaw drelichy się czemuś lepi i ciąży. Zmęczenie spokojne. Manuel idzie dalej.

Jest spokój, wielki spokój. Nie; nie ma wojny. W ogóle nie było wojny. Nie było tych pięciu lat. Jest tylko ścierń, — i taka sama ścierń była już kiedyś. I takie samo popołudnie letnie. Może to były pola Żabiej Woli, a może Sieciechowic, a może Grodowic, czy Dermania? Manuel nie wie. Bywał zmęczony tak samo, ziemia rżyska była tak samo miękka; tak samo okurzone miał buty i tak samo był rad, że wraca. Miał broń u boku; inną, ale broń. W lewym ręku niósł czasem — och rzadko, jakiegoś ustrzelonego ptaka i ptak spływał krwawymi kroplami po zwistej główce, po dziobie. Manuel nie niesie niczego w lewej ręce, ale ta lewa ręka ciąży mu jakby coś w niej niósł i jest, jak ptak ustrzelony, bezwładna. Od samego ramienia czuje teraz lepką mokrość która powiększa się co chwila. Próbuje rękę podnieść. Nie może. Patrzy się na nią. Szary rękaw robotny jest stargany w strzępy i tylko w przegubie dłoni opina ją ciasno. Po palcach, jak po dziobie ustrzelonego ptaka spływa ciężkimi pasmami gęsta, szybko schnąca, krew. Ale Manuel patrzy na nią jakby to była istotnie krew ptaka, przepiórki jakiejś czy kaczki krzyżówki, wcale nie jego.

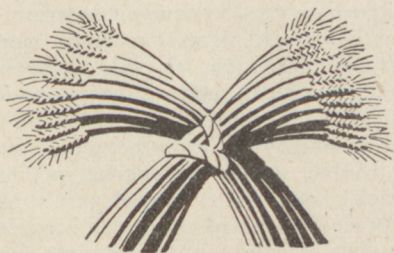
Czołgi ku którym idzie są daleko i Manuel czuje naraz jak między nimi a nim wyrasta taka mgła, która zaciera ich zarys i robi je jeszcze dalsze niż są. Senność zapada na niego, razem z tą mgłą, jak mrok, i Manuel mniej słyszy i słabiej widzi i to właśnie jest szczęściem najwyższym. Jest bowiem znowu tylko to ściernisko którym idzie, i ma się pod wieczór

i na kopcach jakie mija osiada biało babie lato. I znowu nie ma Francji, ani Normandii, ani wojny: ani czołgów, ani lat emigracji, nie było nigdy Londynu, Narviku, Coetquidanu: ale ot, takie polskie pola wczesną w słońcu jesienią. I naraz, Manuel uświadamia sobie, że *wie*. Tak, wie. — Znalazł się na przedprożu tego skąd się nie wraca, odmetu który wcześniej czy później, w męce dłuższej czy krótszej pochłoni ich wszystkich. Manuel ma wrażenie współprzymotne naraz, że patrzy w głąb tego właśnie odmetu i widzi nie to co jest poza jego chłodnymi falami, lecz to co się staje gdy człowiek wkracza w ów nurt. On pierwszy wie to czego nie wiedzą żywi, co biorą ze sobą umarli. Oto wtedy, w owej chwili przedskonnej przychodzi Łaska. Manuel wie na czym polega owa Łaska, w swym zmiłowaniu zaiste bezmierna. Doznaje jej każdy żołnierz polski na obcych łądach i morzach ginący, walący się w dół z płonącym silnikiem Spitfire'a, Wellingtona, Moskita. W owej chwili przedostatniej zamiera naraz sam ból, kończy się świadomość i pamięć. Nie ma wtedy ani pustyni libijskiej, ani lasów brzozowych Peczory, ani kazakstańskiego stepu, ani zdziwionych norweskich białych nocy, ani białych urwisk Dovru, ani pszenicy normandzkiej, ani skał włoskich ani zmętniałej ciemno otchłani dalekich, łasych na żer ludzki, mórz. Wtedy, w owej chwili ostatniej, żołnierz ginący jest poza i ponad tym wszystkim, jest w tym co dla niego było ojczyzną, wraca cudem na ojczyzny łono. I to jest właśnie owa ostatnia, jedyna, a największa Łaska jaką Bóg ludziom tak dotkniętym jego gniewem zsyła. I to jest święta tajemnica polskich, żołnierskich śmierci. To jest ich Powrót.

Manuel jest słabszy, słabszy, nogi coraz głębiej zapadają w miękką glebę pola. Usiadłby tak pod kopką i odpoczął; ale przeblyskiem czujności wie, że tak by już został. Idzie. Ale w tej słabości ma spokój jakiego nie miał z dawna i szczęście jakiego z dawna nie doznał. Wie. Zna ową Łaskę. Teraz nie dziwi się, że wielu w walce szuka śmierci. Oni się spodziewają. Czują, że właśnie coś takiego jest i się staje. Manuel wie.

Z mgły jaka coraz gęściej nachodzi oczy, wyłania się naraz nadjeżdżający czołg. Jest strasznie nierealny.

Dobre oczy Edwarda są zdziwione i niedowierzające kiedy Manuel uśmiecha się i zapewnia że nic, naprawdę nic mu nie jest.





ŚW. BERNARD
Rzeźba w drzewie Maryli Lednickiej

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

KUPIEC WENECKI

przez okopcone przedmieście
przeciągają cyganie parszywi
ciężki łańcuch przyczyn i skutków
na przekładniach ruchomych
[warsztatów złodziejskich
aby zimę odwrócić w pochodzie
i oczom drzew mrących udowodnić
że tylko odwrót
wyzuć może z obieży jesiennych

babcia także
w pluszowych pantoflach na
[pomarszczonych uszach
żałośnie napuszona
jak kwoka wilgocią szarugi
prosi swojego św. Antoniego
aby zażegnał zimę
choćby na parę jeszcze tygodni
bo jeszcze węgiel nie przyjechał
na kołach pieniężnych
miłosiernie pociesznej parafii
i nie wiadomo czy kiedyś przyjedzie

jedyna obrona przeciw szarudze
[jesiennej]
na przedmieściu zimy
— rezygnacja zabłoconych kaloszy
i brudno-biała chustka
przytknięta do dziurawego nosa
na znak poddania się
siedmiu koniecznościom
czyż grozę dni mroźnych odpędzi?

Czy chuda pierzyna
i książki skostniałe
zwyciężą zabłąkany,
wybity z równowagi termometr
w gigantycznej walce
Jakuba z Aniołem,
który na pustych ulicach napada
[przechodniów]
i pyta się o cenę węgla
a żurawie czując zimę precz lecieli

trudno jest lecieć kiedy głowa boli
trudno kaszląc przefrunąć
nad granicami zaszytymi drutem
[kolczastej policji]
do krajów ciepłych i nieswoich
gdzie nie ma upalnego szczęścia
[dla włóczędzów

dalekobieżne zegary na poczie
sygnalizują
nadciągające kolendy
smutne to zwiastowanie
bolesna część kamiennie zimnego
[różańca
adwent niewesoły
dla drżącej ociemniałej klatki
[schodowej
w której się gnieźdzą anemiczne
[mysie dzieci
biedna to kolenda
chłodna jak siekiera ostrego drwala
przyłożona do pnia samotnej,
[wyleśnialej choinki
nad ranem szyby potnieją na
[zaślinionych ustach

„jeziora się ścinają”
„wiatry z północy wstają”
[a żurawie?
już się oddawna grzeją na
[piramidach słońca
w dalekim węgierskim egipcie

Nic innego
jeno
węgiel garściami do pieca
[i herbatę
tak jak nasz sąsiad kupiec wenecki
oszustwem bogaty sowizdrzał
co je z chińskiego talerza
unerwionymi końskimi wargami
ryż rycynowy
po całych nocach
po całych nocach

MARIA PAWLIKOWSKA

PLEJADY

Wysoko, jakże wysoko,
Plejady są jak błady, djamentowy kokon.
Błady kokon pajęczy w rosie i nic więcej.
Nic więcej. Aniołowie nazbyt są wysocy —
Kołyszą się w pajęczynach grawitacji,
Podczas najciemniejszej z ludzkich nocy!...

POD MAPĄ NIEBA...

I

Podziwu godny? Wszechświat?
W zimnym blasku gwiazdnych swoich przechwał?
Nie, tylko człowiek, Adam, godny jest pochwały,
On, bezczelny i wytrzymały,
On, przez gwiazdy prześladowany,
Przez mgławice poszkodowany...

II

Chmuro gwiazd, słodko w górze drzemiesz,
Promieniując nam słowo: harmonja!...
Lecz jak ci wybaczyć Ziemię,
Nieskończoności moja?

Dopuszciliście, gwiazdy,
Abyśmy biedni byli i okrutni!...
Więc cóż mi z natchnionego pegaza,
Cóż mi z namiętnej Lutni?
Bo i cóż z najpiękniejszej sukni,
Gdy ją splamiała skaza?

„RAZ ŚNİŁO SIĘ BRUNHILDZIE.”

Dla lotnika Polska to przede wszystkim nieskończona ilość białych kropek na zielonym tle. W niektórych miejscach rozrzucone są jak listki jaśminu po trawniku, gdzieś tam tworzą równy, gęsty długi szereg, wzdłuż tasiemek dróg, także białych, gdyż zaścienionych wapiennym kurzem. Czasem łączą się nieregularne plamy, jakby ktoś wylał szklanekę mleka na sukno bilardu — są to miasta i miasteczka.

Tak wygląda na zachodzie. Na wschodzie białe kropki są rzadsze, natomiast gdzie okiem spojrzeć, króluje szmaragdowa zieleń. Za Brześciem zieleń miesza się z całą gamą kolorów. Płaszczyznę ziemi pod samolotem zaścieniają burożółte ogniska piasków i brązowe, purpurą podchodzące połacie bagien. Między nimi sączą się niebieskie żyłki szlaków rzecznych, oraz tu i ówdzie wybucha porywający granat wielkich źrenic wodnych jezior litewskich, białoruskich i poleskich.

By dolecieć z południowo zachodnich krain aż w te okolice, trzeba koniecznie przeskoczyć przez Rakowice koło Krakowa. Rakowickie lotnisko jest bramą wlotową do Polski i z niego dopiero prowadzą szlaki powietrzne na wszystkie strony świata. Tutaj właśnie kończy się wielka Droga Południowa, rozwieszona nad przełęczami Tatr Skalistych, płynąca przez węgierskie równiny aż z nagiego krasu Gór Chorwackich i weneckich lagun. Tylko z Krakowa Wschodnim Szlakiem można dotrzeć do tajemniczego łądu stepów ukraińskich i do rozlewisk delty Dunaju, wylęgarni pelikanów i wysokonogich flamingów. Tylko przez Kraków dolecieć można do wybrzeży Bałtyku, gdzie ziemia urywa się pod nogami, a świat zmienia się w drżącą masę błękitnego puchu, w którym morze i niebo przenika się wzajemnie, ginąc wśród niedopatrzonych przestrzeni.

Jesienią 1939 roku powietrze na tych szlakach było jasne, miękkie i gęste jak roztopione masło. Nad nimi wisiało pogodne i bardzo ciepłe słońce. Przy ziemi unosiły się łagodne mgielki, znaki długotrwałej pogody i złościły się ścierniska u skraju lasów przetykanych już pierwszymi niemi jesiennej poźloty.

Jednak próżno szukałbyś plamki transportowca na bezchmurnym niebie, próżno nadśluchiwałbyś, czy gdzieś nie przerwie sytej ciszy głos motoru, podobny do stłumionego brzęku trzmiela.

Wszędzie panowały cisza i spokój. Słońce ostatniego dnia sierpnia zachodziło w purpurze, w kłębach oparów i dymów, jak to zwykle bywa, gdy słoneczna pogoda trwa zbyt długo. Z pól zeszli rolnicy, z ogrodów kobiety. W sadach sadownicy liczyli bogaty otrząs dnia, bowiem był to rok urodzaju jabłoni, grusz i śliw. Gdy zaś słońce zapadło wreszcie za pagórkami zachodu, wywłókł się znad spalonych stepów Ukrainy brunatny talar księżycy, niesamowicie ogromny i niesamowicie ciemny...

Dwieście kilometrów na zachód od Krakowa, w pewnej małej miejscowości niedaleko Opola, pod żołnierskim namiotem zaterkotał telefon polowy. Raz, dwa, trzy... trzy krótkie dzwonki. Gruppenführer major Gwido von Blinckenmeyr zwolna wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę z widełek. Od miesiąca trwał zakaz telefonowania, więc wszyscy obecni umilkli i wparzyli się pilnie w piękną twarz, o ostrych rysach, prostym nosie i mocno zaciętych wargach swego dowódcy. Zerwanie zakazu z pilnych musiało wypływać przyczyn. Blinckenmeyr słuchał, po czym z krótkim „jawohl” odłożył słuchawkę i powiódł wzrokiem po obecnych. Jego bladoniebieskie, prawdziwie germańskie oczy posiadały ów dziwny wyraz, który mu wśród podwładnych i kolegów przyniósł przezwisko „Stahlmayer”. Umiały ciąć i przebijać, razić i niszczyć płomieniem,

dalekobieżne zegary na poczcie
sygnalizują
nadciągające kolendy

smutne to zwiastowanie
bolesna część kamiennie zimnego
[różańca

adwent niewesoły
dla drżącej ociemniałej klatki
[schodowej
w której się gnieźdzą anemiczne
[mysie dzieci

biedna to kolenda
chłodna jak siekiera ostrego drwala
przyłożona do pnia samotnej,
[wyleśnialej choinki

nad ranem szyby potnieją na
[zaślinionych ustach

„jeziora się ścinają”
„wiatry z północy wstają”
[a żurawie?
już się oddawna grzeją na
[piramidach słońca
w dalekim węgierskim egipcie

Nic innego
jeno
węgiel garściami do pieca
[i herbatę
tak jak nasz sąsiad kupiec wenecki
oszustwem bogaty sowizdrzał
co je z chińskiego talerza
unerwionymi końskimi wargami
ryż rycynowy
po całych nocach
po całych nocach

MARIA PAWLIKOWSKA

PLEJADY

Wysoko, jakże wysoko,
Plejady są jak błądy, djamentowy kokon.
Błądy kokon pajęczy w rosie i nic więcej.
Nic więcej. Aniołowie nazbyt są wysocy —
Kołyszą się w pajęczynach grawitacji,
Podczas najciemniejszej z ludzkich nocy!...

POD MAPĄ NIEBA...

I

Podziwu godny? Wszechświat?
W zimnym blasku gwiazdnych swoich przechwał?
Nie, tylko człowiek, Adam, godny jest pochwały,
On, bezczelny i wytrzymały,
On, przez gwiazdy prześladowany,
Przez mgławice uszkodowany...

II

Chmuro gwiazd, słodko w górze drzemiesz,
Promieniując nam słowo: harmonja!...
Lecz jak ci wybaczyć Ziemię,
Nieskończoności moja?

Dopuszciliście, gwiazdy,
Abyśmy biedni byli i okrutni!...
Więc cóż mi z natchnionego pegaza,
Coż mi z namiętnej Lutni?
Bo i cóż z najpiękniejszej sukni,
Gdy ją splamiała skaza?

„RAZ ŚNİŁO SIĘ BRUNHILDZIE.”

Dla lotnika Polska to przede wszystkim nieskończona ilość białych kropek na zielonym tle. W niektórych miejscach rozrzucone są jak listki jaśminu po trawniku, gdzieś tam tworzą równy, gęsty długi szereg, wzdłuż tasiemek dróg, także białych, gdyż zaścielonych wapiennym kurzem. Czasem łączą się nieregularne plamy, jakby ktoś wylał szklanekę mleka na sukno bilardu — są to miasta i miasteczka.

Tak wygląda na zachodzie. Na wschodzie białe kropki są rzadsze, natomiast gdzie okiem spojrzeć, króluje szmaragdowa zieleń. Za Brześciem zieleń miesza się z całą gamą kolorów. Płaszczyznę ziemi pod samolotem zaścielają burożółte ogniska piasków i brązowe, purpurą podchodzące połacie bagien. Między nimi sączą się niebieskie żyłki szlaków rzecznych, oraz tu i ówdzie wybucha porywający granat wielkich źrenic wodnych jezior litewskich, białoruskich i poleskich.

By dolecieć z południowo zachodnich krain aż w te okolice, trzeba koniecznie przeskoczyć przez Rakowice koło Krakowa. Rakowickie lotnisko jest bramą wlotową do Polski i z niego dopiero prowadzą szlaki powietrzne na wszystkie strony świata. Tutaj właśnie kończy się wielka Droga Południowa, rozwieszona nad przełęczami Tatr Skalistych, płynąca przez węgierskie równiny aż z nagiego krasu Gór Chorwackich i weneckich lagun. Tylko z Krakowa Wschodnim Szlakiem można dotrzeć do tajemniczego łądu stepów ukraińskich i do rozlewisk delty Dunaju, wylęgarni pelikanów i wysokonogich flamingów. Tylko przez Kraków dolecieć można do wybrzeży Bałtyku, gdzie ziemia urywa się pod nogami, a świat zmienia się w drżącą masę błękitnego puchu, w którym morze i niebo przenika się wzajemnie, ginąc wśród niedopatrzonych przestrzeni.

Jesienią 1939 roku powietrze na tych szlakach było jasne, miękkie i gęste jak roztopione masło. Nad nimi wisiało pogodne i bardzo ciepłe słońce. Przy ziemi unosiły się łagodne mgielki, znaki długotrwałej pogody i złościły się ścierniska u skraju lasów przetykanych już pierwszymi niemi jesiennej pożyoty.

Jednak próżno szukałbyś plamki transportowca na bezchmurnym niebie, próżno nadsłuchiwałbyś, czy gdzieś nie przerwie sytej ciszy głos motoru, podobny do stłumionego brzęku trzmiela.

Wszędzie panowały cisza i spokój. Słońce ostatniego dnia sierpnia zachodziło w purpurze, w kłębach oparów i dymów, jak to zwykle bywa, gdy słoneczna pogoda trwa zbyt długo. Z pól zeszedli rolnicy, z ogrodów kobiety. W sadach sadownicy liczyli bogaty otrząs dnia, bowiem był to rok urodzaju jabłoni, grusz i śliw. Gdy zaś słońce zapadło wreszcie za pagórkami zachodu, wywłócił się znad spalonych stepów Ukrainy brunatny talar księżycy, niesamowicie ogromny i niesamowicie ciemny...

Dwieście kilometrów na zachód od Krakowa, w pewnej małej miejscowości niedaleko Opola, pod żołnierskim namiotem zaterkotał telefon polowy. Raz, dwa, trzy... trzy krótkie dzwonki. Gruppenführer major Gwido von Blinckenmeyr zwolna wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę z widełek. Od miesiąca trwał zakaz telefonowania, więc wszyscy obecni umilkli i wparzyli się pilnie w piękną twarz, o ostrych rysach, prostym nosie i mocno zaciętych wargach swego dowódcy. Zerwanie zakazu z pilnych musiało wypływać przyczyn. Blinckenmeyr słuchał, po czym z krótkim „jawohl” odłożył słuchawkę i powiódł wzrokiem po obecnych. Jego bladoniebieskie, prawdziwie germańskie oczy posiadały ów dziwny wyraz, który mu wśród podwładnych i kolegów przyniósł przezwisko „Stahlmayer”. Umiały ciąć i przebijać, razić i niszczyć płomieniem,

chłodnym jak Morze Północne, słusznie Niemieckim zwane, które tnie, przebija, razi i niszczy bezlitosną falą jesiennych przepływów.

— Służbowy! — padło krótko z ust Stalmayera. Fliegerleutnant Milche podniósł się z ławki podniecony i blady. Z napięciem wszystkich nerwów oczekiwał teraz słów z dawna upragnionych, dźwięku tego rozkazu, który by przyniósł wszystkim wyzwolenie z dłużących się chwil jałowego oczekiwania. Bowiem już od dwóch miesięcy eskadra stała na swym lotnisku polowym w pobliżu Opola w pełnej gotowości bojowej. Baki napełnione po brzegi benzyną, bomby podwieszane, motory po stokroć sprawdzone, załogi w namiotach, gotowe choćby w dziesięć minut po hasło wystartować z lotnisk ku wschodowi. Bowiem ku wschodowi zwrócone były wszystkie spojrzenia, ku wschodowi, gdzie odwieczny wróg miał swe brudne leża. Ku wschodowi, za granicę, gdzie bandy umorusanych, zarośniętych Polaków spiskowały przeciw Świętej Rzeszy, przeciw jej obywatelom, przeciw Führerowi. Cierpliwość Führera była niezgłębiona, gdyż była cierpliwością Boga patrzącego z pobłażaniem na karły drepczące u jego stóp. Była to cierpliwość tego, który wie, że w każdej chwili może zgnieść na miazgę każdy bunt prostym postawieniem swej żelaznej stopy Pana...

Jednak ta cierpliwość była narażona na ciężkie próby. Codziennie radiowe głośniki wieściły straszliwe nowiny o udreće nieszczęśliwych Niemców, których Traktat Wersalski oddał w ręce złośliwych barbarzyńców. Codziennie przez głośnik odzywał się głos gwałconych kobiet i pisk przekłuwanych bagnietami polskiej policji dzieci. Codziennie wszyscy ludzie eskadr stali z zaciśniętymi pięściami wokół głośnika, słuchając o niespotykanych w dziejach bluźnierstwach wobec najwspanialszego narodu świata — i przysięgali zemstę... Zemstę krwi i ognia.

Jednak Führer był jeszcze cierpliwy. Zamiast od razu opuścić pięść i rozrzucić pioruny — czekał. Słał ofertę pokojową za ofertą pokojową i po prostu korzył się przed tą bandą zarozumiałych półpanków, generałów i spiskowców. Jednak tego właśnie wymagał honor niemiecki, honor ludzi prostych, słownych, dobrotliwych, ludzi stworzonych do rządzenia światem, niesienia ziemi kultury i cywilizacji, uczciwej cywilizacji, godnej spadkobierców Barbarossy, której źródła sięgały jeszcze Rzymu.

Stalmayer uklął zrenicami Fliegerleutnanta Milche. Milche zdrzął spojrzeniem, nie z trwogi, bynajmniej, lecz ze zniecierpliwienia.

— Nerwy? — zapytał krótko dowódca.

— Przecież historyczny moment... — wyrwało się porucznikowi mimo woli. Sam przestraszył się dźwięku własnego głosu, tak był chrypliwy i rwany.

— Niemiecki lotnik nie ma nerwów! Historyczne momenty nie są dla słabych. Odda pan służbę Dietlowi, a sam pomaszkuje pan do namiotu i każe podać szklankę zimnej wody. Nie zasłużył pan na to, by ten rozkaz obwieszczony był przez pana eskadrom. Odmaszerować!

Milche z trudem wstrzymywał łzy cisnące się do oczu. Odwrócił się na pięcie pięknym żołnierskim ruchem i wyszedł. Za chwilę w pełnym ekwipunku meldował się w namiocie Fliegerleutnant'a Dietl, grubawy wiedeńczyk.

— B'fehl Herr Major — strzelił obcasami.

— Leutnant Dietl! Jutro o 4.20 wszyscy gotowi do startu. Zamelduje to pan kapitanom Millerowi, von Arnim i Bonifacjuszowi. Dyspozycje: pobudka o 2.30, śniadanie 3.15, omówienie przy maszynach, punktualnie o czwartej — załogi w maszynach. 4.10 zapuszczone motory. Teraz wszyscy do kwater — spać!

Za chwilę major Blinckenmeyr słuchał z zadowoleniem gromkiego „hurra” załóg dochodzącego aż tu, do namiotu. Ruchem ręki zwolnił obu pomocników, sam zaś podparł głowę rękami i zamarzył...

Marzyć? Nie to złe słowo. Niemiecki lotnik działa, nie marzy. Należało jednak sięgnąć myślą do przeszłości. Była godna chwila po temu.

Miał niespełna dwadzieścia lat, gdy spotkał go niezmierny honor służenia w „czerwonej” eskadrze Richthoffena. Piękny był to czas, czas beztroskiej, wojowniczej młodości. Stało mu przed oczyma przytulne kasyno oficerskie w małej wiosce francuskiej, niedaleko frontu, i lotnisko mizerne: kawał dość podmokłej łączki okolonej topolami. Trzeba było zwałać topole, by otworzyć miejsce na doloty.

Ściany kasyna ozdabiała kolorowe kokardy zestrzelonych przez eskadry francuskich i angielskich samolotów. Na stole stała srebrna zastawa przysłana przez Cesarza w dowód najwyższego uznania. Za stołem fotel na miejscu honorowym. Na tym fotelu zasiadał Richthoffen. Jakże piękny był i smukły w swej wciętej „litewce” i kawaleryjskich butach. Germanin błękitnooki, jasnowłosa, ideał Niemca i wojownika.

Ha! Blinckenmeyr sięgnął teraz pamięcią do dwóch najważniejszych dni swego żywota: oto melduje pierwszy zestrzał Francuza, spotyka go błysk spojrzenia Richthoffenowskiego i krótkie twarde pytanie: „spalony?”. Z jakim wstydem musiał odpowiedzieć — że nie... Wreszcie drugi dzień, bodajże nigdy nie nadszedł! Pamiętny dzień przed tragiczną datą śmierci Richthoffena.

Już na jakiś miesiąc przed swą katastrofą Richthoffen zmienił się do niepoznania. Z towarzyskiego, dowcipnego towarzysza stał się nagle odludkiem. Zamykał się w swej kwaterze i nie dopuszczał nikogo do siebie, nawet swych najbliższych przyjaciół. Tłumaczył to cierpieniem z ran niedawno odniesionych. Lecz wszyscy podejrzewali, że ma to głębsze przyczyny. Niektórzy, mający szersze stosunki towarzyskie wspominali o tajemniczym a tragicznym romansie dowódcy z księżniczką Pless...

Lecz, że właśnie Goering i Blaschke święcili swe zwycięstwa: Goering siódme, zaś Blaschke piętnaste, Richthoffen wyjątkowo wziął udział w ucztach wieczornej. Lecz zamiast brać udział w ogólnej zabawie siedział milczący i jakby ponury. Na toasty nie odpowiadał, ani też, jak to dawniej stale czynił nie rzucał ostrych dowcipnych, sarkastycznych uwag pod adresem obecnych. Gdy wreszcie najmłodszy pilot eskadry (jak to było w zwyczajach) wznosił toast „Heil dem Krieg” — Richthoffen nie wstał.

Wszyscy oficerowie z kielichami w ręku oczekiwali słowa ukochanego komendanta.

Richthoffen podniósł głowę:

— Chcecie, bym przemówił? — rzekł wolno cedząc słowa — więc powiem Wam: wojna to nie wrzask chóralny, to nie upijanie się niby patriotycznym krzykiem. Wojna to coś poważniejszego, głębszego. To nie jest ani takie proste, ani takie łatwe, ani tak piękne, jak się wydaje...

Odsunął fotel od stołu, wstał i wyszedł z kasyna. Zapanowała grobowa cisza.

Nie takich słów spodziewali się podkomendni z ust swego przewódcy, nie takich słów Niemcy — z ust Niemca. Posmutnieli tedy wierni towarzysze broni. Wszyscy wstali od stołu i rozsypali się po kątach. Jeszcze ktoś zagrał na fortepianie, ktoś inny usiłował śpiewać „Ich hatte einen Kameraden”, lecz nikt pieśni nie podchwycił. Każdy oglądał się za czapką. Goering, chcąc zatrzeć smutne wrażenie wieczoru, chałaśliwie zaczął organizować wyprawę na dziewczynki do pobliskiego miasteczka. Jednak Blinckenmeyr nie miał ochoty brać udziału w zabawie, chciał czym prędzej znaleźć się na kwaterze i dojsz rozumując, co właściwie Richthoffen miał na myśli. Nie mógł pomieścić w swej głowie tego co usłyszał. Na miłość Boską! Richthoffen i pesymizm, Richthoffen i defetyzm? To nie do uwierzenia. Richthoffen, bóg wojny, pogromca 128 pilotów nieprzyjacielskich, strzelec niezrównany, za którego krokiem kładły się po niebie dymy spalonych maszyn, Richthoffen wspaniały brat myśliwiec i towarzysz walki — smętnym filozofem? To pogodzić się nie dało. To nie mogło stać się drogą prostą i zwyczajną. Tu musiało coś zająć niewiadomego, coś straszego...

Zbyt prędko znalazł rozwiązanie zagadki.

Gdy jeszcze stał oparty o krzesło w pustej już sali jadalnej, ktoś go trącił z lekka, odwróciwszy się ujrzał Letzowa. Letzow ogładnął się dokoła i szybko szepnął jemu, Blinckenmeyrowi do ucha:

— Krew polska odezwie się prędzej czy później...

Blinckenmeyr wbił w Letzowa swe blade oczy i syknął:

— Co p a n ma na myśli?

Świadomie podkreślił słowo „pan”. Mówili sobie „ty” od niepamiętnych lat. Byli przecież razem w korpusie poczdamskich kadetów i nie potrzebowali nawet pić „Bruderschaftu”.

Letzow obrażony tonem przyjaciela, od razu zeszytniał. Wkładając monokl w oko, odpowiedział niby niedbale, lecz w gruncie rzeczy niesłychanie arogancko:

— Co mam na myśli „panie” Blinckenmeyr? Babkę von Podbielskyl

Od tego dnia nie zamienili ze sobą ani słowa więcej. Pojedynek był w czasie wojny niemożliwy, więc tylko unikali się wzajemnie. Na szczęście w dwa tygodnie po Richthoffenie i Letzow został zestrzelony nad Ypres.

Może i dobrze się stało, że Richthoffen zginął — dumal Gruppenführer Blinckenmeyr. Śmierć uchroniła od hańby bohatera narodowego Niemiec.

Do chwili odkrycia tej strasznej tajemnicy Richthoffen był dla Blinckenmeyra wszystkim: ideałem i szczytem ideałów, wzorem i doskonałością, drogą do miłości własnej ojczyzny i wdzięczności dla rasy germańskiej, że potrafiła wydać takiego Richthoffena. Letzow zburzył mu ideał. Zresztą nie uczynił tego Letzow. Letzow skonstatował tylko fakt. Zburzyli mu dumę, radość, miłość i wiarę niemiecką — Polacy. Jedna kobieta, Polka, Podbielska, która domieszała do krwi niepokalanego rycerza Hageny i Zygfyryda w jednej osobie, niższość słowiańską. Granit okazał się tylko piaskowcem. Wstyd nawet o tym myśleć. Na szczęście nikt o tym nie wie, zresztą Bolko von Richthoffen brat Manfreda, postarał się o to, by ani oko, ani ucho. Richthoffen jest sławny, i choć dawno leży w grobie, prowadzi dalej gromady pilotów niemieckich do zwycięstwa. Lecz on, Blinckenmeyr zna prawdę i codziennie pąsowieje ze wstydu.

Gdy skończyła się wojna, krótko na szczęście trwała bezczynność, a z nią smętne myśli o zaprzepaszczonej chwale. Nieśmiertelne Niemcy od razu zaczęły się odradzać. Wśród wertepów Czarnego Lasu, czy piaszczystych pustek Pomorza, w największej tajemnicy zaczęło się tworzyć na nowo dumne lotnictwo niemieckie. Tworzyli go młodzi chłopcy, w ukrytych szopach, w zakazanych parowach w magazynach zakopanych, w głębiach puszczy jodłowych Szwabii.

Wir deutsche Flieger

Wurden zu Sieger

Durch uns allein.

Volk, flieg, Du wieder.

Wyryte w skale obok Roen święte wyrazy nowej pieśni stały się ewangelią, która doprowadziła do zmartwychwstania.

Ukazał się na widowni Hitler, u jego boku stanął Goering. Powołał wszystkich z dawnej eskadry Richthoffena. Blinckenmeyr, mimo bolesnych wspomnień nie odmówił swej współpracy w tym przekonaniu, że Führer jest jedynym powołanym spośród milionów, który odda w ręce Niemców, buntujący się przeciw rasi niemieckiej świat, głupi świat stroniący się od kultury niemieckiej i niemieckiego porządku, jedynego w świecie, jak jedynymi w świecie ludźmi, powołanymi do panowania nad nim są właśnie Niemcy! Któryż bowiem pod słońcem naród ma niemiecki geniusz i wytrzymałość, nerwy ze stali i twardą niemiecką dyscyplinę, by sięgnąć po zamierzenia sięgające nad miarę ludzką? Lecz na to odciąć się trzeba od wszelkich słabości i sentymentu, nie dać dostępu podszeptom czulego serca.

Jak błyskawice zaczęły żarzyć się przed oczyma Blinckenmeyra nadludzką ręką, czarodziejskim ósmym zmysłem jasnowidza pisane ustępy „Mein Kampf”.

Blinckenmeyr nie zrobił wielkiej kariery. Zresztą — nie chciał jej. Pragnął tylko pracować póki mu sił starczy, w szarych szeregach ludzi latających i przygotowujących niemieckie lotnictwo do podbicia świata. Miało ono później strzec podbity świat pod swymi skrzydłami „jako kokosz strzeże swe małe”. „Kokosz strzeże swe małe”; ujrzał ciemne wnęki poczdamskiego kościoła, nawę surową i pustą, pozbawioną rzeźb i obrazów. W nawie: szeregi kadetów w ławkach, na ambonie — pastora czytającego z wielkiej księgi ustępy z Pisma Świętego. Pastor miał głupią gębę, zaś słowa, które akcentował z przesadną emfazą, były nudne, bez wyrazu i przede wszystkim jak trzcina wiatr. Gdzieś tym słowom mierzyć się z pierwszymi zwrotkami starej sagi Nibelungów. „Raz śniło się Kriemhildzie, że orzeł opała na nią”. Precz z kokoszami! Jak orły nad doliną, tak nad światem krążyć będą samoloty niemieckie, niosące pax germanica i niemiecką siłę. Zamieni się „Die Wacht am Rein” na „Die Wacht um die Welt” Lieb Vaterland, magst ruhig sein...

Richthoffen powiedział kiedyś... Precz dzisiaj z Richthoffenem. Można już wyrzucić go za okno, razem z jego sławą, jak niepotrzebną szmatę. Takich Richthoffenów, ba lepszych, bowiem wyprowadzonych z czystej krwi, wychowanych w zdrowym duchu starożytnych Germanów, będzie tysiące. Cóż tam te sto dwadzieścia osiem starych pudeł, podrutowanych jak rozbite garnki. Nie sztuka było je zestrzeliwać. Jutro tysiącami będą lecieć z nieba nowoczesne samoloty wroga; fortece powietrzne najeżone karabinami. Będą smały się w płomieniach, będą, kręcąc zwitki korkociągów, rozpryskiwać się o ziemię, w ogniu i krwi. To będzie naprawdę Blut und Boden. Co słabe niech ginie. Zagłada jest przeznaczeniem wszystkiego co słabe.

Przypomniał sobie nagle bladą twarz tego młodego idioty, Milcha. Zadzwonił... W chwilę po tym uniosła się zasłona wejścia i na ciemnym tle nocy pojawiła się krępa sylwetka Dietla.

— Z’Befehl...

— Dietl! Jutro rano, przed lotem, odda pan służbę Milchemu. Pan poleci w jego maszynie. Zamelduje to pan swemu dowódcy. Zrozumiano?

Dietl pokraśniał z radości.

— Z’Befehl — wrzasnął.

— Zakomunikuje pan moją decyzję Fliegerleutnantowi Milche niezwłocznie. Ich danke...

Dietl zniknął. Blinckenmeyr wstał od stołu i wyciągnął się na łóżku połowym. Było późno. Zasnął natychmiast twardym snem człowieka, który spełnił do końca zadaną mu pracę.

Punktualnie o drugiej zadzwonił budzik. Blinckenmeyr wstał i podszedł do telefonu. Kazał się połączyć ze sztabem grupy. Krótka trwała rozmowa. Ktoś wymienił po drugiej stronie drutu tylko jedno słowo, cyfrę i podał godzinę. Blinckenmeyr z przyjemnością zauważył, że jego zegarek nie spóźnia się ani minuty. Położył słuchawkę, sięgnął do żelaznej skrzynki stojącej obok biurka i otworzywszy ją, wyjął długą grubą kopertę. Koperta była pełna map i ponadto zawierała krótkie pismo. Rzucił nań szybko okiem i z radosnym westchnieniem powiedział do siebie: „Krakau”.

Jeszcze porządkował papiery, gdy wszedł do namiotu Dietl. Wyprężył się na progu.

— Co takiego?

— Melduję, że znaleziono w namiocie ciało Leutenanta Milche. Strzał w głowę. Samobójstwo...

Blinckenmeyr kiwnął tylko ręką.

— Zostawić! Nie czas za głupie sprawy. Der Krieg ist da! Gdzie są załogi?

— Na śniadaniu, omówienie dopiero na dwadzieścia pięć minut.

— Za dwadzieścia trzy, Dietl. Ale mniejsza o to. Czy pan ma jeszcze coś?

— Czy mam lecieć, Herr Major?

— Pan ma służbę, Herr Leutnant Dietl — brzmiała surowa odpowiedź przelotnego. I po chwili dodał, zamelduj pan Millerowi, że najlepiej będzie, jeśli Kessel obejmie trójkę w miejsce Milcheho. Ich danke...

Dietl odchodził.

— Halt! Jeszcze chwilkę. Dietl, czy pan opowiadał już komuś o tym... tym wypadku z bronią?

— Zameldował mi o wypadku szeregowiec Lang. Przytrzymałem go w namiocie pod strażą...

— Dobrze pan zrobił. Żeby mi nikt nie pisnął nawet o tym, co się stało. Nie czas na bzdury, gdy dzień pomsty wybił...

Punktualnie o godzinie czwartej minut dziesięć ruszyły ze startu pierwsze samoloty. W czołowej leciał major Blinckenmeyr za nim dwadzieścia siedem smukłych Dornierów 17, wszystkie kursiem na wschód. O piątej zgrupowanie przelatywało granicę. Atak na lotnisko krakowskie miano wykonać z lotu koszącego, więc już od granicy dowódca ciągu obniżył lot, schodząc tuż nad ziemię. Mijali miasteczka i wsie, przeskakiwali drogi, szyli tuż nad lasami, prawie dotykając brzuchem maszyn wierzchołków drzew obfitych. Jeszcze mrok i przyziemna mgła stały się nad pastwiskami. Chwilami zaledwie odgadywali ich zarysy. Blinckenmeyr leciał, mocno opierając nogi na orczykach. Czuł owo radosne zdziwienie pomieszane z obawą, uczucia, jakich doznaje uczeń lotnik przy pierwszym swym samodzielny locie. Motory ciągnęły swe monotonne pieśni oparte na wysokich i niskich tonach. Na ich tle wybuchały synkopicznie inne melodie, grane na instrumentach całych orkiestr symfonicznych, formując zwycięskie marsze. Słuchał ich Blinckenmeyr. Łączyły mu się w uszach z okrzykiem radosnym załóg po odprawie. I oni też doczekali się godziny, w której przyjdzie kres na wszystkich Podbielskich, a za Podbielskimi na cały zgniły, świński świat. Strasse frei für braune Luftflotten...

Przy mroku poranka na przemian to błękitno to czerwono błyskają ognie z rur wydechowych motorów. Kadłuby ociążały od bomb, karabiny maszynowe z nasadzonymi, pełnymi naboju bębnami. Do walki! Jaśnieje na wschodzie, wkrótce wstanie słońce. Jakże jasno zabyśnie świat nad lotniskiem krakowskim! Po lewej mijają zarysy jakiegoś miasta, smukła wieża wypływa sponad oparów Tchenstochau — Częstochowa. Świszcząc tną głęboko niemieckie śmigła powietrze nad nieprzyjacielskim krajem. Przemielają je stalowym młynem z polskiego na niemieckie. Bowiem od Boga mają daną siłę Midasową. Gdy jednak pod królewskim dotknięciem greckiego herosa wszystko zamieniało się w złoto, pod dotknięciem niemieckiego skrzydła wszystko obraca się w kamień węgielny, na którym buduje się germańskie marchie.

Oto cienki strumyk, za nim już jasna struga Wisły. Teraz wzdłuż rzeki. Oto pierwsze białe domy wielkiego skupiska, nad nimi na skale charakterystyczna sylwetka królewskiego zamku. Znał dobrze ten kontur strzelisty. Nieraz bywał w Krakowie, ucząc się na pamięć kształtów każdej skały, która strzeże serca Polski.

Dobra była nawigacja, lecz to nie zasługa busoli, lecz spragnionego zemsty serca. Teraz ostry zwrot i skok przez małe domki, wtulone w ogrody pełne płomienistych dali. Oto dwa pola, rząd topól i stary fort. Podciągnięty samolot wznosi się do potrzebnej wysokości, by bomby mogły detonować bezpiecznie. Oto i hangary...

„Los” — krzyczy do mikrofonu Blinckenmeyr i już czuje wstrząs wybuchających za nim bomb. Naciska spust. Błyski kul świetlnych lecą

ku ziemi, którą otacza od razu mrok dymu i ognia. Trójki lecą jak na manewrach. Wychylają się z kłębow dwaj skrzydłowci. Plują, żygają ogniem przed siebie...

Drzewa, budynek, wyskok. Druga runda. Wszystko jakby we dnie. Ogień, dym, huk, gwałtowne wstrząsy, łomot karabinów maszynowych, brzęk motorów śpiewających na pełnym gazie, na bojowych obrotach! Ha, wojna... wojna... niemiecka wojna!

* * *

Imperator świata skierował palec w dół. Gladiatora dobito. Polska leżała martwa u stóp niemieckich. Od razu genialna organizacja tyłów zaczęła wysypywać nowym czystym piaskiem skopaną pociskami przestrzeń wielkiej areny między Bugiem a Wisłą, Bałtykiem a Karpatami. Drugi akt przedstawienia miał nastąpić, lecz już na scenie innego teatru.

Po kampanii polskiej niewiele pozostało z dywizjonu Blinckenmeyra. Miller zginął. Bonifacius leżał w szpitalu skuty gorsetem gipsowym po postrzale w krzyże. O Armie nie było nawet wieści. Nie powrócił z lotu nad Lwów. Właściwie z całej „Gruppe” cało wyszli jedynie on i Leutnant Dietl.

23 dni trwała kampania francuska. Między jedną kampanią a drugą Niemcy po drodze, jakby mimochodem zgięli karki Norwegom. Duńczykom. Holendrom i Belgom. Już pół Europy było w rękach niemieckich.

Blinckenmeyr zaawansował na podpułkownika. Na jego szyi błyszczał komandorski krzyż żelazny. W dowód najwyższego zaufania Goeringa został mianowany Geschwader Kommodore, dowódcą zgrupowania bombowego, które na lotniskach Francji przygotowywało śmiertelny cios dla ostatniego nieprzyjaciela Anglii.

Jadąc z Berlina do Normandii Blinckenmeyr zatrzymał się na kilka dni w Paryżu. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe kazał się zawieźć na Champs Elisées. Zatrzymał wóz u stóp Arc de Triomphe i wysiadł. Przed nim leżała płyta nieznanego żołnierza, nad którą tkwił kamienny znicz, pusty dziś i bez płomienia. Słusznie, bowiem tylko jeden żołnierz na świecie zasługuje na ogień ofiarny: żołnierz niemiecki, dla którego w imię wielkości Ojczyzny nie ma nic niemożliwego. Jakże marne i małe wydają się dzieje żołnierza napoleońskiego, wobec chwały wielkiego wieku zwycięstwa Rzeszy?

Blinckenmeyr postąpił parę kroków ku płycie i postawił jedną stopę na szarym kamieniu grobu. Czuł dobrze, jak ten tam w dole, bezsilny trup, pigmej niewolniczej rasy, ożywa w swej trumnie i wije się, czując żelazną piętę na swym karku. Blinckenmeyr poił się tym mistycznym triumfem i radość rozpieła mu piersi.

Podniósł swój wzrok na miasto. Spojrzał ku długiej alei, skąpanej złotym słońcem poranka, spływającej w szumie drzew, kolumnadą gmachów w dół, ku placowi de la Concorde. Tę drogę trzykroć w ciągu jednego wieku przemierzały zwycięskim marszem niemieckie bataliony. Patrzył i łowił uszyna duszy odgłosy trąb, bębnow i piszczałek, chwycił echa łomotu solidnych butów niemieckich, uderzających miarowo w bruk paryski. Jeszcze w ciepłym powietrzu grzmiały echa niezapomnianych chwil triumfu.

Z kolei zwrócił oczy ku północy, gdzie pełzły po niebie wesołe pyzate chmurki, dobry schron lotnika. Z takiej chmurki można wypaść na nieprzyjaciela od strony słońca, kryjąc drapieżną sylwetkę samolotu w wiążące jego oślepiających promieni.

Chmurki, obłoczki. Ozdoba nieba letniego. Może za godzinę znajdą się już nad Kanalem, nad ziemią angielską. Jeszcze są niewinne i puste. Lecz już niebawem będzie inaczej. Czas nie nagli... Niemieckie bata-

liony, niemieckie lotnictwo zawsze ma czas na zwycięstwo. Trzeba tylko mieć mocną szpadę i wiedzieć gdzie i kiedy uderzyć.

Szedł wolno lewą stroną Elizejskich, z mocnym postanowieniem użycia Paryża, ile się tylko da w ciągu pozostałych mu trzech dni urlopu. Szedł środkiem chodnika i patrzył rozbawiony, jak niektórzy cywilni szybko schodzili na bok, otwierając mu drogę. Jeden nawet, jakiś starszy jegomość z siwym wąsem sięgnął do kapelusza. Odsalutował mu łaskawie i pomyślał, że przyjemnie być w Paryżu i maszerować jako zwycięzca po Elisées, lecz jeszcze przyjemniej będzie w tym samym mundurze i z tym samym monoklem w oku iść przez Piccadilly ku Hyde Park Corner, skrócić potem w lewo pod takim samym, może mniejszym łukiem triumfalnym do ogrodów królewskich, by wreszcie paradnym wejściem wkroczyć do pałacu Buckingham, do Ortskommandantur, gdyż tam, a nie gdzieindziej Ortskommandantur mieścić się powinna.

— Heil Hitler! — pozdrowił go jakiś młody chłopak w mundurze S.S. — podnosząc w górę dłoń.

— Heil... odpowiedział dość sarkastycznie, zły, że mu przerwano rycerskie marzenia. Nie podniósł ręki, nie znosił S.S. ich wszędobylstwa, pychy, natręctwa i wrzaskliwości. Niewątpliwie, mieli swe zasługi. Dobrze odbudowali Niemcy, lecz cały ten wysiłek na nic by się nie zdał, gdyby nie przypadek, że mieli do czynienia z narodem, którego w miłości ćwiczyli od trzystu lat najlepsi oficerowie świata. Szedł dalej, gdy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Nie odwracając głowy strzepnął ją krótkim ruchem, jak strzepuje się muchę z kołnierza. Teraz odwróciwszy się spojrział bystro na śmiałka.

Przed nim z surową miną, z brwiami ściągniętymi, stał spotkany przed chwilą nazista.

— Pan pozostawił bez odpowiedzi niemieckie pozdrowienie! — oświadczył zacepliwym głosem władcy i sędziego, który zupełnie nie szedł w parze z jego chłopięcym wyglądem i młodocianą twarzą.

— Ach, so... rzekł Blinckenmeyr. Spokojnie wyjął monokl z oka, nasadził go znowu i zmierzył młodego człowieka od stóp do głowy. Wyciągnąwszy dłoń, delikatnie zaczął bawić się jego bogato wyszywanym naramiennikiem, przypatrując się naszymi przez monokl z niezmiernie pilną uwagą.

— Piękne pętelki! — odezwał się niedbale. — „To Standartenführer, nieprawdaż? Taki młody a już „Standartenführer?... Gratuluje...

Nagle zmienił ton, zaciął spojrzeniem twarz chłopca i syknął dobitnie:

— Niech się bawi z Żydami, a nie z oficerami niemieckiej armii, zrozumiano?

I odwróciwszy się poszedł swoją drogą, pozostawiając na środku chodnika oślupiałego dostojnika partii. Zajęcie wprawilo Blinckenmeyra w doskonały humor, który trwał bez przerwy przez następne trzy dni i trzy noce, w których spał mało, pił dużo i używał wszelkich rozkoszy podbitego miasta, jak przystało zwycięzcy.

* * *

Jeszcze nie zdołano uprzętać krwawego pokłosa z pobojuwisk Holandii, Belgii, czy Francji, gdy już olbrzymia machina wojenna zaczęła ryc przyatlantyckie ziemie, budować nowe schrony, fortece, nowe lotniska, wznosić maszty radiowe i pokrywać betonem drogi. Po tych drogach z południa i wschodu zaczęły ciągnąć tysiącami ciężkie i lekkie samochody, czołgi, ciągniki, wymyślne maszyny o wagach tysięcy ton, a nawet całe szkielety domów i gotowe mosty. Wreszcie zaczęła maszerować piechota i maszerowała długo. Departamenty Pas de Calais, Somme, Seine Inferieure, Calvados, la Manche, Ile de Vilaine i Cote du Nord, całe wybrzeże Belgii i Holandii zaroilo się batalionami zwycięzców. Po rynkach małych miasteczek grzmiały orkiestry, dźwięczały czynele i świsz-

czają przeraźliwie piszczałki, a pieśni rzucane dumnie z młodych piersi żołnierskich drażyły powietrze. Echa ich szły daleko, objając się o białe skały Dovru, po drugiej stronie kanału.

Naprzeciw tej wścieklej potęgi, gniożącej pod juchtowymi butami trzy czwarte Europy, stanęła teraz malutka Anglia. Był to czas, kiedy rozdzielano między ochotników, gwardii krajowej Cornwalii i Devonu — piki gdyż karabinów nie było, a dubeltówek dla wszystkich nie starczyło.

Już padły pierwsze strzały z dalekonośnych dział, kładą pokotem domy Folkestone'u, gdy Blinckenmeyr wystartował z małego lotniska koło Rouen nad Anglię na pierwszy lot operacyjny. Jemu jako komodorowi zgrupowania przysługiwał ten zaszczyt. Świeżo utworzona jednostka lotnicza, nad którą objął dowództwo, składała się z czterech dywizjonów bombowych Heinkelów 111 i Dornierów 215 i nosiła dumne miano bojowca o wolność niemiecką, bohatera i męczennika Andreas Hofera. Obok krzyża wymalowano na nosach bombowców herb Tyrolu.

Wdrapywał się na siedzenie pilota z przedziwnym uczuciem, że w tej chwili ciałem się staje wielkie słowo przyrzeczenia danego przez Niemcy światu, iż opanują go i zamienią go na wielką wyspę szczęścia i porządku we wszechświecie. Rzecz jasna szczęścia i porządku niemieckiego. Otwarty się ostatnie drzwi, prowadzące do krainy wypełnienia, a on Blinckenmeyr stawia na jej progu stopę zwycięzcy tak, jak postawił ją niedawno na grobie nieznanego żołnierza, pod Łukiem Triumfalnym pokonanej Francji.

Przygotowując podwładnych do Wielkiego Dnia mówił na odprawie: „Uczcie się nienawiści. Jedyne nienawiść jest siłą, która buduje. Kto silniej nienawidzi, ten zwycięża, my Niemcy umiemy nienawidzić mocniej niż inne narody, dlatego danym nam będzie opanować ziemię. Wtedy, będzie czas na inne uczucia...”

— Hals und Beinbruch! — rzekł Dietl pomagając dowódcy przy wdrapywaniu się na skrzydło.

Przywiązując się do siedzenia i przymocowując spadochron Blinckenmeyr czuł, że jego nienawiść jest absolutna i doskonała. Jest spokojna, zimna, gruntuwna i trwała. Uformowała serce i duszę i przeniknęła do każdego nerwu ciała. Stała się motorem, którego bieg, jak bieg śmigła, był równy, silny i nieodparty. Jak śmigło skłóca powietrze i wyrwywając jego przezroczyste płyty, zmusza by w jęku i świcie pędziło tony żelaza i stali przez nicość wysokości, tak, mocna i skoncentrowana nienawiść, uderzając o każdą zaporę, na drodze ostatecznego zwycięstwa, poszarpie ją i wykorzysta opór tylko do nowego skoku. Bowiem Bóg stworzył opór, by na nim okazywała się fizycznie wspaniałość wszelkiej siły...

Zadźwięczały motory. Samolot po krótkim starcie oderwał się od ziemi i zaczął płynąć ku górze. Od razu ziemia przysłaniająca dotychczas wszystko, stała się jedynie fragmentem całości. W miarę nabierania wysokości czarne dno ziemi podzielone zostało na część matową — gruntu i błyszczącą — morza. W górze urosła olbrzymia kopuła wypełniona opalizującymi cząstkami światła, drżąca i przezroczysta, mętniejsza tam, gdzie dotykała elementu stałego skorupy globu. Niebawem samolot znalazł się nad ową szarą smugą, ostatnią granicą wszelkich brudów ziemskich, znaną tylko lotnikom, stale opasującą słoneczny horyzont. Przed nosem maszyny wypłynęło teraz morze, niebywale błękitne, srebrzące się delikatnie w łuskach wiatru i upału. Tu i ówdzie ostre dzioby niemieckich ścigaczy tworzyły na nim puszyste wachlarze białych wyszumów. Dalej ku północy wstęga kredowych skał i cienista zieleń nad tą wstążką — to już była Anglia.

Pilot i obserwator nałożyli maski tlenowe. Termometr zaczął opadać: 40... 45... 50 stopni poniżej zera. Jednak ogrzewane elektrycznie ubrania lotnicze chroniły ciała przed zimmem.

Zbliżali się do wybrzeża. Uwaga! Oto pierwsza zapora ogniowa. Na prawo i lewo pojawiły się zabawne czarne obłoczki i odpłynęły w tył. Pękając ukazywały na maleńką chwilę świetlne ziarna wybuchu.

„Myśliwiec z lewej” — zawołał obserwator. Blinckenmeyr czuje podniecenie. Widząc biały „cumulus” w dole po lewej, nurkuje w jego mglistość i od razu świat słoneczny rozplywa się w opalizującym mleku. Robi teraz wiraż i wychodzi znowu w promienny błękit letniej przestrzeni. Nie ma już myśliwca. Wszystko w porządku, zabawa w chowanego udała się.

Obserwator porównuje teren z mapą.

— Za dwie minuty jesteście nad celem...

Za pociśnięciem guzika zaczęły pracować obie filmowe kamery, nawiązując zdjęcie po zdjęciu w długim paśmie. Jedno okrążenie, drugie. Robota skończona. Blinckenmeyr bierze kurs powrotny, mierzy wzrokiem odległość samolotu od obłoków, które zostawili za sobą daleko. W tej chwili obłoki znajdowały się prawie pod horyzontem. Przed nimi był czysty, niczym niezmacony błękit nieba.

— Jeżeli nas teraz dopadną, to nie będzie miłe — myśli...

— „Myśliwiec od tyłu” — daje znać strzelec. Blinckenmeyr patrzy w lusterko i nie może pokonać lekkiego dreszczyka, który mu oziębził plecy przyciśnięte pasami do siedzenia. „Jeżeli tylko jeden, to jakoś to będzie” kombinuje. Lecz w lusterku widzi wyraźnie zamiast jednego trzy punkty, które znajdują się na tym samym co i on kursie i rosną z każdą chwilą. Strzelec rzuca: „trzy myśliwce od tyłu”. Blinckenmeyr daje pełny gaz i lekko pochyla nos maszyny ku ziemi, dla uzyskania większej szybkości. Błogosławione cumulusy, jedyny ratunek podniosły się nieco nad horyzont i są bliżej. Jednak dreszcze nie przestają chodzić po plecach. Blinckenmeyr zmienił się teraz cały we wzrok i czujność. Wie, że gra wysoką stawkę...

Trzy lub cztery świetliste pasemka przemknęły tuż nad skrzydłami. — „Atakuje od prawej” — krzyczy obserwator. Blinckenmeyr automatycznie kładzie samolot w głęboki wiraż. Nowe pasemka nie pojawiają się, natomiast ciemny cień nieprzyjacielskiego samolotu na ułamek sekundy przysłonił słońce. Przemknął tak blisko, że wydawać się mogło, iż zderzenie jest nieuniknione. Lecz nic takiego nie stało się i cień zamienia się w malutki samolotek, zabaweczkę dzieciinną, która ginie w dole na tle ziemi. Kabiną wstrząsają drgawki własnego ognia. Napęlnia się gryzącym dymkiem spalin.

Blinckenmeyr w mgnieniu oka ocenia sytuację. Teraz opadnie go za chwilę dwóch naraz, gdy ten z dołu podejdzie mu pod brzuch... Stara taktyka Richthoffena... Richthoffena... Już o nim zapomniał. I teraz, właśnie teraz pojawia się znowu jego duch złowieszczy? plama życia i nieśczęścia?

Przez rozwaloną pociskiem szybę wdziera się do wnętrza przejmująco zimny prąd powietrza. Pierwsze trafienia. Unik. Oto dwie ogniste nitki dotknęły delikatnie prawego skrzydła, tuż przy motorze. Blinckenmeyr robi nowy unik.

— „Atakują od prawej i z dołu” — ostrzega strzelec. I znowu gryzący dymek wystrzałów drażni węch.

— Byle tylko do chmur, żeby do chmur! — myśli, zacinając zęby z wściekłości. Nie boi się wcale. Jest zły. Z zimną krwią kręci maszyną uciekając od strzałów. Po jednym z uników znów samolot nieprzyjacielski przemknął blisko po lewej. Był to Hurricane. Miał kokardę wymalowaną w kadłubie, a na nosie małą czerwono-białą szachownicę. Polak! Od razu oblała Blinckenmeyra purpurowa fala nienawiści. Już nie obchodziło go, czy chmury są blisko, czy daleko, czy zdoła się uratować, czy padnie ofiarą nierównej walki. Zaciśnął zęby i odchylił ster gwałtownie od siebie. Postanowił osiągnąć i zdruzgotać nieprzyjaciela, zniszczyć

go, zniweczyć, unicestwić choćby kosztem własnego unicestwienia. Piku-
jąc na gazie nie patrzył na zegar szybkości, jedynie na ciemną sylwetę.
podobną do wrzeciona ze skrzydłami, którą należało doścignąć i wbić się
w nią, rozpruć na strzępy i drzazgi.

W tej chwili wydało mu się, że słyszy głośny śmiech. Spojrzał w bok i
zadrżał. Oto zamiast obserwatora, siedział obok niego Richthoffen, patrzył
nań swymi błękitnymi oczyma i śmiejąc się do rozpuku pytał: „Spalony”?

Blinckenmeyer szarpnął z całej siły sterami, chcąc wyjść z szaleńczego
biegu, odegnać upiorne widzenie i wrócić do ziemskiej rzeczywistości walki.
Lecz stery mocno zaparte nie cofnęły się. To Richthoffen śmiejąc się
przytrzymał mu koło sterowe, a nogą zablokował orczyk. Śmiech jego
dźgał jak nożem. Stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej wszech-
władny. Blinckenmeyer uległ. Zagłuszał złowrogi świst pikującej maszyny
Obezwładniał. Podniósł ręce od sterów i zatkał uszy byle nie słuchać,
byle tylko nie słyszeć. Jednak słyszał; Richthoffen śmiał się, śmiał się bez
przerwy. Nie przestał się śmiać nawet wtedy, gdy wszystko zanurzyło się
w mroźną, niespokojną, nieprzejrzystą ciemność, której jedyną treścią był
martwy strach, nienawiść bezsilna i nieustanny śmiech zatracenia.

Porucznik Orlos opowiadał potem w messie, podkreślając opowiadanie
szerokimi gestami, ku zgorszeniu kolegów Anglików: „Zaatakowałem
szwaba, lecz ten zrobił unik w lewo i minąłem go po prawej. Na to szwab
zamiast dać szusa w chmurę przed nosem, zapikował ze mną, jakby chciał
się we mnie wtranżolić. Mało mi nie przyciął ogona. Wyrwałem, a on
pikował dalej. Nie dymił. Widocznie pilot oberwał. Już nie wyciągnął
z piki. Zapalił się dopiero na dole, na ziemi. Taka chmura dymu! —
pokazał wyraziście, zmiatając w zapale szklankę whisky na ziemię. —
Szklanka się rozbiła, a whisky rzecz jasna rozlała.

Ponieważ zestrzału nie można było przyznać z czystym sumieniem
żadnemu z pilotów, Intelligence Officer Grupy podzielił zestrzelonego
Heinckla 111 na równe trzy części, przyznając każdemu z trójki jedną
trzecią upolowanej zwierzyny. —

ARTHUR KOESTLER

INTELIGENCJA

(tłumaczył Z. Haupt)

I.

„Inteligencja” jest jednym z określeń trudnych do zdefiniowania, łat-
wych do skojarzenia. Z punktu widzenia logiki określenie to jest niejasne
ale emocjonalnie biorąc jest ono przejrzyste. Słowo inteligencja jest wy-
obrażeniem lub raczej wielu wyobrażeniami które pokrywają się i od-
mieniają zależnie od czasu i miejsca. Wyobrażać może Romantyczny
salon, środowisko zawodowych średnich klas, terrorystyczne organizacje
studenckie i arystokratyczne pierwszej połowy dziewiętnastego wieku
w Rosji, patriotyczne korporacje studenckie ponapoleońskich Niemiec,
cyganerię Montmartru itp. Przypominają ją nawet nazwy geograficzne
jak Bloomsbury, Montparnasse i Cagnes; pewne typowe ustosunkowanie
się do życia włączając w to strój, sposób uczesania, pożywienie i trunki.
Środowisko inteligencji zmienia się ciągle; jej czasowi przedstawiciele
podzieleni są w klasy i podgrupy i granice jej zasięgu zaciera napływ na-
śladowców lub wieszający się przy niej członkowie arystokracji, mecenasi,
prostyutki, wielbiciele, pomyleni i Obiecujący Młodzi. By nie grzeszyć
zbyt impresjonizmem w naszym sądzie sięgnijmy do Słownika Oxfordzkiego
po solidną definicję.

Znajdziemy:
„Inteligencja, część narodu (w szczeg. rosyjskiego) która stara się myśleć niezależnie”.

Tyle Związły Słownik Oxfordzki, 3 wyd. 1934.

Okolo 1936 roku, w klimacie Pink Decade i Front Populaire zaszła znacząca zmiana:

„Inteligencja, wykształcona warstwa ludności uważana za zdolną do kształtowania opinii publicznej”.

(„The Shorter Oxford Dictionary”, 2 ed., 1936).

Okazuje się w międzyczasie że druga wersja brzmi zbyt optymistycznie lepiej tedy powróćmy do tej pierwszej, doskonalszej. Według niej „stara się ona myśleć niezależnie“ i to jest jedyną wartościową charakterystyką — grupy inteligencji.

Jak jest z tym, że to pragnienie aby myśleć niezależnie rodzi się jedynie w części narodu? W naszym, wyzbytym klas świecie, nie jest ta część narodu przypadkową kompanią ludzi utalentowanych — czy to będą światli książęta, synowie górników czy doktorzy wszechnauk. Inteligencję danego okresu tworzy ta sama społeczna tkanina — której luźne nici rozpoznamy we frendzlach. Poszczególny inteligent nie jest ani koniecznym ani wystarczającym warunkiem. Rozpatrzmy tedy powstanie tej szczególnej grupy jako zjawiska społecznego tak jak dalece to dotyczy nowoczesnego społeczeństwa poczynając od Rewolucji Francuskiej.

II.

INTELEGENCJA I STAN TRZECI

Dążność do niezależnego myślenia pośród górnych warstw Stanu Trzeciego była nie tyle luksusem ile straszliwą koniecznością w walce o byt. Młody mieszczanin, przygnieciony monstrualnym gmachem feudalnym, miał zdobyć historyczny Lebensraum, wysadzając feudalne totemy i tabu dyhamitem „niezależnej myśli”. Pierwszymi nowoczesnymi intelektualistami byli Encyklopedyści i weszli oni na scenę historyczną jako wielcy ikonokłści i burzyciele. Zmartwychwstanie Goethego w naszych czasach byłoby nie do pomyślenia ale Voltaire w ciągu dwu tygodni zaaklimatyzowałby się w Bloomsbury, zdobywając tygodniowe konkursy w New Statesman'ie. Bo Goethe był ostatnim renesansowym geniuszem, bezpośrednim następcą Leonarda i jego stosunek do społeczeństwa był stosunkiem dworzanina jakiegoś światłego florenyńskiego księcia; podczas gdy Voltaire począł burzenie feudalnych dóbr.

Inteligencja w nowoczesnym pojęciu pojawia się jako część narodu która w swej społecznej sytuacji nie tyle „aspiruje” ile jest z m u s z o n a do niezależnego myślenia to znaczy do przyjęcia takiego typu zachowania się grupy które burzy istniejącą hierarchię wartości (z których zasobów jest wykluczona) i równocześnie stara się zastąpić je swymi wartościami. Twórcze skłonności inteligencji są drugorzędnym objawem. Prawdziwi ikonokłści odznaczają się zawsze proroczym patosem i wszyscy burzyciele kryją wstydliwie żyłkę pedagogiczną.

Skąd te ich własne wartości? Analitycy marksistowsy tak kończą zbyt uproszczony schemat:

„Burżuazja, historycznie, odegrała najbardziej rewolucyjną rolę... Ciągłe rewolucjonizowanie wytwórczości, niepowstrzymane zaburzenia w warunkach społecznych, wieczna niestałość i podniecenie odróżniają epokę mieszczańską od innych wcześniejszych. Wszystkie stałe, zastygłe związki, z ich zasobem starożytnych i czcigodnych przesądów i opinii zostały zmiecione a nowowykształcone stają się przestarzałe zanim jeszcze osiadły. Wszystko co stałe taje w powietrzu, co święte zostaje sprofanowane i człowiek ze smutnym uczuciem staje w obliczu rzeczywistości życia i wobec własnego gatunku...”

I to zarówno w materialnej jak i duchowej twórczości. Twórczość intelektualna poszczególnych narodów staje się wspólną wartością. Narodowa jednostronność i ciasnota stają się niemożliwymi i pośród licznych narodowych i lokalnych literatur powstaje literatura światowa”.

(Manifest Partii Komunistycznej 1848.)

Pierwszy przytoczony paragraf ukazuje nam Marksa i Engelsa w ich najlepszej formie; w drugim robią skok od ekonomii do „Superstruktury”: kultury, sztuki, psychologii mas. Społeczeństwo marksowskie ma fundament-produkcję i poddasze-twórczość intelektualną; brakuje klatki schodowej i windy.

Bo to nie jest tak proste jak to: że triumfująca klasa społeczna tworzy filozoficzną nadbudowę jakby zamawiała ubranie „do miary”. Encyklopedia nie została napisana przez Zgromadzenie Narodowe. Kiedykolwiek klasa lub grupa powstawała zwycięsko z walk, sięgała po ideologię dla siebie jak po „gotowe ubranie” w składach odzieżowych. W ten sposób Marx znalazł Hegla i Feuerbacha a Ricardo, Mussolini mieli tylko podjąć Sorela i Pareto, Hitler odkrył Gobinau Houstona Stuarda Chamberlaina i Junga; Stalin ożywił Machiavellego i Piotra Wielkiego. Mamy do czynienia ze zjawiskami prawdziwych, postępowych rewolucji i tych które mają po prostu cofnąć się do starych form—niekoniecznie ostatnich, do przedostatnich lub przed-przedostatnich, budząc romantyczne odrodzenia i zadając pseudorewolucyjny posmak tym „rewolucyjnym à rebours”. Zawsze znajdzie się część inteligencji, która porzucając marzenia o „wolności myśli” i wyrzekając się postępu wynajmuje się tym romantycznym odrodzeniom. To są ci zmęczeni i cynicy, hedoniści, romantyczni niewolnicy, zamieniający dynamit na ognie bengalskie, tacy jak Juenger, Montherlant, Ezra Pound.

Tych poniechawszy, pozostaje nam wyjaśnić jak i dlaczego prawdziwe, oryginalne, rodzące się, postępowe ruchy w historii, takie jakie dały początek powstaniu Praw Człowieka i Pierwszej Międzynarodówki Robotników, jak się to dzieje że odnajdywały one trafną ideologię, tak trafną dla danego momentu?

Przekonany jestem, że ekonomiczny proces nie stwarza sam swej teorii. Ortodoksyjny Marksizm nigdy nie miał historycznego świadectwa dla swych postulatów. Nie natknął się też na nią w drodze przypadku. Ekonomia polityczna i rozwój kulturalny są raczej wyrazami tego samego procesu, procesu który trudno nam jeszcze jest zdefiniować.

Dwa przykłady z całkiem innej sfery pozwolą nam zrozumieć ten problem. Pierwszy to stary problem rozumu — ciała (gdzie przeciwieństwo pomiędzy materialistyczną i idealistyczną filozofią jest takie jak pomiędzy historycznym materializmem i historycznym idealizmem), sprowadzając tę dwojaką teorię wiecznego sporu o to co jest przyczyną a co skutkiem, co kura a co jajo, do martwego punktu. Jakkolwiek trawienie nie wchodzi w czynności ani system naszych nerwów, i trawienie i nerwy są wyrazem naszego życia. Drugi przykład daje nam związek zachodzący pomiędzy naukami fizycznymi i matematycznymi. Kiedy Einstein stanął przed sprzecznymi rezultatami dwu trafnych eksperymentów fizycznych (Michelson-Morley i Fizeau) pozwoliło mu to na rozwinięcie teorii względności tylko dlatego że abstrakcyjne i niepraktyczne, nie-Euklidesowe fantazje matematyczne Bolyai’go, Riemanna i innych czekały właśnie na to i w momencie właściwym, tuż za rogiem. Cudem wydaje się że przypadek, a nie ewolucja myśli naukowej, sprawił że odosobnione i różne działy nauk matematycznych i fizycznych złożyły się na elementy teorii względności.

Powstanie Stanu Trzeciego i postępowych klas średnich nie było tedy ani przyczyną ani skutkiem humanistycznej filozofii liberałów. Oba fenomeny wyrosły z tych samych korzeni, spłotyły się i uodpowiedniły jak kolor i kształt w jednym dziele.

Podstawowym dziełem Encyklopedystów i całej późniejszej inteligencji było zgranie intelektualnego i socjalnego rozwoju; byli oni organami świadomości społeczeństw; w tę funkcję tłumaczy włączeni są i ikonoklasty i pedagodzy, budowniczości i burzyciele.

III.

UPADEK STANU TRZECIEGO

Ta funkcja inteligencji daje klucz do poznania jej przedziwnej struktury. Społeczeństwa w przeciwieństwie do myśli cechuje znacznie większa bezwładność. Pomiędzy naszym życiem zbiorowym a osiągnięciami nauki, sztuk, techniki istnieje duża rozpiętość w czasie. Prowadzimy wojny, modlimy się w kościołach, czcimy króli, zatrujemy się potrawami, podlegamy seksualnym tabu, wychowujemy nerwowe dzieci, unieszczęśliwiamy się małżeństwami, uciemiężamy innych i dajemy się uciemięzać — podczas gdy w książkach, galeriach obrazów mamy wcieloną obiektywną mądrość o tym jak należy żyć, której to mądrości słuchamy dopiero w dziesiątki i setki lat później. W życiu codziennym zachowujemy się jak marionetki, jak zramolale karykatury nas samych. Dystans pomiędzy biblioteką i sypialnią jest astronomiczny. Wtedy kiedy cała mądrość i niezależność myśli czeka jak dojrzały owoc, tylko ją zerwać, jak Jakobińsi zerwali Encyklopedię.

To zrywanie dojrzałych myśli jest czynnością specjalnego typu ludzi; łączników pomiędzy tym jak żyjemy i jak moglibyśmy żyć w zależności od poziomu obiektywnej wiedzy. Ci co wygodnie zadomowili się w hierarchii społecznej naturalnie stracili zapal do idei wolnej myśli. Skąd tedy ma ona przyjść? Nie od nich, niezainteresowanych w burzeniu uznanych wartości i tworzeniu nowych. Pragnienie wiedzy budzi się tam gdzie nieznanie niepokoi; szczęśliwi rzadko są ciekawi. Z drugiej strony większość uciemiężonych, wyzyskanych, nie ma sposobności lub zbyt cierpi na brak obiektywizmu, albo jedno i drugie ażeby pozwolić sobie na poszukiwanie wolnej myśli. Przyjmują lub odrzucają istniejące wartości, jest to nieartykułowane i pozbawione obiektywizmu. Tedy stwarzanie współpracy pomiędzy koncepcjami Homo i Sapiens przypada tym którzy są pomiędzy obiema warstwami i wystawia ich na ucisk z obu stron. Inteligencja jest jak czuła, porowata błona rozpięta pomiędzy różnymi wartościami.

Nie należy jej jednak uosabniać z klasą średnią jako taką. Przeczulenie, poszukiwanie i macanie stwarzają niepokój — ale nie jest on ani za duży ani za mały; rodzaj niezadowolenia, harmonijne zachwianie równowagi. Górna warstwa, przyjmująca tradycyjne wartości nie ma tego wcale; dolna ma za dużo — do stanu paraliżu albo wybuchów konwulsji. Otóż niepokój ten — niezadowolenie zawodowca, pisarza, artysty, burzącego się nie dlatego że społeczność pozbawia go wszystkich szans, gniotąc go i zagrzebując w fabrykach i kopalniach, ale dlatego że mając margines dostatecznie szeroki do rozwoju swego talentu znajduje go na tyle wąskim żeby poczuć się zdławionym. Dla człowieka vegetującego myślenie jest luksusem, dla niezadowolonego — koniecznością. Tak długo jak panuje przedział pomiędzy myślą i tradycją, teoretycznym wejrzeniem i praktyczną rutyną, myśl będzie wahać się pomiędzy biegunami zakłamania i Utopii.

Nie stosuje się to do średniej klasy jako całości. Stosowało się tak długo jak długo panował klimat Commonwealth'u i Jakobinizmu. Burzązają, tak kiedyś rewolucyjna stała się w międzyczasie konserwatywna. Nie jest już czułą błoną raczej lepkiem zczepiającym społeczną masę. Jej niezadowolenia zostały zgniecione, wzdychania do nowych hierarchii zastąpiły wzdychania o wspinaniu się na szczyty istniejących hierarchii. Inteligencja, kiedyś awangarda wschodzącej burżuazji, stała się Lumpenburżuazją, jej upadkiem.

INTELIGENCJA I STAN CZWARTY

Podczas gdy Stan Trzeci tracąc swój postępowy charakter staje się siłą bierną a nawet wsteczną, inteligencja odrywa się od niego i poszukuje bardziej żywotnych sprzymierzeńców, zdolniejszych do zadań burzycielskich i twórczych.

Najbardziej fascynującym przykładem tych poszukiwań jest Rosja dziewiętnastego wieku... „Kiedykolwiek ona (inteligencja rewolucyjna) mówi o potrzebie wolności politycznej, o sprawie włościan lub o socjalistycznej przyszłości społeczeństwa, zawsze było to jej własną sprawą. Nie narodziła się ta sprawa z powodu potrzeb materialnych: była duchową” (Borkenau „Komunizm Międzynarodowy”).

Ta duchowa sprawa inteligencji rosyjskiej ma jeszcze inną formę dwoistości o której wspominałem: sprzeczność pomiędzy bezwładną, zastałą zwyczajami uwarunkowaną formą życia codziennego z jednej strony i zamagazynowaną wiedzą obiektywną, beczynną jako „teoria”, „ideologia” z drugiej. Dla Rosjanina ubiegłego stulecia te ostatnie zasady były wcielone w zachodniej cywilizacji europejskiej: Parlament angielski, francuska literatura, niemiecka filozofia. Dla nich człowiek Zachodu był to Homo Sapiens różny od barbarzyńcy ze stepów; tak jak dziś w ironicznym odbiciu historii zachodnia inteligencja dwudziestolecia powojennego jest echem komunizmu rosyjskiego, który ma wyobrażać prawdziwą Utopię Ludzkości, w przeciwieństwie do zgniłego kapitalizmu.

Istnieje jednak zasańnicza różnica pomiędzy ówczesną inteligencją rosyjską — pomiędzy Szeljabowem, Sonją Petrowską, Bakuninem, Nechajewem, Kropotkinem a Bloomsbury z Pink Decade. Łatwym wydaje się przenieść na porównania i kontrasty pomiędzy tanizną tych ostatnich a heroizmem zabójców Aleksandra II, męczeństwem wygnańców Sybiru i więźniów Schliesselburga. Pomiedzy niezaprzeczenie większą wytrwałością i fatalizmem półazjatyckich Rosjan a przeczulonymi ludźmi Zachodu, porównanie rasowe nie mówi nam jeszcze o zasadniczej różnicy. Sednem rzeczy jest fakt, że ludzie potężnieją pod wpływem ciężaru odpowiedzialności i marnieją gdy ten zostanie im odjęty. Nechajew żył przez wiele lat przykuty do ściany w ohydny więzieniu i kiedy towarzysze zdołali nawiązać z nim kontakt i chcieli ułatwić ucieczkę, odmówił uważając że winni myśleć o ważniejszych celach. Ale później, emigrant, w atmosferze Genewy, zagubił się w trywialnych kłótniach i umarł zapomniany. Wspaniali i słusznie opiewani studenci, bohaterki i męczennicy byli niemniej historyczni niż bohaterowie Huxley'a i Evelyn Waugh; Lassalle był snobem który dał się zabić w donkiszotowskim pojedynku, Marx był patologicznie kłótlwym starym nudziarzem, Bakunin miał kazirodcze skłonności ku siostrze, był impotentem i zmarł w cnocie; Trocki miał okres kiedy spędzał popołudnia i wieczory grając w szachy w Café Central we Wiedniu — typowa figura z karykatury „Café Royal” Osberta Lancastera; Lenin dostał tak traumatycznego szoku kiedy brat jego Aleksander został powieszony — że znienawidził burżuazję której, słowami psychoanalizy, rosyjska rewolucja była „projekcją”. Neuroza wrosła w mechanizm inteligencji (wróć za chwilę do tego punktu): ale historia nie interesuje się osobistymi motywami, jedynie ich skutkami.

Dlaczego jest tak, że kiedy w jednych okresach inteligencja dźwiga ciężar i dostojność odpowiedzialności w innych skazana jest na jałowość i pustkę? Do tego zapytania prowadzi nas porównanie Rosji ub. stulecia i Bloomsbury; ściślej, jakie historyczne układy rządzą podziałem odpowiedzialności?

Kiedy porównamy socjologiczną strukturę tych części Europy będziemy mieli odpowiedź. Rosja dziewiętnastego wieku nie miała związków zawodowych, ruchów robotniczych ani kooperatyw. Poddanie zostało

dopiero co zniesione w 1862; w tej drzemiącej atmosferze bezwładnego kolosa nie było stopniowego przejścia od patriarchalnego feudalizmu do nowoczesnego kapitalizmu; zdarzyło mi się rozmawiać z chłopami którzy pogodzili się ze zjawiskiem samolotu przelatującego ponad ich głowami kiedy żaden nie widział w swym życiu kolei ani samochodu; innym trafiło się podróżować samochodem a nie mieli pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak rower.

Co za raj dla intelektualistów z pedagogiczną żyłką! Gdy pierwsi spośród nich, męczennicy Narodnej Woli, przebrani za chłopów „poszli między lud”, głosząc nową ewangelię, kiedy wstąpili oni na dziewiczą ziemię nie było konkurencji związków zawodowych ani labourzystowskich polityków którzy by im kazali porzucić tę maskaradę i wrócić do Bloomsbury Petersburga i Moskwy. Muzyk okazał się apatyczny i nie odpowiedział na zew; ale inteligencja nie zraziła się do wyprawy krzyżowej, nie miała rywali; zamieniła apel do mas na terror, terror na pracę wśród przemysłowego proletariatu, bezrolnych, żołnierzy. Kłócili się, odgałęziali, rozpadali; ale przez cały czas mogli pracować w nietkniętej glinie Historii, mogli narzucać duchową postawę, mogli burzyć i odbudowywać w gigantycznej historycznej skali. Ich wiara poruszała z miejsca, bo mas tych jeszcze nikt nie podważał.

Inteligencja Zachodu, w przeciwieństwie do rosyjskiej, nie napotykała dziewiczej pod pług gleby, nie napotykała surowizny jako sprzymierzeńca w realizowaniu wolnej myśli. Według marksistowskiej teorii pozostawało jej jedynie zaciągnąć się w szeregi klas pracujących i stać się ich strategami i taktykami. Nie brakło inteligencji ani odwagi ani zdolności. W 1848 roku studenci i robotnicy walczyli po społu na barykadach; we francuskiej Komunie, w ruchach rewolucyjnych po ostatniej wojnie w Niemczech, na Węgrzech, w Bułgarii, nawet w międzynarodowej brygadzie w Hiszpanii dała wspaniałe świadectwo o sobie. Począwszy jednak od połowy dziewiętnastego wieku, robotnicy zachodniej i środkowej Europy szybko zaczęli rozwijać własne organizacje, partie, związki zawodowe, produkować własnych przewodców i ponadto biurokrację — ludzi o żelaznej woli i twardych łbach. W wieku przyspieszonego rozwoju, zorganizowany Stan Czwarty o wiele szybciej skostniał materialnie osiągnął władzę, aniżeli działało się to ze Stanem Trzecim. Okrucy materialnego polepszenia losu i cień wpływów politycznych które różne odłamy Drugiej Międzynarodówki wycygały od władców dostatecznie sparaliżowały pierwszy impet. Członkowie inteligencji Zachodu mogą być labourzystowskimi posłami do Parlamentu, wydawać lewicowe pisma, przemawiać na zebraniach wieczornych; ale nie ma tu gór do podważania dźwignią „wolnej myśli”. Ku końcowi stulecia jedynym co pozostało inteligencji to zostać burżuazyjną dekadencją lub nauczycielami proletariackimi. Jej grupy i kliki pozostały w polu magnetycznym sięgającym od francuskich symbolistów, przez „George-Kreis” do Fabian Society. Porównajcie Shawa z Voltaiem, Leona Bluma z St. Justem a znajdziecie różnicę — nie tyle w postaciach ile historycznym oportunizmie.

Wstrząs pierwszej Wojny Światowej wydawał się stwarzać sposobność ogólnej przebudowy. Całe zespoły ideowe doznały radykalnych przemian. Teoria względności i mechanika kwantów, hormonologia i psychoanaliza, leninizm i behawioryzm, lotnictwo i radio, ekspresjonizm i surrealizm — całkowicie nowy świat wylonil się z pracowni i bibliotek; oślepiające światło promieniujące z tego świata w przeciwieństwie do starczej, kurkowej tradycji rządzącej codziennymi wierzeniami i obyczajami podziały na inteligencję podniecająco. Co za historyczna okazja do burzenia i przebudowy; ale gdzie sprzymierzeńcy? Czuła błona zawibrowała szaleńczo; ale nie było masy-rezonansu. Walka o Utopię została w ciągu dwu dziesięcioleci zmonopolizowana jedynie przez Trzecią Międzynarodówkę, która planowanie rewolucji europejskiej przeprowadzała w kraju

o 80% analfabetów i o stosunku chłopów do mieszkańców miast jak jeden do dziesięciu. W ciągu dwudziestu lat ruch rewolucyjny był zogniskowany i kierowany przez półazjatycką dyktaturę. Europejska jego ekspansja nie potrzebowała intelektualistów ale poddanej i bezkrytycznej biurokracji. Kilku członków zachodniej inteligencji przyjętych w szranki straciło po pierwsze prawo a zatem także pragnienie „wolnego myślenia”. Stali się fanatycznymi sekretarzami i partyjnymi sługami, najlepszych spotykał nieraz tragiczny los rewolucyjnej inteligencji w Niemczech, gdzie rewolucja była nieomal w zasięgu ręki. Liebnicht i Luxemburg zostali zamordowani w 18-ym roku. Paul Lewy popełnił samobójstwo po wykluczeniu go z Partii Komunistycznej, Ruth Fisher, wykluczona również, zagięła bez wieści, Toller powiesił się w Nowym Yorku, Muehsam popełnił samobójstwo w nazistowskim obozie koncentracyjnym, Max Hoch utonął w podejrzanym okolicznościach w Rosji, Heinz Neuman, ostatni z przewódców Partii Komunistycznej pochodzący z inteligencji został zlikwidowany.

Nigdy jednak przewaga inteligencji zachodniej nie została dopuszczona na krwawy Olimp. Nie była porządzana, miała zostać członkiem-korespondentem, piątym kołem u wozu. Inteligencja Pink Decade była nieodpowiedzialna, ponieważ nie danym jej był przywilej odpowiedzialności. Pozostawiona na uboczu, zawieszona w próżni, staje się dekadentką rewolucji tak jak jej przodkowie stali się dekadentami Burżuazji. To nie był jej błąd; była po prostu zwierciadłem nie światła.

Nie chcę ani wybielać ani oskarżać. Inteligencja jest częścią ciała społeczności, częścią najczulszą. Gdy ciało choruje na skórze ukazują się pryszcze. Wysypka inteligencji jest takim samym objawem braku zdrowia jak przedajność klas rządzących lub ospała chorobliwość proletariatu. To są symptomy tego samego, podstawowego procesu. Pogardzanie inteligencją kiedy się ją pozbawia odpowiedzialności czynu, posądzanie jej o spowodowanie upadku, jest bezmyślną głupotą lub manewrem o znanych motywach. Nazizm wiedział dobrze co robi wyniszczając inteligencję Kontynentu europejskiego.

V.

INTELIGENCJA I NEUROZA

Ta czuła błona rozciąga się nie tylko pomiędzy klasami społecznymi ale także pomiędzy całością społeczności a otaczającym ją światem. Bardzo dla mnie nęcącym jest posłużyć się tą przenośnią. To powierzchniowa część, naskórek, filogenetycznie kora plazmy z której buduje się potem materiał nerwowy, stos pacierzowy i mózg embrionu. Centralny system nerwowy buduje się nie, jak można by się spodziewać, ze środka, z części chronionych, z jądra; ale z narażonej powierzchni zewnętrznej, stale poddanej atakom podnieć zewnętrznych, ekscytacji i podrażnieniom, rozkosznym i bolesnym. Pod tym nieprzerwanym prysznicem podnieć tkanka powierzchniowa traci swą chłonność i ulega przemianie, pewnemu „przepaleniu” które prowadzi do przeczulenia, pierwszego brzusku świadomości. Szara materia kory mózgowej była poprzednio naskórkiem, narażonym i przepalonym, w jedynym przekształceniu organicznym. Nawet Freud, ten geniusz profanacji staje się wprost liryczny kiedy (w „Beyond the Pleasure Principle”) mówi o biologii myśli.

Człowiek tedy wykształcił skorupę czaszki w której bezpiecznie, jak kawior w pudełku, zapakowana jest ta szara substancja. Nie ma takiego opakowania społeczność dla swych nerwowych tkanek. Są one traktowane raczej jak nagniotki u palców nóg, stale nadeptywane i wiecznie mszczące się swym dokuczliwym bólem.

Powracając od przenośni do faktów: związek pomiędzy inteligencją a neurozą nie jest przypadkowy ale funkcjonalny. Zachowanie się nie-

zależne i myśl w sposób mechaniczny przeciwstawia się myśli i zachowaniu się według tradycyjnych wzorów: a przynależność do mniejszości stwarza neurotyczną atmosferę. Jeden krok tylko dzieli niejednakowość od ekscentryzmu; wystarczy nieprzyjazne popchnięcie przez społeczność.

Kiedy ktoś kaszlnie na koncercie, jesteśmy gotowi zrobić to samo, czuje się po prostu swędzenie w gardle. Masowa mimicry jest przemożną siłą; opierać się jej to znaczy wypaść z ogólnego tonu otoczenia, stwarza to neurozę napięcia i poczucie winy. Można mieć tysiąckrotnie słuszność a jednak czuć się winnym w swym buncie przeciwko przyjętemu złu, usankcjonowanemu przez tradycję, której korzenie wrosły w naszą podświadomość. Klótnia ze społecznością to znaczy klótnia z odbiciem tej społeczności w nas samych i daje to w rezultacie klasyczny przykład rozdwojenia neurotycznego. Kompleks Edypa i kompleks niższości, wstydlivość i arogancja, skrytość i ekshibicjonizm, zaledwie wyobrażają nam w swej przenośni wszystkie zniekształcenia mające wspólne korzenie. Pozbawiona podpory jaką dalby związek z rosnącą klasą, inteligencja owija się i pnie około siebie samej i żyje w atmosferze cieplarnianej, klimacie intelektualnego samogwałtu i kazirodztwa, tak charakterystyczne jej cechy w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Na dodatek jest to chorobliwą atrakcją dla pseudointelektualnych kibiców, którzy nie tyle wzdychają ku „wolnej myśli” ile lgną do samej neurozy, tłumem gromadząc się wokół cieplarni gdy świat zewnętrzny grozi im zimnem. Przedostają się tam i stopniowo przewyższą w ilości prawych lokatorów pogarszając ich reputację, aż po okresach upadku, ciury stopniowo pochłoną armię. Jest to smutne zjawisko protestu społecznego przedzającego się w aspołeczną chorobliwość.

Ale nawet dla „prawdziwej” inteligencji neuroza jest nieodłącznym odpowiednikiem. Weźmy jako przykład seksualizm. Z jednej strony wiemy o tym jakim anachronizmem są wszelkie regulujące sprawy seksualne instytucje, ich nietrafiający w sedno sens i wieczna ulewa nieszczęść na teraźniejszą społeczność spływające. Z drugiej, indywidualne próby, „koleżeństwa”, małżeństwa z pełną wolnością itd., itd. wszystko to się kończy z pożalowania godną klęską; samo określenie „wolnej miłości” ma wybitny posmak epoki króla Edwarda VII-go. Rozumne urządzenie w nierozumnej społeczności nie może istnieć. Nacisk otoczenia (z obu stron, z zewnątrz i wewnątrz naszego uwarunkowanego Ja) jest olbrzymi; pod jego miażdżącym naciskiem naturalne staje się bólem, nawet w sztuce pisarskiej. Czujemy to nawet u tak zwyczajonych rzemieślników jak D. H. Lawrence i Hemingway. Słyszy się po prostu kiedy nadchodzi krytyczny moment, jak autor mówi sam do siebie: „Do diabła, to jest akt naturalny i oddam to tak łatwo i naturalnie jakby oboje mieli zjeść obiad”. Uważajcie jak autor, zakasując rękawy, zabiera się do dzieła; pot spływa mu po czole, oczy mu wylażą z głowy, koniec pióra rozczepia się pod jego zdesperowanym wysiłkiem aby być „swobodnym i naturalnym”. Kłopot z tym, że kiedy pisze, jego otoczenie (t.zn. potencjalni czytelnicy) stoją kręgiem wokół; czuje ich wzrok i oczekiwanie ze wstrzymanym oddechem i to go paraliżuje. Stąd kaleki język kochanka Lady Chatterley i niemożliwy „królik” w śpiworze któremu daleko do prawdziwości, w skądinąd wspaniałej powieści.

Nacisk otoczenia kaleczy sztukę. Można je wyzwąć, to otoczenie, ale za to się płaci, ceną jest neurotyczne poczucie winy. Nie ma inteligencji bez kompleksu winy; to jest podatek nałożony za to że chce się innych wzbogacić. Można spotkać handlarza broni o najczystszym sumieniu; nie spotkałem jednak jeszcze pacyfisty który by nie miał błysku winy w oczach.

Ci co atakują inteligencję za jej neurotyczne skłonności mogliby równie zarzucać górnikom ich podatność na zapadanie na gruźlicę. To jest zawodowa choroba i jako taka winna być uznana, bez potępienia i pretensji.

INTELIGENCJA I PRZYSZŁOŚĆ

Nie ma już starej, liberalnej i socjalistycznej inteligencji Kontynentu; chociaż jeszcze nie możemy sobie wyobrazić w jaki sposób nazizm zrealizował program swego poety-laureata „Kiedy słyszę słowo kultura — odsuwam bezpiecznik pistoletu”. Może nowa inteligencja rośnie w podziemiach, nowe ziarno pod śniegiem; pomimo artykułów dziennikarskich, w tygodnikach, w radio itd. mało wiemy o klimacie po drugiej stronie Kanału, jak im tam przeszłość, teraźniejszość, przyszłość się widzi, pachnie, smakuje, tak jak nie wiemy nic o mieszkańcach Marsa. Dochodzące nas strzępy literatury francuskiej nie wydają się zbyt zapowiadające; być może że jestem zbyt uprzedzony co do rodzaju francuskiej melodyjnej bombastyczności. Może być że we Włoszech, na Bałkanach, w Austrii, Norwegii pojawi się nowowzbudzony ruch, świeży stosunek do życia, który sprawi że sami sobie wydamy się jak wiktoriańscy paralitycy; i ten z nas kogo przyszłość łaskawie poklepie po ramieniu może zawdzięczać to będzie kredytowi który oni wyrobili.

Ale to zgadywanie; łatwiej jest prorokować na okres kilkudziesięciu lat niż zgadnąć co będzie za lat parę. Można sobie wyobrazić pewną generalną krzywą historyczną po której idziemy; ale oscylacje i drgania krzywej są całkowicie nie do przewidzenia. Jeżeli, w dalekiej przyszłości diagnoza Burnhama okaże się prawdziwą (w to wierzę) i jeżeli po pewnych wstępnych oscylacjach znajdziemy się w jakichś dyktorialnych ponad-państwach, inteligencja znajdzie tam miejsce w specjalnych działach służby państwowej. Daleko sięgające i zbyt fantastycznie to brzmi; w ciągu ostatnich dwudziestu lat w Rosji ten stan rzeczy został zrealizowany w wielkiej skali, Niemcy w zeszłych dziesięciu latach byli na dobrej drodze w naśladowaniu tego. Rosyjskie domy wydawnicze, teatry, trusty-zakłady, laboratoria poszukiwawcze, uniwersytety i służba lekarska, wszystko to jest własnością państwa; autor, aktor, architekt, uczony jest w rezultacie urzędnikiem państwowym chociaż nie w atmosferze Whitehallu. Nawet literackie ruchy w Rosji, — „Rewolucyjny Romantyzm”, „Socjalistyczny Realizm”, „Nowy Patriotyzm” nie wybuchły spontanicznie, nie wzrosły organicznie, zostały narzucone dekretem Kongresu partyjnego i na rządanie przedstawicieli Rządu; to samo jeżeli chodzi o poezję, dramat, architekturę, film już nie mówiąc o poszukiwaniach historycznych i filozofii. Filozoficzny i artystyczny ruch w państwie sowieckim odbywa się według reguł komendy „W lewo zwrot! W prawo zwrot! — Wróć!” Niemiecka Izba Kultury w identyczny sposób przemieniła Parnas w plac koszarowy.

W krajach anglosaskich taki ruch byłby trudny, jakkolwiek nie jest to niemożliwością. Różne drogi prowadzić mogą do jednego celu. Totalna mobilizacja w tej wojnie jest jak gdyby próbą kostiumową dla zachodniej wersji biurokratycznego państwa i w ciągu ostatnich dwu lat inteligencja została w dużym stopniu zaabsorbowana jako urzędnicy Ministerstwa Informacji, B.B.C. itp. Tymczasowo „posada” i „prywatna twórczość” są jeszcze oddzielone (ta ostatnia ulega coraz bardziej atrofii); można sobie wyobrazić powstanie sytuacji kiedy obie się zleją; kiedy przestanie się uważać, że pierwsza jest pewnego rodzaju patriotyzmem najmity a druga jako rzecz realna, te dwojaki energie skanalizują się w jeden strumień. Kilkoro pocznie nową modę, reszta pójdzie za tym; poszczególne indywidua mogą wierzyć nawet, że idą za własnym impulsem kiedy w rzeczywistości będzie to procesem przystosowania się do odmiennej sytuacji w autorytatywnym państwie. Kryje to niebezpieczeństwo tym większe, że prawowierność jest często formą zdrady popełnianej z najczystszy sumieniem; wielką pokusą jest zamiana nędzy samotności intelektualnej prawości na ciepło użyteczności w autorytatywnym państwie. Upadek ruchów re-

wolucyjnych pozostawił inteligencję w pozycji defensywnej; alternatywą przyszych parę lat jest nie „kapitalizm lub rewolucja” ale ocalenie „czegoś” z wartości demokracji i humanizmu albo utrata wszystkiego; uniknąć tego ostatniego to znaczy przyłgnąć wierniej niż kiedykolwiek do poszarpanego sztandaru „niepodległej myśli”.

Sztandar ten nie jest teraz popularny; ale jedyny i szanowny tym że płwocina pogaroty na nim przemieszana jest z krwią tych którzy dla niego dali swe życie.

STEFAN THEMERSON

Z WIELU MOŻLIWYCH SPOJRZEŃ NA ARTYSTĘ — JEDNO

Pewnego dnia roku 1899, na podłodze kuchni jednego z mieszkań jednego z domów stojących przy jednej z ulic miasta: Łódź — znalazła się nagle mała zielona jaszczurka.

Kto rządził w owym czasie w Łodzi?

Carski gubernator Michaił Michaiłowicz Kczortowojmatieri.

Kto wspomina dziś Michaiła Michaiłowicza Kczortowojmatieri?

Nikt.

Kto wspomina dziś małą zieloną jaszczurkę?

Jankel Adler.

Ile lat miał Jankel Adler w roku 1899?

4 lata.

Czy Jankel Adler, ujrzawszy po raz pierwszy w życiu zieloną jaszczurkę, zachował się tak, jak pewien Francuz, który, gdzieś przed rokiem 1800, na widok pierwszej sprowadzonej do Paryża żyrafy — zawolał: „Mon Dieu! C'est pas possible...”?

Nie.

A jak?

Jankel Adler zapytał: Co to?

Co usłyszał Jankel Adler w odpowiedzi na swoje pytanie?

Usłyszał: To jest Mak.

Co to był: *mak*?

O Maku nie mówi się: *co*, o Maku mówi się: *kto*. Mak był chłopcem, z którym Jankel Adler bawił się na podwórku.

Jak o tym zdarzeniu opowiadał Jankel Adler 45 lat później, w roku 1944, w swojej pracowni w Londynie?

Odłożył z powrotem do teczki karton, na którym narysowana była grubą kreską kuchnia i podłoga i jaszczurka i dwie kobiety i mały chłopiec w koszuli, — i rzekł: „...wicie, to było dziwne. Bardzo dziwne. To było największe przeżycie. Pomyślałem sobie: no, jeżeli to jest możliwe, żeby nagle ten mój kolega, Mak, mógł się zamienić w tę małą zieloną jaszczurkę... to to jest dziwne, i właściwie nic już nie warto...”

Co się stało z jaszczurką?

Nie wiem.

Czy Jankel Adler także nie wie?

Telefnowałem dziś do niego i spytałem: co się stało z jaszczurką? Powiedział że nie wie i próbował mówić o czymś innym. A potem powiedział, że uciekła i znów zaczął mówić o czymś innym.

Czy Jankel-Adler-Dzisiaj i Jankel-Adler-Z-Roku-1899-tego jest tą samą osobą?

Tak. Chociaż Jankel Adler dzisiaj jest o 1 mtr. i 10 cm. wyższy i o 50 kg. tkanki żywej cięższy.

Skąd wzięło się w nim te 50 kg. tkanki?

Z tego co zaabsorbował z powietrza, wody, mleka, zup, win, piw, — a także z mięs, chlebów, nabiałów, jarzyn, owoców itd., w ogólnej ilości około 15 ton, jakie zjadł był od roku 1899.

Czy jest w nim dziś choć jedna komórka, która byłaby tą samą co w roku 1899?

Nie.

Na czym więc polega identyczność Jankela-Adlera-Z-Roku-1899 z Jankelem-Adlerem-Z-Roku-1944?

Na dwóch rzeczach:

1-sza, dotycząca formy: obaj posiadają te same odciski palców;

2-ga, dotycząca treści: Jankel-Adler-Z-Roku-1944 nosi w sobie wspomnienie jaszczurki, widzianej przez Jankela-Adlera-Z-Roku-1899.

Czy Jankelowi-Adlerowi-Z-Roku-1944 wciąż wydaje się przygoda z roku 1899 dziwna, choć wie dzisiaj, że jaszczurka nie była metamorfozą chłopca imieniem Mak?

Przypuszczam, że wciąż wydaje mu się dziwna. Być może nawet, że nie jest zupełnie pewien, że jaszczurka nie była metamorfozą chłopca imieniem Mak.

Czy w dalszym ciągu wydaje mu się, że „jeżeli to jest możliwe, to... to właściwie nic już nie warto...” — ?

Przypuszczam, że nie. A właściwie pewien jestem, że uważa iż są rzeczy, które warto.

Mianowicie?

Mianowicie: 1. pisać wiersze; 2. pisać muzykę; 3. malować obrazy; 4. fotografować mgławicę Andromedy i drogę elektonu; 5. starać się przebudować społeczeństwo tak, by podnieść materialną, kulturalną stopę życiową człowieka.

Czy dla Jankela Adlera — malarza miało znaczenie to, że jaszczurka z roku 1899 była zielona?; mam na myśli: czy zieloność jaszczurki miała wpływ na to, że Jankel Adler został malarzem?

Być może. Być może że nie było bez znaczenia i to, że miała swój kształt, taki a nie inny, że była połyskująca i ruchliwa, i że znajdowała się nie wśród traw, nie na kamieniu rozgrzanym słońcem, a na drewnianych, szarożółtych deskach wyszorowanej podłogi kuchennej.

Czy Jankel Adler zostałby malarzem, gdyby zamiast wydarzenia z jaszczurką stało się tak, że w roku 1899 usłyszał za ścianą głos 55-cio letniej wówczas Heleny Modrzejewskiej, recytującej Ofelię, i na zapytanie: „co to?”, otrzymał odpowiedź: „Co? te słowa? Te słowa to Mak!” — ?

Być może że w tym wypadku Jankel Adler zostałby poetą.

Czy Jankel Adler zostałby malarzem, gdyby zamiast wydarzenia z jaszczurką stało się tak, że w roku 1899 usłyszał ton struny fortepianowej, uderzonej przez Ignacego Paderewskiego po sukcesach amerykańskich objeżdżającego właśnie ze swą młodą małżonką, baronową de Rosen, stolicę Europy, — i, na zapytanie: „co to?”, otrzymał odpowiedź: „Co? Ten ton? To Mak!” — ?

Być może że w tym wypadku Jankel Adler zostałby kompozytorem.

Czy Jankel Adler zostałby malarzem, gdyby zamiast wydarzenia z jaszczurką stało się tak, że w roku 1899, bawiąc się jak dzieci optyka Jansena z Walcheren, dwiema soczewkami, ujrzał olbrzymią, górą pokrytą tarczą księżycą, — i, na zapytanie: „co to?”, usłyszał „To? To Mak!” — ?

Być może że w tym wypadku zostałby astronomem.

Czy Jankel Adler zostałby malarzem, gdyby zamiast wydarzenia z jaszczurką stało się tak, że w roku 1899 ujrzał nagle ten stały współczynnik

„k”, czy „n”, czy jak go nazywają w matematyce, który towarzyszył nieodłącznie równaniom, zbudowanym z robotnika przędzalni, carskiego policjanta i łódzkiego, europejskiego fabrykanta, — i, na zapytanie: „co to?”, usłyszał: „Co?! Ta niesprawiedliwość społeczna? To Mak!” — ?

Być może że w tym wypadku zostałby Karolem Marksem.

Irytujące są te ciągle: „być może”. Czy mają one oznaczać, że były, czy też istnieją jeszcze w Jankelu Adlerze potencjalne możliwości zostania poetą, kompozytorem, naukowcem, socjologiem?

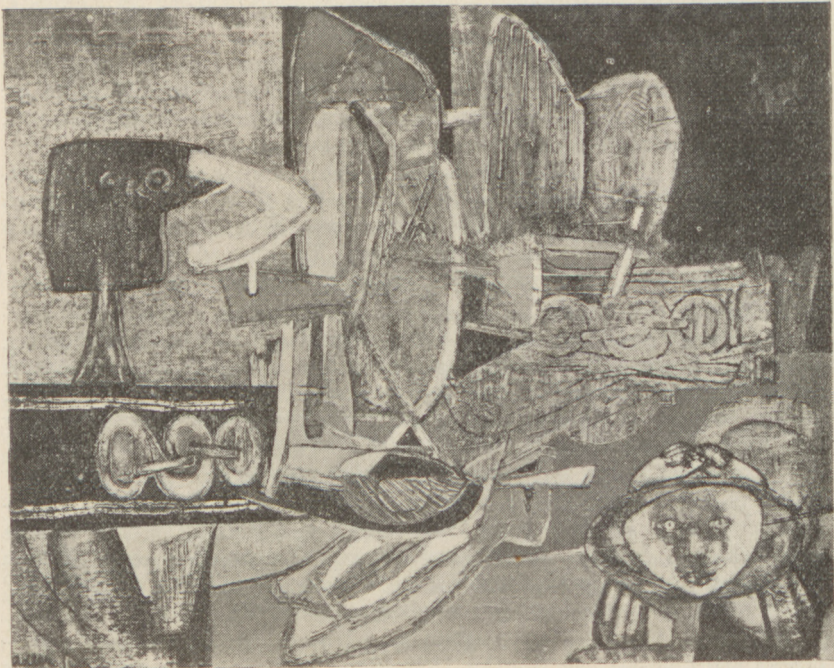
Tak.

I czy znaczy to, że taki drobiazg, jak zieloność, czy kształt, czy połysk jaszczurki zadecydowały o „drodze jego życia” — ?

Nie. Musiały być w nim jeszcze inne dane. Odziedziczone, wrodzone, nabyte. Jaszczurka ważna jest tylko do pewnych granic. Jaszczurka jest tym co się nazywa: working hypothesis. Jaszczurka wyjaśnia nie wszystko, ale część wyjaśnia. Pracuje. Tak jak hipoteza Ptolomeusza, lepiej lub gorzej, lecz pracowała, aż do Kopernika, tak jak Newton pracował aż do Einsteina, a w pewnym zakresie, nie obejmującym liczb bardzo wielkich ani bardzo małych, pracuje jeszcze dzisiaj. Zieloność jaszczurki, sama jedna, nie wystarczyłaby by uczynić z Jankela malarza. Zieloność jej, w przygodzie z roku 1899, nie była tak dominująca, by zagrozić Jankelowi drogę do poezji, muzyki, nauki, czy apostołstwa społecznego.

Czy znaczy to, że Jankel Adler jest nie tylko malarzem?

Tak. Oczywiście. W reprodukcjach dawnych obrazów Adlera widać jak gwałtem wyrwa się na pierwszy plan, *przed* malarza, to rwący się do głosu poeta, to muzyk, to znów filozof — naukowiec, stojący w zadziwieniu na granicy mistycyzmu, wreszcie człowiek sumienia, serca, skrupułów i sentymentu, człowiek który nie chce zapomnieć środowiska, z którego wyrwały go losy, *człowiek*, który *malarza* szantażuje krzykiem: Pamiętaj tylko o kolorach, linii, fakturze, kompozycji, pamiętaj także i o nas, o ludziach, którzy zostali tam skądś ty wyszedł, pamiętaj! Jak gdyby rzeczy-



J. Adler

„Metamorfoza”

wiście Mak, zamieniony w jaszczurkę, nie tylko z i e l e n i ł s i ę, ale i *dek-lamował, uderzał w struny, zaciekawiał* wygasłymi wulkanami księżycy i *jątrzył się* krzywdą społeczną. Te inne, nie zielone, metamorfozy jaszczurki bezpośrednio malarstwu pomagać nie mogą. Może nawet mu szkodzą. Może nawet artyści powinni się ich pozbywać. Ale pomagają one Człowiekowi. Pomagają mu w jego męce życia, w jego męce rozgryzania przedziwnych owoców tego świata, w jego męce znalezienia swego miejsca w czasoprzestrzeni. A to co pomaga człowiekowi w znalezieniu siebie samego nie może szkodzić artyście w znalezieniu swej drogi w sztuce. Niekiedy artyści rodzą się niby w zajeździe stojącym u początku wielkiego ubitego traktu, którym ruszają od razu prosto przed siebie w świat, niekiedy szukają swej drogi dziesiątki lat, często nie znajdując jej nigdy.

Czy Jankel Adler znalazł swą drogę malarską?

Znalazł.

Kiedy?

Po raz pierwszy w roku 1899.

Po raz pierwszy? Czy znalazł ją potem po raz drugi?

Tak.

Kiedy?

Po przeszło czterdziestu latach.

Gdzie znalazł ją po raz pierwszy?

W kuchni pewnego mieszkania w jednym z domów, stojących przy jednej z ulic w mieście: Łódź.

Co ma do powiedzenia o Łodzi „THE EVERYMAN ENCYCLOPÆDIA” w wydaniu z roku 1913?

LODZ, a tn. of Russian Poland, gov. of Piotrków, on the Lodka R., 82 m. S.W. of Warsaw. In spite of heavy death-rate due to the unhealthy air, L. has grown more rapidly than any other town in Europe owing to the immigration of German capitalists. The population, which in 1872 was 50,000, reached 400,000 in 1910, composed of Poles, Germans, and Jews. The chief manufactures are cottons, woollens, silk, linen, chemicals, beer, spirits, flour, boots, and iron goods. There are dye-works, distilleries, flour mills, and agricultural implement manufactures.

Co ma do powiedzenia o Łodzi „NOVEAU PETIT LAROUSSE ILLUSTRÉ” w wydaniu z roku 1933?

LODZ ou LODJ (loudj), v. de Pologne, au S.-O. de Varsovie; 600.000 h Cottonnades, lainages, toiles, produits chimiques.

Co o Łodzi z roku 1920 mówi Julian Tuwim w roku 1944?

... A powrót wspomnień, mokry, szary,
Taszczył za sobą miasto Łódź,
Szedł brzęk żaloszny przez obszary:
Nie Łódź, łódeczkę ciągnął sznur
I pociąg trząsł się jak blaszany,
Dziecinny wśród dorosłych dróg
I zabierałem do Warszawy
Małeńki światek snów i zmór:
Te dwie, olbrzymie niegdyś, szafy,
Gobelin płowy, zegar, stół,
I gimnazjalnych klas koszary
I ulic kurz i fabryk mur
I nieba lachman strupieszwały
I złote na nim gwiazdy złud
I po podwórzach bieg zdyszany
W poszukiwaniu gór i burz —

Gdzie znalazł Jankel Adler swoją drogę malarską po raz drugi?

Ruszając z pewnego miejsca w podróż, prosto przed siebie, zataczamy koło po powierzchni trzeciej z dziewięciu (licząc od centrum) planet, krążących wokół słońca i wracamy w końcu do punktu wyjścia. Lecz czy jest on (ten punkt wyjścia) dla nas tym czym był przedtem, jeśli my nie jesteśmy już tym czym byliśmy przedtem, a o widoki, głosy, zapachy i przeżycia stu lądów i dziesięciu mórz bogatsi? Ruszając w podróż

w czasie zataczamy tak samo koło, koło po obwodzie tarczy zegara, i zdarza się, że wracamy, choćby po latach czterdziestu, do punktu wyjścia. W ciągu tych lat czterdziestu — czterdzieści było pokoleń zielonych jaszczurek. Gdyby je, te pokolenia, przeliczyć na nasz, ludzki, czas, rok 1899 znikłby gdzieś het w chińskiej dynastii T'ang. Notre Dame zbudowały się gdzieś koło roku 1916, w roku 1924 malowałyby Paolo Uccello i Piero della Francesca, w 1925 Leonardo da Vinci, w 1928 El Greco, w 1929 pisałby Shakespeare, w 1932 Swift, w 1933 Joh. Seb. Bach pisałby Proeludium pro Organo cum pedale obligato, w 1938 Cézanne i Seurat, gdzieś koło 1939 zacząłby malować Matisse i Braque i Picasso. Jaszczurki zrzucają skórę i w nowej wygrzewają się na słońcu. Człowiek — przeciwnie. I, kiedy zdarzy się, że po 40 latach życia wracamy do punktu wyjścia, to czy jest on dla nas tym, czym był przedtem, jeśli my nie jesteśmy już tym, czym byliśmy przedtem, a o wieki i tysiąclecia doświadczeń, o tony przeżyć bogatsi? Tak, drogę swą po raz drugi znalazł Jankel Adler znów w owej kuchni, tym razem dalekiej i niestniejącej. Tym razem jednak wciąż żywy prehistoryczny chłopiec: Mak nie zamienia się już w naiwną jaszczurkę, ale w wielkiego ichtiozaura — obrazy. Obrazy, w których wciąż odbywa się misterium metamorfozy *filozofii*, a może wprost: *życia* Jankela Adlera w *malarstwie*.

Pewnego razu w pracowni Jankela Adlera Pewien Pan, po wstępie w którym oświadczył że się „nie zna na malarstwie” ale że chciałby „wiedzieć”, zapytał: „O co tu właściwie chodzi?” Czy można odpowiedzieć na to pytanie?

Można. Zacząć należy przez eliminację. Mianowicie: trzeba powiedzieć, że obrazy Adlera (tak jak zresztą wiele innych obrazów) nie są oknem, przez które ogląda się pejzaż; nie są szybą wystawy sklepowej przez którą ogląda się martwą naturę; nie są dziurką od klucza, przez którą ogląda się wewnątrz; ani teatralną sceną, na której zamarli w bezruchu aktorzy czekają na opuszczenie kurtyny.

A jeśli w tym miejscu Pewien Pan zawoła: Czy to znaczy, że Ruysdaël jest oknem, że Chardin jest wystawą sklepową, że Vuillard jest zagładaniem do cudzego pokoju, że Delacroix jest „żywym obrazem” w teatrze?

W tym wypadku należy powiedzieć Pewnemu Panu, że nie, że nie są, ale że to właśnie Pewien Pan ogląda je w ten sposób, ponieważ mają to do nieszczęścia, że mogą być w ten sposób oglądane. Obrazy Adlera nie mogą być w ten sposób oglądane.

A jak powinno się je oglądać?

Najlepiej byloby oglądać je tak, jak Jankel Adler oglądał jaszczurkę w roku 1899. „... wiecie, to jest dziwne. Bardzo dziwne. Jeżeli to jest możliwe, że część człowieka zamienia się w obraz, i tylko tę resztę będą miały do pożarcia jaszczurki i inne gady, żerujące na cmentarzach, to to jest dziwne, i są rzeczy, które warto”. To prawda, że ludzie zbyt są zmęczeni, by na taką bezpośredniość w stosunku do przedmiotu sztuki się zdobyć. Specjalnie mówię: „przedmiotu sztuki” nie zaś: „dzieła sztuki”, żeby zaakcentować to, że obrazy Adlera są przedmiotami. Przedmiotami, które można i trzeba wziąć do ręki. I jeśli ktoś zawoła, jak ów Paryżanin, „Mais, c'est pas possible!” — kazać mu dotknąć powierzchni obrazu *palcami* i przekonać go que c'est bien possible, że istnieje naprawdę. W wypadku Adlera — argument dotykania, przeżycie dotknięcia powierzchni płótna odegrać może decydującą rolę. Są artyści, króży dla przekonania widza, że obrazy ich istnieją naprawdę, chwytają za broń taką, jak „podobieństwo do natury”, „prawdopodobieństwo sytuacji”, czasem, u niektórych surrealistów np., rysunek akademicki przekonać ma widza o istnieniu obrazu, malującego sytuację nieprawdopodobną. Jankel Adler rzemiosłem, grubą, ciężką materią malarską, *uprzedmiotowieniem* obrazu przekonywa nas o jego istnieniu naprawdę.

Co to jest: „istnieje naprawdę”?
Istnieje naprawdę to co można zmierzyć.

Czy w obrazach Adlera można zmierzyć cokolwiek poza wielkością, pochłanianiem i odbijaniem promieni świetlnych, wagą, itd.? Czy znaczy to, że istnieje naprawdę na przykład fragment stołu, namalowany w obrazie?

Nie. Znaczy to tyle tylko, że istnieje naprawdę obraz. Że istnieje jako *fragment przyrody* (a nie wszystko co się maluje, „dobrze”, „źle”, czy „doskonale”, musi być fragmentem przyrody), że istnieje naprawdę. Tak jak istnieje naprawdę dom, tak jak istnieje naprawdę drzewo, tak jak istnieje naprawdę jaszczurka, którą można wziąć do ręki, aby przekonać się że żyje, że nie przywidziała nam się, że *jest*, choć w gruncie rzeczy wiemy, że nie jest to żadna jaszczurka a mały chłopiec imieniem Mak, bawiący się na łódzkim podwórku.

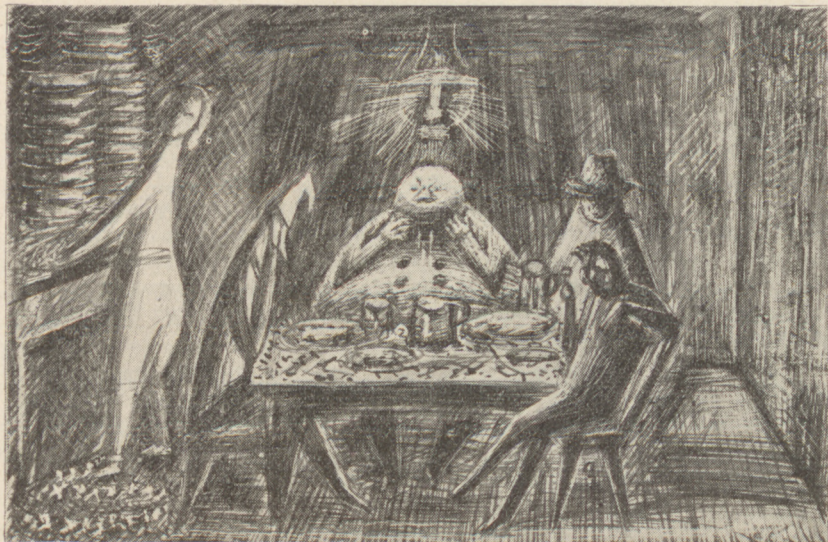
Jankel Adler powiedział kiedyś o pracach jednego ze swych kolegów malarzy: „It's not my cup of tea, but it is a very good one”. Ta mądra uwaga świadczy, że Adler wie czego chce, ale nie jest fanatykiem nie tolerującym tego, czego chcą inni. Czy można jednak jakoś krócej nazwać tę „cup of tea”, która jest *jego*?

Douanier Rousseau rzekł pewnego razu do Picassa: „Pan jesteś malarzem w sensie egipskim, ja zaś jestem malarzem w sensie klasycznym”. Być może, że o Adlerze powiedziałby: „Pan jesteś malarzem w sensie *metamorficznym*”.

KSAWERY PRUSZYŃSKI w szpitalu w Apley Hall



Rysunek Jadwigi Walker



Artykuł ilustrowany rysunkami autora

TADEUSZ POTWOROWSKI

KLUB OBSERWATORÓW

Rzecz działa się w małym domku na przedmieściu Londynu. Trafiłem tam zupełnie przypadkowo. Na dworze była okropna pogoda, deszcz z wiatrem zaczął ukośnie prosto w twarz, szare gigantyczne chmury zasłaniały niebo jakby wielką kurtyną, spoza której dochodziły dalekie pomruki grzmotów.

Cały świat wydał mi się jakimś przedstawieniem teatralnym o kolosalnych rozmiarach, byłem widzem spieszącym się poprzez wielką salę na miejsce, które nie wiadomo gdzie się znajduje. Zapadał zmierzch, starałem się dobrać do przystanku autobusu, ale zgubiłem się w labiryncie uliczek, po obu stronach których znajdowały się tylko płoty.

Nagle, pomiędzy gałęziami drzew, zobaczyłem oświetlone okno a w oknie jakąś kobiecą postać, która rytmicznie się pochylała. Po krótkim namyśle zdecydowałem się zapukać do drzwi i zapytać o drogę.

Otworzyłem małą, drewnianą furtkę, przeszedłem trawnik mokry i lśniący niebieskawo w gasnącym świetle wieczoru i stanąłem przed drzwiami.

Na moje pukanie w pierwszej chwili nikt nie odpowiedział, szmer rozmów wewnątrz ustał, usłyszałem tylko dźwięk podobny do brzęku łańcucha, jednocześnie światło w oknie przygasło.

Chciałem już cofnąć się i odejść, kiedy drzwi otworzyły się raptownie.

Na progu stała uśmiechająca się kobieta, ta sama którą widziałem w oknie; na rękach i nogach miała jakieś dziwne łańcuchy, które wlokły się za nią po podłodze. W głębi za kobietą zauważyłem dużą salę na środku której stał stół a wkoło niego siedziało parę postaci, których w pierwszej chwili nie mogłem rozróżnić, tylko oczy wszystkich błyszczały w półmroku i wpatrywały się we mnie.

Kiedy tak stałem niezdecydowany na progu, uśmiechająca się kobieta pociągnęła mnie do środka. Zrobiła to w taki sposób jakby mnie od dawna znała i oczekiwała właśnie mego przybycia.

Przysunięto mi krzesło i nim zorientowałem się o co chodzi, siedziałem już przy stole przed wielkim-kuflem czarnego piwa. Zrobiło się jasno i przyjemnie. Zacząłem przyglądać się moim towarzyszom. Nikt już teraz nie zwracał na mnie uwagi, więc mogłem to robić bez przeszkód.

Naprzeciwko mnie siedział człowiek z ogromnym brzuchem, pokrytym czerwoną kamizelką, w rękę trzymał kawał prosięcia z którego sos powoli kapał na stół. Pomyślałem sobie, że tak prosią wyglądać Gargantua wymyślony przez Rabelais'go. Obok grubasa siedział w dużym fotelu człowiek małego wzrostu w ciemnych, okrągłych okularach, z najeżonymi włosami; podobny był do Mefista. Kiedy uśmiechająca się kobieta podała mu talerz z zupą rzucił go na ziemię ze złością. Na drugim końcu stołu siedział chudy pan w bardzo obcisłym, czarnym ubraniu; miał on bolesną twarz i szlafmycę na głowie. Kiedy kobieta podawała mu jedzenie, cicho wzdychał i wszystko od siebie odsuwał. Wyglądał na chorego z urojenia. Tak go też sobie w myśli nazwałem.

Nagle Gargantua uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Dzisiaj tematem dyskusji będzie ta piękna szynka, kiedy wbiję zęby w tłusty zad prosięcy życie nabierze koloru! Wszyscy jesteście głupcy, mój brzuch jest mądrzejszy od Sokratesa, szczególnie jeżeli wleję w niego parę kufli piwa.

— Zwolna panowie, jęknął człowiek w szlafmycy, mam wrażenie, że źle trawię, patrzcie jak cierpię!

Mefisto zaśmiał się cicho zacierając ręce. Przez ten cały czas spętana kobieta, która wyglądała na niewolnicę stała przy zlewie i myła talerze. Talerzy były całe stosy i zauważyłem, że pomimo jej wysiłków stos brudnych talerzy nic się nie zmniejszał, a przeciwnie rósł i zapelniał coraz bardziej ciemne kąty pokoju.

Poczułem w sobie jakąś nagłą chęć do mówienia; piwo które wypilem podziało na mnie podniecająco.

Zapytałem mego sąsiada dlaczego kobieta która nam służy jest spętana w łańcuchy.

— Mam wrażenie, odpowiedział mi, że łańcuch ten jest zrobiony z jej własnej dobroci, jest on podobny do małych wilgotnych żabek nawlczonych na sznurek; wszystko to razem nie ma sensu, chociaż dla nas bardzo pożyteczne.

Dowiedziałem się również, że jestem na zebraniu tajemniczego „Klubu Obserwatorów” i że za chwilę zaczną się dziać różne dziwne rzeczy, o których biesiadnicy szepotali między sobą, niespokojnie spoglądając w stronę okna.

Kiedy przyjrzałem się uważnie sali w której odbywało się zebranie, zobaczyłem, że ściany są nieprzemakalne, najgorsza nawet pogoda z zewnątrz nie mogłaby przez nie przeniknąć.

Po wypiciu paru nowych kufli piwa, Mefisto rozpoczął dyskusję na temat niezależności sztuki.

Podobno Platon swego czasu wypędził artystów ze swojej republiki uważając ich za szkodliwych i bezu-



żytecznych poławiaczy widm i upiorów. Mefisto radził podporządkować ich Wielkiemu Nieomylnemu Biurokracie i groził represjami w razie buntu. Staralem się bronić, byłem innego zdania, ale konflikt wywołany przez dyskusję zaczął rosnać i wkrótce stał się bardziej istotnym niż same osoby które w nim brały udział. Głowy biesiadników zaczęły dymić, w pokoju zrobiło się gorąco i duszno.

Nagle wszystko zostało przerwane, jakaś niewidzialna ręka zerwała blackout i rozwarła okno z trzaskiem. Zimny wiatr wionął do pokoju światło zgasło.

Za oknem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W mroku nocy, pośród piekielnego hałasu, oświetlone błyskami wybuchów, przesuwały się ogromne, ciemne masy. Z trudem mogłem rozróżnić kontury gór i łądów, w dole gdzieś daleko przeblyskiwały morza i oceany a w powietrzu przelatowały diabelskie petardy ziejąc ogień. Tysiące bezimiennych istot pożerało się wzajemnie kłębiąc się w ciemnościach gdzieś w dole. Wiatr szamotał firankami przynosząc ze sobą zapach siarki i dymu.

Siedzieliśmy wszyscy w naszym pokoju jakby w łoży przygnębieni i bezradni wpatrując się w ten okropny chaos przesuwany się za oknem, tylko Mefisto zacierał ręce i śmiał się do siebie cicho.

— Ten widok przeszkadza mi w picciu piwa, mruknął Gargantua, zaśliśmy lepiej franki.

— Nie widzę powodu, odparłem, właściwie to co się dzieje za oknem jest jakimś wiecznym tłem na którym rozgrywają się nasze osobiste konflikty i tragedie, tylko one są ważne, tło jest tylko tłem.

Mefisto poruszył się na krześle i zaczął mówić:

— Nie! Wasze konflikty osobiste są bez znaczenia, wy wszyscy jesteście bez znaczenia, liczy się tylko to co się dzieje za oknem. — Konflikty olbrzymich mas są jedynie istotne, trzeba raz skończyć z indywidualistami.

— Ależ ja się zaziębię, zawołał płacząc człowiek w szlafmicy, proszę zamknąć natychmiast okno!

Kobieta w łańcuchach, podobna do spętanego anioła, podeszła do okna i rozwiesiła na nim wielką firankę zrobioną z własnych uśmiechów, które były tak gorące i świeciły się tak mocno, że koszarne widziadło znikło.

Zaczelśmy pić piwo, obgryzać pozostawione przez Gargantua kości i udawaliśmy jakby właściwie nic nie zaszło.

Poprzez grube nieprzemakalne mury dochodził do nas tylko niewyraźny pomruk kataklizmów dziejących się na zewnątrz. Byliśmy zdezorientowani, próbowaliśmy wytłumaczyć sobie racjonalność tego całego koszmaru, ale nasze argumenty wysuwały się z rąk i padały na podłogę rozsypując się w szary pył.

Tylko Mefisto był zadowolony z widowiska, zacierał ręce a po chwili wyciągnął z kieszeni i podał mi jakiś program wydrukowany na pięknym welinowym papierze ze znakiem klubu. W programie tym były zapisane wszystkie następne widowiska które miały się odbyć w przyszłości.



W tej chwili trudno mi jest przypomnieć sobie dokładnie co tam było, w każdym razie program był bardzo obfity i urozmaicony. Podawano również do wiadomości, że dekoracje zmienia się radykalnie co jakiś czas, mniej więcej co dwadzieścia lat. Stare dekoracje razem z aktorami niszczy się starannie i pomieszczenie dezynfekuje.

Kiedy przewracałem kartki programu zauważyłem, że pozornie cienki zeszyt ma ich niezliczoną ilość. Za każdą przewróconą kartą była nowa. Chciałem koniecznie zobaczyć co jest na samym końcu, chwyciłem po parę kartek naraz, potem przrzucałem je całymi garściami, byłem podniecony i zdenerwowany, ale program przedstawić nie miał końca.

Wkoło mnie panowała zupełna cisza. Zauważyłem, że członkowie klubu opuścili pokój, byłem sam.

Kiedy tak siedziałem bezradny i zmęczony nad tym niesamowitym programem, zauważyłem, że pod każdym nowym tytułem powtarzał się ten sam napis. Był on czerwony i głosił, że jest to ostatnie i najwspanialsze widowisko, po którym nastąpi wielki bankiet zorganizowany przez dyrekcję, bankiet dla wszystkich. Ale już na następnej stronie znajdowałem znowu jakiś koszmarny tytuł nowego dramatu i tak bez końca. W miarę jak przrzucałem karty programu, stawały się one coraz mniej wyraźne, miałem wrażenie, że oddalają się ode mnie i giną gdzieś w mroku.

Wkrótce były już tylko jakimiś niebieskimi błyskami, które wysuwały mi się z palców.

Zniechęcony rzuciłem ten dziwaczny program w kąt pokoju i wyszedłem do ogrodu. Noc była spokojna i cicha, zacząłem schodzić szeroką aleją w dół, wielkie drzewa po obu stronach drogi rzuciły czarne cienie. W jasnym świetle księżycy bez trudu odnalazłem przystanek i wsiałem do pierwszego autobusu, który zawiózł mnie z powrotem do Londynu.

CZESŁAW BEYOT

BISKAJSKI PATROL

(Dokończenie)

Dzielo niszczenia postępuje szybko naprzód. Główny transportowiec jest już obezwładniony i bez dziobu. Widać jak się pali na całej długości. Kłęby dymu mieszają się z obłokami pary. Widocznie oberwał w maszyny. Zresztą i tak się powoli przechyla i siada rufą coraz głębiej. Nim jednak zdążył zniknąć ostatnia salwa wyrzuca zeń wulkan żelastwa i ognia — i resztek ludzkich istnień. Coś w duszy szepce Stachowi, że tak właśnie ginęli jego przyjaciele w Warszawie, i na Westerplatte, wśród takiego niebezpieczeństwa żyje Janka. Stach się broni, odpędza tę świadomość od siebie, nie chce by była ona motorem jego poczynań. Zwłaszcza teraz musi być w każdej chwili absolutnie pewnym słuszności tego co robi.

Nim jeszcze statek znikł eskorter próbował zasłonić go kotarą dymu. Ciężkie kłęby białych oparów zaczęły się snuć za jego rufą. Niedługo trwały—celna salwa jednego z kontrtorpedowców zwała się na jego kominy, pokłady, fumator. — W mgnieniu oka sylwetka eskortera urosła do fantastycznych, rozmazanych kształtów, a w chwilę potem zapadła, niby domek z kart, zdmuchnięty od jednego tchu. — Lekka bryza niesie teraz ku wybrzeżu ostatnie po nim wspomnienie—niedokończoną przędzę białego puchu.

Los pozostałych dwóch trawlerów jest przesądzony. Wszystkie przesła przerzuciły swe łuki ku nim. Ze wszech stron zdążają tam teraz migotliwe rubiny coraz liczniejszą rzeszą. Obaj niedobitkowie stanowią przy tej

odległości bardzo mały cel, więc nic dziwnego, że trudniej w nich trafić. Strzelanina przeciąga się, jest nawet czas na refleksję. Stach wie że pozostałych tam Niemców nic już nie uratuje. Nawet gdyby stał się cud, niczyje nerwy nie wyszłyby cało z tego piekła pękających pocisków; — niczyje nie zdzierzą widma śmierci wyciągającego upiornie swe ramię z każdą nową walącą się na głowę pochodnią. Wyobraźnia ludzka pracuje w takich chwilach na tak zawrotnych obrotach, że tryby nerwów łamią się i wyskakują. Stach wie o tym sam. Zresztą chyba tam nikt nie wywinął się płonącej ropie i ukropowi pary.

Powoli salwy milkną. Widać że odległość jest bardzo mała, z pewnością nie większa niż pół mili. Okręty podchodzą jeszcze bliżej, i nagle w jednej sekundzie rozterkotały się dziesiątki automatów. Ku pałacym się wrakom, których już i oświetlać nie trzeba, bo płoną jak Neronowe świeczniki, posypały się strugi różnokolorowych pocisków. Jest ich tyle naraz w powietrzu, jakby kto rozpiął nad morzem jakąś oslepiająco wzorzystą broką. Broń maszynowa kończy dzieło — zdzierając po kolei pomosty maszty, działa, literalnie obcinając niemieckie okręty równo do samej linii wodnej. Teraz już Stach wie na pewno, że tej szalonej koście nie ostał się nikt, by dostrzec ową wiązkę pięciu anemicznych rakiet o wypłowiwałym ceglastym kolorze, które właśnie zawisły nad ładem. Więc to teraz dopiero Niemcy zdecydowali się ogłosić alarm, uprzedzić własny konwój na którym im tak bardzo zależy, wtedy gdy po nim pozostało już tylko wspomnienie kilku tłustych plam i gryzący zapach spalenizny. To nie sygnał już, jeno ostatnia posługa. Więc niech drga ta germańska gromnica i obwieszcza światu nowy pochod cieni wiernych wyznawców Zygryda wkraczających w mdłym tryumfie w bramy Walhalli.

Niemiecka machina brzegowa zaczyna z miejsca działać bardzo energicznie. W kilku punktach widhokręgu strzelają krótkie urwane błyskawice, rzucając przez mgnienie oka ostre kontury skał, wież kościelnych i wzgórz. To ich dwunasto-calowe olbrzymie kolubryny zieją ku nam. Na „ślepo” narazie — w ciemnościach, i zupełnie celnie zresztą. Dokładnie takie same przyjęcie jakim nas od trzech miesięcy częstują pod Brestem i pod Cherbourgim i z ufortyfikowanych wysp koło St. Malo, — ilekroć się pod nie skradamy. Wybuchy są potężne, znacznie silniejsze od naszych — w ogóle porównać nie można — ale bo też ich kaliber jest przygniatająco — kilkakrotnie większy od naszego. Zupełnie jakby przy burcie detonowały dziesiątki torped.

Nasze zadanie na dziś skończone. Pozostaje się jak najszybciej wycofać nim się z łądu wstrzelają. Zresztą w tej właśnie chwili zapalił się nad głową Stacha ich pierwszy pocisk oświetlający. Robi się widno jak w najpogodniejsze zwrotnikowe południe. Linia okrętów zawraca olbrzymim kołem ku zachodowi, chyląc pracowicie swe maszty na zwrocie. Na pożegnanie posyłają jeszcze kilka ostatnich salw ku dymiącemu pobojo-wisku. Do baterii i tak strzelać nie sposób, bo któż je odnajdzie wśród spowitych nocą wzgórz Bretanii! Zresztą wychodzą już z zasięgu.

Po kilku minutach błyskawice na lądzie gasną, milknie stalowy gwizd i ustają detonacje. Okręty oddalają się w ciemność tak jak przyszły — bezszelestnie.

Na pomoście zapada cisza. Nikt nic nie mówi. I tylko Anglikowi, co na Stachowym okręcie w gościnie łącznikiem stoi wyrwało się: „Poor devils, they had no chance!”

Stach z zakłopotaniem zauważył, że mu szczeka zaczyna drgać. Pewnie, że z zimna! Ale dlaczego właśnie teraz daje mu się ono nagle we znaki. I znowu sam na siebie jest zły, że nad takim niemądrym odruchem nie może zapanować!

Po prawej burcie za rufą zaczyna dzień. —

Słońce staczało się już na dobre ku konturom odległych wzgórz, kiedy i ontrtorpedowce zaczęły się przeciskać długim węzłem pomiędzy latarnią

węściową i falochronem. Dzień był wietrzny, na molo pusto, jeno na plaży skomli jakiś bezpański pies, bezcelowo węsząc tu i tam. Za to statek stróżujący przy sieciach ochronnych jakoś raźniej salutuje. Widocznie robią na nim wrażenie nasze podwójne bandery; zwłaszcza te drugie, większe niż zwykle, na specjalnym miejscu u szczytu masztu podniesione. To nasza gala bojowa; — co ma oznajmiać urbi et orbi o naszych nocnych czynach. I słusznie, niech wszyscy wiedzą, żeśmy tej nocy nie próżnowali.

Przytulony do występu nadbudówki, zasłonięty od wiatru Stach czeka na klakson alarmu zakotwiczenia. Czeką i puszcza wodze uczuciom próbując je przetopić w myśli. Jakże to inaczej miały się rzeczy jeszcze bodaj dwa lata temu. Podczas owych przewlekłych konwojów atlantyckich, gdy co noc nieomal ktoś szedł na dno. Pamięta dobrze jak podczas pewnego zimowego sztormu przychwycili depeszę radiostacji w Valencji przekazującej SOS od statku, który storpedowany szedł powoli na dno mając pokłady pełne rannych i konających. Na próżno błagał o pomoc — w promieniu stu mil nie było żywego ducha, prócz niemieckich pod wodą rekinów. Żalił się, że radiostacja uszkodzona, i że nie jest już w stanie odbierać. Pół godziny później ta sama neutralna Valencja powtórzyła następną depeszę: „Idę szybko na dno—SOS”. To było już ostatnie wołanie. — Jeszcze dziś Stachowi brzmiały w uszach jęki umierających marynarzy z francuskiego krążownika, który wyleciał na minach. Powyciągani z płonącej ropy o popalonych twarzach wędli jak liście topianu uginające się pod ciężarem piasku i pyłu jakim zanosi od ruchliwej szosy. — I ta cała kalwaria krzyżów masztowych sterczących z wody jak Boże męki przy wejściu do każdego angielskiego portu. Zwłaszcza ów posępny cmentarz u ujścia Tamizy. — I białe jak wosk twarzyczki amerykańskich chłopców okrętowych w lazarecie w Archangielsku bez rąk i nóg, które poodgryzała gangrena Lodowatego Oceanu. I niedaleki stamtąd kurhan wielu nieheblowanych trumien spowitych białą-czerwoną banderą a pozostawionych na dnie obcego Murmańskiego fiordu. Stach wszystko to pamiętał — jak dziś. Całą tę beznadzieję bezbronności i bezsily wobec niemieckiej morderczej maszyny.

Lecz teraz losy się odmienny, odwróciły się proporcje. Nareszcie! — Po pięciu latach czyścówych wyczekiwań i ofiar sztandar największej Krucjaty świata zaczyna iść naprzód. Poprzez mroki niewoli i kontury obozów koncentracyjnych, poprzez odgłosy wysiedleń i egzekucyj z wielkim trudem dzwiga się pierwszy brzask nowego dnia. Tego, który przyniesie wolność wszystkim narodom, i uwieńczy długą, i jakże okrężną nieraz drogę powrotu na Ojczyzny łono.

Stach w to wierzy niezłomnie, i tylko żal mu tych biednych bretońskich domków, pod których strzechy zamiast powracających ojców i braci witają może właśnie teraz złowieszcze kruki urzędowych niemieckich telegramów. — I nagle tęskno robi się sercu do takich czasów, gdy przedzieranie się ludzkości ku Światłu znaczyć będzie nie miecz jeno miłość i pokój. Bo Stach wierzy, że kiedyś spełni się przecież proctwo Rzymianina:

Caedant Arma Togae
Concaedant Laurea Lauro.

Stach czuje, że mu się oczy kleją. Wypłowiłe resztki łaciny najlepszym tego dowodem. Jest śmiertelnie zmęczony. Wie zresztą, że to jego zmęczenie będzie jedynym bodaj szczegółem z całej minionej doby, którym się będzie mógł podzielić z Janką. Wie też że mu wybaczy krótszy niż zwykle list. Biedna Janka! — Sama może przez stokroć groźniejsze chwile przeszła w tym samym czasie. Ale o tym Stach też się nie dowie.

Do burty dobija łódź pocztowa. Są listy — telegramy. Stach zmienia się cały w oczekiwanie. Czy tylko będzie coś dla niego? Niecierpliwie śledzi ruchy wachtowego. Oto odwraca się. Idzie w jego stronę. I uśmiecha: — JEST!

KOLEDZY Z ESKADRY SZKOLNEJ

Lotnicy polscy w czasie bitwy o Wielką Brytanię zestrzelili około 10 procent ogólnej liczby zniszczonych samolotów niemieckich. W czasie bitwy o Tunis zniszczyli 15 procent w porównaniu z liczbą samolotów zestrzelonych przez Amerykanów. W czasie inwazji Francji polskie skrzydła myśliwskie osiągały znów rekordy sprawności, jedna nasza eskadra potrafiła w jednej bitwie powietrznej zestrzelić 16 myśliwców niemieckich ze stratą jednej tylko własnej maszyny. Jakim cudem polskie lotnictwo zdołało nie tylko utrzymać się na polach bitew przez pięć lat kiedy naród był w niewoli, ale rozwijać się jeszcze? Czyżby lotnictwo polskie nie ponosiło strat?

Niestety tak nie było. Na wiosnę 1943 r. znalazłem się w miasteczku Anglii, w którym od początku tej wojny mieści się ośrodek rekrutacyjny naszego lotnictwa. Poznana przypadkowo Angielka, starsza pani, zaprosiła mnie do swego domu. W pokoju bawialnym, na parapecie kominika, na fortepianie, ujrzałem kilkanaście fotografii młodych ludzi w mundurach lotników polskich. Podczas gdy przyglądałem się fotografiom, szukając na nich znajomych twarzy, pani domu kolejno informowała:

— Ten to Janek, on zginął jako jeden z pierwszych. To jest Julek, ten też padł w czasie bitwy o Wielką Brytanię. To jest Józio, raz go wyratowali z Morza Północnego, ale nie wrócił z nalotu na Ruhrę. I tak dalej i dalej szły nazwiska i daty śmierci. (Gdy pani domu powiedziała „Oczywiście pan też musi nam dać swoją fotografię” — poczułem się nieswojo.) Między fotografiami tych chłopców w granatowych mundurach znajdowała się i fotografia premiera Sikorskiego. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że i on zginie parę miesięcy później śmiercią lotnika. Wtedy w tym saloniku tej angielskiej rodziny zrozumiałem istotne źródło przyjaźni polsko-brytyjskiej, która w ciągu tej wojny zakwitła tak szybko na wyspach brytyjskich.

Z polskich uczestników podniebnej bitwy o Wielką Brytanię mało który dziś żyje. Skąd wyrastały i wyrastają nowe szeregi lotników, którzy przez lat cztery bombardowali niezmordowanie Berlin i Ruhrę, niszczyli Focke-Wulfy nad Libią i Tunisem, a wreszcie drogą przez Balkany i Karpaty nieśli pomoc walczącej samotnie Warszawie? Może w części odpowiedem na to pytanie, jeśli przedstawię czytelnikowi mych kolegów z eskadry szkolnej, do której zostałem przydzielony po przyjęciu do lotnictwa w r. 1943.

Szkoła nasza mieściła się na południowym wybrzeżu Anglii, w wyjątkowo ładnej miejscowości kąpielowej. Był maj, palmy i kwiaty na tle pielęgnowanych trawników radowały mile oko, zmęczone monotonością granatowego Kanału. Mieszkailiśmy w zarekwirowanym hotelu, wystarczyło w kostiumie kąpielowym przebiec przez szosę, aby pograć się w chłodnych falach morskich. Pokoje wydawały nam się szczytem komfortu, łazienki z gorącą wodą były do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy, co rana angielskie dziewczęta w mundurach lotniczych wbiegały do pokoi by urządzić nam energiczną pobudkę i wziąć mundury do czyszczenia. Po obiedzie siadało się na słońcu na leżakach przed domem, pijąc czarną kawę, whisky z lodem, czytając „Timesa”. Wieczorami nadmorską promenadą chadzaliśmy zwykle na dancinę, który się mieścił w Palace-Hotelu po drugiej stronie zatoki. Każden z nas miał za sobą bądź to więzienie, bądź też obóz koncentracyjny, na Syberii lub Saharze, czy też długie miesiące frontu w pustyni — toteż rozkoszowaliśmy się w pełni nowym sposobem życia w tej angielskiej szkole lotniczej w czwartym roku wojny. Oczywiście pracowaliśmy nieco również. Co dzień ze

sześć godzin poświęcalismy na teorię nawigacji, meteorologię, naukę o silnikach. Poza tym mieliśmy lekcje angielskiego, gimnastyki, sportów, strzelania do rzutków. Z większością naszych angielskich profesorów łączyły nas serdeczne stosunki. W przerwach między wykładami uświadamialiśmy ich politycznie w zagadnieniach Europy wschodniej. Na rzeczoznawców w sprawach Rosji zapraszaliśmy lotników tureckich, którzy znad Bosforu również zjechali do naszej szkółki. Beztraska naszego życia miała jeden tylko cień ponury: na wykłady musieliśmy chodzić przez miasto trójkami. Tak jak inni brytyjscy kadeci. No dobrze, ale tanci mieli po lat osiemnaście. Większość nas była niestety o wiele starsza. Wśród nas znajdowali się byli dowódcy eskadr, kompanij, baterij, kawalerowie Virtuti Militari, inżynierowie, nawet jeden doktor. Z początku o to maszerowanie trójkami niemal nie doszło do scysji z brytyjskim dowództwem szkoły. Ale ostatecznie doszliśmy do wniosku, że wobec tylu innych rozkoszy, można Brytyjczykom podarować to niewinne dziwactwo. Na pocieszenie własne wynaleźliśmy tak oryginalne metody maszerowania kolumną zwa tą przez miasto, że wzbudzały ogólną radość cywilnych przechodni, przerażenie naszego kolegi, starszego kursu, i wreszcie skłoniły dowództwo szkoły do zwolnienia nas z obowiązku tej codziennej defilady.

Starszym naszej klasy był kapitan Eugeniusz Prusiecki. We wrześniu dowodził eskadrą „Łosi”, potem we Francji w maju rozpoczął organizowanie eskadry amerykańskich Glenn-Martinów. Nim eskadra weszła do akcji Francja kapitulowała, kapitan Prusiecki 20 czerwca wsiadł w Bordeaux na samolot biorąc kurs na Afrykę. Nad Morzem Śródziemnym złapała ich burza—lecą dalej. Jeden motor nawala—trzeba wracać. Lądują w neutralnej Hiszpanii, na polach ryżowych pod Walencją. Kilkanaście samolotów francuskich już wylądowało przed nimi. Hiszpanie rekwirują samoloty a lotników odsyłają do Francji. Po półrocznym pobycie we Francji w rozmaitych obozach internowanych, w styczniu 1941 r. kapitan Prusiecki z grupą 10 lotników polski h i jednego Holendra ukryty pod pokładem statku handlowego udaje się Morzem Śródziemnym do Afryki. Marynarz który za 4 tysiące franków od głowy ukrył ich w magazynie, zapewniał że statek ma kurs na Casablanke, i że w czasie kontroli w Gibraltarze da znać o nich władzom brytyjskim. Tymczasem statek zawija do Oranu, tam drugi marynarz wydaje ich policji (za nagrodę też płatną od głowy) i całe towarzystwo wędruje do tubylczego więzienia. Co to jest tubylcze więzienie — może sobie wyobrazić tylko ten, kto był na Wschodzie: przeraźliwy brud, wszy, pluskwy. Lotnik polski wyciąga legitymację oficerską, francuski Croix de Guerre, zdobyty niedawno nad niebem Francji. Nie pomaga. Urzędnik policji mówi mu: jeśli ja pana puszcze, to komisja niemiecka każe mnie powiesić. Zostają internowani o sto mil na południe od Oranu, w obozach w Mascara i Saidne, gdzie w krótkim czasie znajduje się już około 300 oficerów i szeregowych polskich, którzy wpadli w czasie ucieczki do Anglii. Tajna organizacja polska planuje ucieczkę, nawiązuje kontakt z Gibraltarzem. Z początkiem listopada ucieczka dochodzi do skutku—odrębnymi drogami poszczególne grupki uciekinierów zdążają w wyznaczone miejsce nad Morzem Śródziemnym. Tam ma przyplynać okręt z Gibraltaru. Ale okręt się spóźnia. Żołnierze polscy ukryci w nadmorskich krzakach widzą w pewnej chwili sylwetki ludzi idących przez pola, słyszą szczekanie psów, strzały. Czyżby pogoń? Nie, po prostu był to dzień Świętego Huberta myśliwi wybrali się na polowanie. Ale psy zachowują się dziwnie — zamiast wystawiać kuropatwy, pędzą w krzaki i wystawiają... ludzi. Myśliwi przerywają polowanie, zawiadamiają władze. Wkrótce garnizon Oranu jest zaalarmowany: wojsko na samochodach, marynarka, lotnictwo. Nasi chłopcy zostają wylapani. Na brzegu policja znajduje skrzynie z sucharami i baryłki z rumem z napisem „Gibraltar”. Powstaje panika: czyżby sprz

mierzeni gotowali desant? A to były po prostu prowianty przywiezione poprzednio z Gibraltaru przeznaczone na czas oczekiwania na statek. Biedni chłopcy wędrują do nowego obozu internowanych, tym razem już na pograniczu Sahary, skąd nie ma nadziei ucieczki. Wolność przyniesie im dopiero rok potem — wylądowanie wojsk amerykańskich i brytyjskich w Afryce.

Porucznik St. Wujastyk w czasie kampanii w Polsce latał na samolotach łącznikowych. W Marsylii w jesieni 1940 r. organizuje ucieczkę z Francji 50 Polaków. Zakupili jakiś stary grat, stateczek, zwerbowali marynarzy spośród zdemobilizowanych żołnierzy polskich, uruchamiali statek. Francuska policja nabrała podejrzeń, raz skonfiskowała części motoru, drugi raz kazała postawić statek między dwoma okrętami wojennymi. Paliwo, zapasy żywności na drogę trzeba było znosić na pokład w kieszeniach płaszczy. Celował w tej działalności jednoręki inwalida wojenny porucznik Lisek. Wreszcie któreś nocy upito francuskiego strażnika i spuszczone statek na wodę. Trzeba pecha że wykoleił się. Cóż dziwnego że lotnicy nie znali się na spuszczeniu statku? Musieli w dodatku wplaw wracać do brzegu. Nazajutrz policja zaaresztowała załogę statku. Potem porucznik Wujastyk dostał się do Oranu i tam w więzieniu spotkał kapitana Prusieckiego. Odtąd dzielili wspólnie losy więzienne, coś więc dziwnego że i w eskadrze szkolnej byli nieodłącznymi przyjaciółmi.

Bolek Korna był starym kamratem z Norwegii. On też dowodził tam plutonem działek przeciwpancernych, i otrzymywał również niewykonalne zadania niszczenia z nich pikujących Stukasów. Po rozbiciu Brygady Podhalańskiej we Francji spędził w niej rok przymusowo. Gdy mu się zbyt nudziło we Francji wolnej, szedł do zony okupowanej przez Niemców, odwiedzić znajomych w Bretanii. Granicę okupacji przekraczał zwykle w sposób mało skomplikowany: wysiadał z autobusu na przystanku przed granicą, opłotkami przechodził na drugą stronę granicy, maszerował kilkakrotnie kroków, po czym zatrzymywał na szosie ten sam autobus, który po załatwieniu formalności na granicy jechał dalej. Dla niepoznaki przed żołnierzami niemieckimi, którzy tymże autobusem często podróżowali, porucznik Korna zwykł był tylko płaszcz wyciągać lub chować do teczki. W 1941 r. wyrusza z dwoma kolegami piechotą przez Pireneje. Policja hiszpańska poluje na uciekinierów z Francji, na szczęście nasi turyści zszedłszy z gór do kolei spotykają na stacji pielgrzymkę młodzieży jadącą do Barcelony. Co za okazja: wmieszać się w tłum pobożnych i ująć oka policji. W Barcelonie na dworcu chłopak nie starszy nad lat 12 zaczyna żołnierzy polskich w nieznanym im hiszpańskim języku, coś im proponuje. Gdy widzi, że nie rozumieją, mówi „Aha, to wy Polacy”, i prowadzi ich do czerwonych Hiszpanów, którzy im ułatwiają dalszą drogę podziemnymi kanałami antynazistowskiej Hiszpanii. Przed Madrytem policja arestuje jednego z żołnierzy, drugi wpada przed samą portugalską granicą — porucznik Korna szczęśliwie ląduje w Portugalii, potem w Anglii.

Drugim „Norwegiem” w naszym gronie był porucznik Szwarnowiecki, którego nazwisko, gdy zaczął je spelować, wzbudzało postrach wykładawców brytyjskich. On również po kapitulacji Francji próbował z niej ucieczki, jednak długi czas bezskutecznie. Tak doczekał tam czerwca 1942 r. Na szczęście były dowódca kontrtorpedowca marynarki polskiej uruchomił przy pomocy małego kuterka i czterech marynarzy stałą tajną linię komunikacyjną między Cassis, koło Marsylii a Gibraltarem. Dwa razy na miesiąc kuterki podpływały w nocy do wybrzeża Francji, i z osiemdziesięciu żołnierzy polskich ładowało się nań, po czym kuterki szybko odpływały. Niestety tym razem minęły dwie noce a kuterka jak nie było tak nie było. Trzeciego dnia koło południa zza górki wyłoniły się znane mundury żandarmów francuskich. Cała osiemdziesiątka Polaków rzuciła się do ucieczki. Żandarmi otworzyli ogień z karabinów. Około dwudziestu Polaków chwycili, tych zamknęli do więzienia. Porucznik Szwarno-

wiecki należał do szczęśliwych, którym udało się zbiec do Marsylii. Dwa dni później znów oczekiwali w nocy na kuter. Tym razem nadpłynął. Nazajutrz rano, na pełnym morzu, dojrzeli łódkę rybacką, podrzucaną jak łupina przez burzliwe morze. Siedziało w niej 5 mężczyzn i trzy kobiety. Byli to oficerowie brytyjscy, oraz agenci brytyjskiego wywiadu, Gestapo było na ich tropie, więc ruszyli w morze, wiedząc o spodziewanym przyplnięciu polskiego stateczku. Kobiety były Francuzkami. Jak się zachowywały, zapytałem Szwarnowieckiego spodziewając się bohaterkiego opisu dzielnych patriotek. Otrzymałem odpowiedź: „Ledwie żyły z powodu morskiej choroby; jedna wciąż się mnie pytała, czy kuter nie zatonie; odpowiadałem że nie wiem!” Czwartego dnia podróży zauważył ich lotnik z Gibraltaru, sprowadził kontrtorpedowca brytyjskiego. Zapytałem się Zenka: „Powiedz, czy wielkie wrażenie zrobiła na tobie skała Gibraltaru?” Odpowiedział: „W ogóle jej wtedy nie widziałem. Anglicy zamknęli nas zaraz pod pokładem i wyładowali dopiero w porcie”. Tak duży ruch polskich żołnierzy panował w tych latach w Gibraltarze, że musiano tam ustanowić urząd stałego polskiego oficera łącznikowego.

Porucznik Antoni Zagórski był najstarszym z nas żołnierzami. W r. 1920 służył na froncie jako piętnastoletni ochotnik. W przerwie między dwiema światówkami zdołał zostać wybitnym konstruktorem samolotów. Od pierwszego dnia wojny Niemcy uparcie bombardowali fabrykę samolotów w Białej Podlaskiej, w której pracował. Po tygodniu fabryka była do szczeru zrębana wobec czego inżynier Zagórski poprosił o urlop z fabryki i zgłosił się do wojska. Kampania trwała zbyt krótko by mógł w niej wziąć udział, niezadługo znalazł się w Rumunii. Drogą na Jugosławię i Grecję, a stamtąd na pokładzie statku polskiego „Warszawa”, dopłynął do Marsylii. We Francji wziął udział z 2-ą dywizją w kampanii 1940 r. a potem wraz z dywizją został internowany w Szwajcarii. Szwajcarzy wierzyli że mają najlepszą armię na świecie, i że potrafią obronić się przed Niemcami. Dla internowanych Polaków byli twardzi: złapanych na ucieczce żołnierzy potrafili skazywać na rok więzienia, mimo że prawo międzynarodowe uznaje ucieczkę żołnierza z niewoli jako naturalną konsekwencję jego stanu. Na granicy Francji i Szwajcarii miał Zagórski nieco kłopotu z psami strażników i drutami kolczastymi, jakimi się wówczas otoczyła Szwajcaria. Potem druga granica na piechotę: Pireneje, z kolei droga przez Hiszpanię, i wreszcie upragniona Anglia. W Rubensie dziadkowie leśni byli oburzeni: to samowolnie opuścił pan swój oddział? Inżynier Zagórski miał możliwości pracy w fabryce samolotów, nawet wyjazdu do Chin w charakterze technika. Wybrał służbę w lotnictwie, w personelu latającym.

Drugim inżynierem w naszej eskadrze był porucznik Jan Abczyński. W czasie kampanii w Polsce był przydzielony do obsługi lotniska we Włodzimierzu, które było przygotowane dla przyjęcia samolotów francuskich. Do obsługi tego lotniska wybrano specjalnie mechaników i żołnierzy mówiących po francusku: bombowce francuskie miały po bombardowaniu Niemiec lądować w Polsce, zabierać paliwo i bomby i wracać do Francji. Niestety z chwilą wybuchu wojny stacja radiowa francuskiego dowództwa lotniczego przestała się odzywać, i ani jeden bombowiec francuski nie przyleciał na lotnisko polskie. Z ewakuującymi się mechanikami Abczyński dojechał do Rumunii, stamtąd statkiem „Warszawa”, do Francji. Spieszył się do Francji bardzo, po to tylko aby po tygodniu wpaść tam w objęcia Niemców. I, jak niedawno w Rumuni marzeniem jego było znaleźć się w słodkiej Francji, tak teraz marzeniem jego było tę Francję jak najrychlej opuścić. Chodził po bruku marsylskim, myślał, myślał i wreszcie coś wymyślił. Oświadczył kolegom „Wyjadę przez Szwajcarię i Włochy simplońskim ekspresem”. Wszyscy myśleli że żartuje, a on mówił poważnie. W czasie gdy inżynier Zagórski ze Szwajcarii przez druty kolczaste przemykał się do Francji, inżynier Abczyński tę samą granicę przekraczał w przeciwnym kierunku. Dla odmiany — łódką,

zrobił 15 mil w nocy jeziorem genewskim. Miał wyrzuty sumienia że bez zgody właściciela łódkę sobie pożyczył, więc po wylądowaniu zostawił w łódce adres komu ją należy odstawić. Na dworcu w Lozannie zjawiał się przed odejściem simplonkiego ekspresu, ubrany w kombinezon mechanika, z olejarką w ręku. Wszedł pod wagon, niby dla naoliwienia kół. Wiedział, że na hamulcach pulmana znajduje się deska, na której człowiek może od biedy się położyć. Pociąg ruszył. Przewidujący inżynier miał okulary od kurzu, i wąte dla zatkania uszu — straszliwie tam kurzy i huczy pod wagonem ekspresu. Nie przewidział tylko jednej rzeczy: gdy pociąg ruszył pas dynamy zaczął go bić po siedzeniu. O mało nie zleciał. Z trudem dojechał do następnej stacji. Tam znalazł nieco wygodniejszą kryjówkę. Na granicy włoskiej widział w ciemności oczy włoskiego żandarma zaglądnącego pod wagon. Po 15 godzinach drogi, na wpół żywy ze zmęczenia, wyszedł spod wozu na granicznej stacji w Jugosławii. Strażnik jugosłowiański uciekł na jego widok: nic dziwnego, nasz inżynier był cały pokryty warstwą błota i żwiru. Jugosłowianie chcieli go odesłać do Włoch, Abczyński powiedział: „Jestem oficerem polskim, prawo międzynarodowe nakazuje wam udzielić mi schronienia”. Zamknięto go do aresztu wojskowego w Lubianie. Siedzieli z nim razem w celi żołnierz francuski, co z Francji kierował się do Grecji, dwu Włochów, dezertersów, i oficer niemiecki, porucznik, który do Jugosławii uciekł w mundurze i z bronią. Przedstawiał się jako prawnik z cywila, przeciwnik polityczny nazizmu, opowiadał Abczyńskiemu o defiladzie wojsk niemieckich w Warszawie, w której brał udział. Jugosłowianie podejrzewali go o prowokację. Wobec Abczyńskiego był służalczym, czyścił mu buty, zachowywał się tak, jak człowiek który wie że zawinił, i stara się to jakoś wynagrodzić. Jugosłowianie odnosili się do Abczyńskiego uprzejmie, po tygodniu go zwolnili z więzienia. Czas oczekiwania na dalszą drogę wykorzystał na zrobienie wycieczki jako kurier polskiej organizacji podziemnej na Węgry. Potem przez Grecję (w Salonikach był w czasie bombardowania) dojechał do Turcji. W Turcji władze nasze skierowały go do pracy w fabryce samolotów pod Ankarą, którą uruchomiło w czasie wojny 30 inżynierów polskich. Zarabiał dobrze, 400 funtów tureckich miesięcznie, ale ciągnęło go do lotnictwa w Anglii. Sam turecki marszałek Czak-Mak, naczelny wódz, napisał do polskiego attaché militaire list, że inżynier Abczyński jest niezbędny dla obrony Turcji. Janek poszedł na kompromis: pracował jeszcze w fabryce pół roku, i potem przez Syrię, Palestynę, Egipt, Południową Afrykę i Brazylię dopłynął do Anglii.

Spotkałem w naszym gronie również dwu kolegów z Brygady Karpackiej: poruczników Sawickiego i Lipińskiego. Sawicki skończył w r. 1939 szkołę podchorążych broni pancernej, znał się więc na motorach. Gdy po kampanii uciekłszy z niewoli rosyjskiej znalazł się w Warszawie, uzyskał pracę w zakładach mechanicznych, które naprawiały sprzęt dla armii niemieckiej. Pracował jako robotnik, mechanik. Od czasu do czasu robiło się jakiś sabotaż. Trudne było to zadanie, sabotaże karane były śmiercią, niemniej dwa razy udało się Sawickiemu tak coś ustawić w elektryczności, że raz czołg a raz samochód stanął w płomieniach. Za pierwszym razem zdarzyło się to spory czas po naprawie, i Niemcy nie mogli winy robotnikom udowodnić. Za drugim razem zaczęło być gorąco, Sawicki musiał uciekać. Po miesiącach tulaczki przez góry i rzeki Bałkanów znalazł się w Libii. Tam bardzo mu się przydał czas spędzony w niemieckich zakładach mechanicznych: w Libii brygada polska zdobyła wiele wozów i czołgów niemieckich i trzeba było umieć je naprawiać. Sawicki w tym celował.

W Tobruku pełnił funkcje oficera wywiadowczego batalionu. Nie zadawał sobie papierkową robotą w kancelarii, lecz sam sprawdzał otrzymywane o nieprzyjacielu informacje prowadząc patrole i wypadki. W czasie bitwy pod Gazalą wziął udział w brawurowym natarciu plutonu carriersów

na umocnione pozycje nieprzyjaciela. Pluton poniósł ciężkie straty, dwa carriersy spłonęły, Sawicki pod ogniem wyratował rannych. Otrzymał Virtuti.

Drugim „libijczykiem” był porucznik Adam Lipiński. Kampanię wrześniową odbył jako podchorąży rezerwy artylerii. Słyszałem wiele opowiadań uczestników tej kampanii, ale jego najwyraziściej przedstawia patos i komizm tej kampanii. Po skończonej kampanii wrócił do domu na wieś w radomskie i mimo że miał dopiero lat 19, okazał zdolności przedsiębiorcy: założył fabryczkę kawy. Była one robiona z żołądźci, zboża i wielu innych surowców za wyjątkiem tylko ziarn kawowych, musiały być wyjątkowym paskudztwem, ale ponieważ przewoził kawę z Brazylii ustał, przeto fabryka Adasia znakomicie prosperowała. Po klęsce Francji fala pesymizmu przeszła Polskę. Adam miał jednak doświadczonego wuja, który przed wojną objechał świat, i teraz dowodził: „Niemcy są wielką potęgą, ale Anglosasi są jeszcze większą, i oni muszą wygrać tę wojnę”. Lipiński oddał więc młodszemu bratu prowadzenie fabryczki a sam przez Tatry i Bałkany dotarł do Palestyny. Z ciekawością wjeżdżał w granice tak zachwalanego przez doświadczonego wuja Imperium Brytyjskiego. Anglicy z miejsca zamknęli go do więzienia. Wuj tego nie przewidział. Ale w więzieniu angielskim nie było najgorzej. Kuchnia była lepsza aniżeli w dworze ziemiańskim w radomskim w r. 1940. Poza tym więzienie to było dziwnym zbiegiem okoliczności miejscem rendez-vous elity naszego świata artystycznego. Hemar deklamował wiersze, Prokopeni śpiewał. Gdy wreszcie intrygi rozmaitych zwalczających się dwójek się wyjaśniły i towarzystwo wyszło na wolność, dozorczy byli niepokieszeni.

Najliczniejszą w naszej eskadrze była grupa „rosyjska”, to znaczy tych kolegów, których z więzień i łagrów sowieckich wyswobodził pakt Sikorskiego. Seniozem w tej grupie był Franio Rybicki, kapitan służby stałej. W roku 1939 brał udział w obronie Warszawy. W przeddzień poddania stolicy, gdy pozostały już tylko dwa samoloty, na jeden wsiadł pułkownik Iżycki, na drugi kapitan Rybicki, by odlecieć na Węgry. Startować trzeba było z lotniska, z którego jednej strony biegły okopy polskie, a z drugiej niemieckie. Pułkownik Iżycki, wylądował szczęśliwie w Budapeszcie. Kapitanowi Rybickiemu przy starcie kula przedziurawiła jeden zbiornik z benzyną. Potem został ostrzelany przez wojska rosyjskie. Byłby im umknął, ale na parę mil przed granicą rumuńską, wyczerpała się benzyna, musiał lądować. Wojska sowieckie aresztowały go. Rozpoczął wędrowkę po więzieniach, zwiedzając kolejno więzienia w Horodence, Stanisławowie, Czernichowie, Kijowie, Charkowie. Po czym zaproponowano mu wstąpienie w stopniu majora do lotnictwa sowieckiego. Ponieważ Rosja była wtedy sprzymierzeńcem Niemiec, więc odmówił. Został skazany na 8 lat ciężkich robót. Wysłano go nad ocean Lodowaty, gdzie nawet w czerwcu jest śnieg. Ładował skrzynię na statki, nosił belki pod budowę mostu. Po dwu miesiącach uciekł, ludził się że tundrą dojdzie na południe. Było to w czerwcu 1941. Został złapany i skazany na śmierć. Było ich 19 w jednej celi, skazanych na śmierć za ucieczkę: pięciu Łotyszów, jeden Litwin, dwu Polaków, kilku Rosjan i Tatarów. Wykonywano wyroki kolejno, co parę dni wyprowadzano kilku. Tymczasem Niemcy rozpoczęły wojnę i kapitan Rybicki odzyskał życie i wolność. Teraz rozpoczyna się drugi okres dziejów kapitana Rybickiego: wędrowka 4 tysiące mil na południe Rosji, gdzie formuje się z byłych skazańców armia polska. Pieszko przedziera się przez pustynię Karakum, gdzieś w azjatyckiej Rosji. Wreszcie po 6 miesiącach, w grudniu 1941, w łachmanach melduje się w pierwszym oddziale wojska polskiego. Pół roku potem z transportem lotników przez Persję, Irak, Syrię, Palestynę, Egipt dąży do Suezu, stamtąd dookoła Afryki płynie do Anglii. Koło wyspy św. Heleny statek został zaatakowany przez łódź podwodną i schronił się do brazylijskiego portu. Wreszcie kpt. Rybicki znajduje się na angielskiej stacji Rafu. Stary lotnik,

ale od 1939 r. nie miał do czynienia z lotnictwem, nowymi wynalazkami, nie zna języka angielskiego. Jednak chce latać, walczyć z wrogiem; czterdziestoletni kapitan rozpoczyna wyszkolenie lotnicze od początku.

Porucznik Wilczewski (w naszym gronie zwany Biskupem) zakończył wojnę w Warszawie. Przy poddawaniu stolicy władze wojskowe niemieckie zgodziły się na wolny powrót do domu wszystkich żołnierzy. Tomek udał się do rodzinnego Poznania, tam jednak wkrótce Gestapo przystąpiło do aresztowań byłych wojskowych. Wobec tego postanowił wybrać się do Francji. Jako że nie miał ukończonych lat dwudziestu przeto ufnie odnosił się do tego świata i wybrał drogę przez okupację rosyjską. Rosjanie skazali go za nielegalne przejście granicy na trzy lata przymusowej pracy. Posłano go na północ i zatrudniono przy wyrębie puszczy. W szpitalu więziennym spotkał metropolitę prawosławnego, starca wysokiej kultury, który po dwudziestu latach więzienia dokończył steranego żywota. Potem Wilczewski wraz z wojskiem polskim wyjechał na Średni Wschód, i został przeznaczony na członka konwoju polskiego, który miał jeńców niemieckich wieźć do Anglii. Między nimi był generał niemiecki Kruewéll który w czasie bitwy pod El Alamein dostał się, zestrzelony z samolotem, do niewoli brytyjskiej. Na parę dni przed dopłynięciem statku do Anglii dowódca wojsk na statku wezwał do siebie dowódcę polskiego konwojującego oddziału i oświadczył:

— Mam wiadomości, że jadący statkiem marynarze norwescy, zamierzają wrzucić generała niemieckiego i jego adiutanta do morza. W związku z tym należy wzmocnić posterunki.

Przed kabiną generała i adiutanta dotychczas stał jeden żołnierz na warcie. Teraz dodano mu żandarma angielskiego z pistoletem. Ponadto patrol dwu ludzi zaczął patrolować korytarz. Generał zaniepokoił się tym wzmocnieniem warty. W czasie przechadzki po pokładzie, spytał o jej przyczynę brytyjskiego dowódcę. Ten wskazał za burtę statku i powiedział:

— Tam płyną dwie wielkie ryby. Jedna chce zjeść pana, druga pańskiego adiutanta. Generał stracił humor, adiutant roześmiał się:

— To pewnie Polacy chcą nam coś złego zrobić.

— Przeciwnie — odpowiedział brytyjczyk — przedstawiciele innego narodu sprzymierzonego mają wobec was złe zamiary, a Polacy będą was bronić!

Zbyszek Groszek rodem ze Lwowa był w r. 1939 podchorążym lotnictwa. Potem zwiedził trzy więzienia rosyjskie i został skazany na osiem lat obozu przymusowej pracy. Czego na północy Rosji nie robił: kopał ziemię, ścinał las, był ordynansem komendanta szpitala, pracował u szewca, był asystentem w szpitalu, dokonywał sekcji zwłok, wreszcie zrobił karierę — został szefem oddziału dla umyślowo chorych. Gdy po pakcie Sikorskiego odzyskał wolność, wraz z pięcioma tysiącami Polaków barkami Amudarii płynął do wojska polskiego. Była zima, kra pokryła rzekę, barki zamarzły, brakło żywności, dwie setki ludzi zmarły. Potem ze Średniego Wschodu porucznik Groszek, płynął dookoła Afryki do lotnictwa w Anglii. W nocy 12 września 1942 na środku Atlantyku statek został storpedowany, w ciągu 40 minut poszedł na dno. Z 4 tysięcy pasażerów, głównie jeńców włoskich, ocalało tylko 900. Jedna łódź ratunkowa napełniona kobietami i dziećmi przy spuszczeniu do morza oberwała się, nikt z niej nie ocalał. Na drugi dzień wypłynęła niemiecka łódź podwodna. Niemcy kazali zdjąć żagle z łodzi, zapowiedzieli że okręt francuski wypłynął z Dakaru na pomoc, mają czekać. Istotnie nadpłynął krążownik Gloire. W Casablance żołnierze polscy zostali internowani przez władze Vichy. Groszek uciekł, ukrywał się w mieście, wreszcie gdy Amerykanie lądowali pod Casablanką z oddziałkiem siedmiu żołnierzy aresztował agentów niemieckich, za co został odznaczony de Gaulowskim Croix de Lorraine i polskim krzyżem zasługi.

Wreszcie w naszej eskadrze mieliśmy dwu kolegów, którzy już od lat kilku przebywali na wyspach brytyjskich. Jednym był porucznik Brzeziński, z cywila student politechniki warszawskiej, który miał już za sobą jedną kolejkę lotów bombowych nad Niemcy w charakterze strzelca pokładowego. Kiedyś jego „Wellington” wrócił do bazy z na wpół spalonym kadłubem — wiele dzienników angielskich zamieściło wtedy fotografię grata ze szczęśliwą załogą. Zbyszek szkolił się teraz z nami od nowa, ponieważ miał zamiar zostać pilotem. Jako zacięty zwolennik kooperacji polsko-brytyjskiej niemal co noc przesiadywał na dancingu z dziewczynami angielskimi. Kiedyś wychodząc z dancingu potknął się na schodach, i on który znał Hamburga i Berlina wracał cało, tym razem złamał nogę.

Drugim wyspiarzem był porucznik Pokropek. Zdążył już się ożenić z Angielką. Przez kilka lat pełnił funkcję tłumacza w sztabie, znudziły mu się, pragnął polatać nad Niemcami, przeto dołączył do naszej eskadry.

Oto po kronikarsku spisana historia tych siedemnastu mych kolegów z eskadry szkolnej. Przeprowadziwszy statystykę stwierdziłem, że łącznie byli zamknięci w 65 więzieniach lub obozach koncentracyjnych, mieli za sobą wyroki na 39 lat więzienia oraz parę niewykonanych skazań na śmierć. Obecnie tym bardziej radowali się życiem. Klasa nasza była zresztą wyjątkowo szczęśliwą: większość z nas udała się na dalsze wyzskolenie do Kanady, spędziła święta Bożego Narodzenia w Nowym Jorku, gdzie Kiepora dla nas śpiewał (i przemawiał) a Marta Wankowicz (z domu Tirliporek) zorganizowała z uroczymi rodzaczkami party dla nas. I ja tam byłem, miód i wino piłem... No i zdążyliśmy by wziąć udział w inwazji Europy. Trzech nas spotkał nawet ten wielki zaszczyt niesienia pomocy Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 r.

LUDWIK KNEBLEWSKI

NIE MA BOGA, TYLKO ALLAH

Allah jest bóg. Allah jest jeden. Allah jest wielki.

Słońce, czerwone i wielkie, rozpoczęło swoją codzienną wędrówkę od pnia olbrzymiego drzewa bawelnianego, które podpira niebo po wschodniej jego stronie. Chłód orzeźwiający wypełniał przestrzeń między ziemią, pokrytą mizernym, rzadkim, rudawym zarostem bushu, a niebem, wypogodzonym jak co dzień i niedosiężnym jak Allah.

Stary Ali zbudził swych synów: muskularnego Dikko i chłopięcego Mussa. Czas na modlitwę „raks'ahs”.

Koran nakazuje każdemu muzułmaninowi modlić się pięć razy dziennie. Kto wypełnia ten obowiązek, jest wiernym, chociażby nawet postępowaniem swym przypominał raczej diabła niż świętobliwego... Stary Ali, którego twarz zdradzała semickie pochodzenie, u progu swej chaty rozciągnął olbrzymią barwną matę, klęknął na niej na oba kolana, usiadł na piętach i, schylając swe ciało, owinięte białą opończą, począł bić czołem o ziemię.

„Nie ma boga, tylko Allah. Allah jest wielki” — szeptały jego bezzębne usta. Stary Ali podniósł się na całą swoją wysokość, popatrzał na słońce, znowu zgiął kolana i znowu uderzył czołem o ziemię. Synowie jego czynili to samo. Tak nakazuje Koran. Koran dokładnie wyznacza czas rozpoczęcia każdej modlitwy, określa długość jej trwania, ważność i obowiązkowy charakter jej. Tak więc modlitwa poranna trwa o połowę krócej niż modlitwa, odmawiana w chwili, gdy słońce mija zenitowy półmetek. Muzułmanin rozpoczyna modlitwę w chwili, gdy ostatnie światło zachodzącego dnia zgaśnie w nieprzeniknionych ciemnościach

tropikalnej nocy. Słońce, jego wschód, zenit i zachód wołają wiernych na modlitwę. Koran jest jednak wyrozumiały, ogromnie ludzki i życiowy, jak sam Talmud. Koran zna tropiki. Koran pozwala a nawet zaleca opóźnić nieco popołudniową modlitwę w okresie suchego sezonu. Wtedy słońce patrzy prosto w oczy Alego, zmęczone upałem i blaskiem. To nie jest przyjemne. Więc stary Ali bije swe pokłony w czerwonałą ziemię, gdy żar słoneczny jest mniejszy. Lecz nie wolno Alemu opóźnić lub przyspieszyć którejkolwiek z codziennych, obowiązkowych modlitw własnowolnie dla innych, osobistych powodów. Na to nie pozwala Koran i Allah. A Allah jest wielki.

Ali należy do plemienia Hausa, które jeszcze w XIX stuleciu tworzyło siedem potężnych państw północnej Nigerii: Kano, Rano, Zaria, Daura, Gobir, Katsina i Zamfara. Plemię Hausa przeszło przez zenit swego powodzenia, aż w XIII wieku podbite zostało przez koczowniczych, długowłosych, czarnoskórych Fulani, którzy przywędrowali z Górnego Egiptu.

Dziwny to był podbój. Podbici Hausa zachowali swój język, bogate miasta, rozlicznych bogów a nawet swych władców. Koczujący do niedawna Fulani osiedli w państwach Hausa-landu a nawet przyjęli język tubylców. Hausa dziewczęta weszły — jako żony — do domów najeźdźców. Wyznawcy „juju” tu i ówdzie poczęli wierzyć, że Allah jest wielki a nawet większy i potężniejszy od Świętego Węża, czczonego w Świętym Gaju, który rozsiadł się bujną zielenią nad brudnym stawem Jakara, wśród głęboką fosą o wiedzionych murów Kano. Stare to mury. Noszą one na sobie ciężar trzystu lat historii.

Ale sielanka współzycia Fulani i Hausa nie trwała wiecznie. W roku 1802 Othman dan Fodio, obywatel państwa Gori i doskonały orator plemienia Fulani, po odbyciu pielgrzymki do Mekki, uwierzył w swoje posłannictwo. Pewnego dnia wysłał on do wszystkich chief'ów kwieciste listy, w których zażądał od nich całkowitego porzucenia pogańskich bogów i wierzeń. Rozgniewany tym czarny król Gori rozkazał swej straży siłą sprowadzić i ukarać Dan Fodio. Obrażeni tym stronnicy religijnego reformatora, obwołali go Szeikiem i w krwawej walce pobili pogańskie wojska królewskie.

Murzyni zawsze byli praktyczni. „Żyć trzeba”, — powiedziało czterem niewiernym kacyków i pośpieszyło złożyć wiernopoddańczy hołd zwycięskiemu Dan Fodio. Nowo-kreowany Szeik pobłogosławił im i w imieniu Allaha ogłosił Świętą Wojnę przeciwko niewiernym i zacofanym Hausa. W rezultacie jej wszystkie państwa krainy Hausa dostały się pod kolejne panowanie fulańskiego Sheika Othman dan Fodio, jego syna — Bello, oraz brata, Abubuki Atiku. Oni stali się założycielami muzulmańskiej dynastii Sultanów Sokoto, którzy po dziś dzień używają oficjalnego tytułu „Sarkin Musulmi” (Król Wiernych).

Od tego czasu ludność północnej Nigerii czci Allaha, buduje meczety, pości w wrześniu, nie pije napojów alkoholowych, je baranię, płaci przepisane Koranem podatki, utrzymuje haremy i poddaje się wyrokom Alkali. Odtąd rok rocznie długie karawany wielbłądów i pielgrzymów ciągną przez Kano na północo-wschód, gdzie modlitwa u grobu Proroka oczyszcza grzesznych. Corocznie dziesiątki angielskich „Bedfordów” krają oponami „Good-Year” sypkie piaski półpustynnej Nigerii, wioząc tysiące wiernych do Mekki i Medyny.

Stary Ali zna dobrze szlaki tych pielgrzymek.

„Nie ma boga, tylko Allah i Mahomet, jego Prorok!” — mówiły jego usta w czasie porannej modlitwy.

„Allah jest wielki!” — szeptały jego grube wargi, gdy przed pięciu laty zenit się po raz trzeci. Koran pozwala na posiadanie czterech żon. Allah jest wspaniałomyślny, więc stary Ali — jak każdy przyzwoity muzulmanin — ma kilka konkubin. Może ich mieć tyle, ile chce i ile ma pieniędzy.

Bowiem w tym kraju Proroka za wszystko się płaci. Nie jakimś chrześcijańskim „Bóg zapłać!” lub „Dziękuję!” albo innym słowem wdzięczności, ale wprost pieniędzmi, osłem, dziewczyną, winem palmowym lub bransoletką. Nie ma legalnie zawartego związku małżeńskiego bez zapłaty umówionej sumy, bez prezentów zaręczynowych, ślubnych i małżeńskich. I tak więc głupkowaty Garba nie będzie spał ze swoją filuterną żoną, Gambo, tak długo, aż zapłaci ostatnią ratę należności za nią. Cienki jak palma, Amadu, stwierdził, że jego małżonka jest jeszcze dziewicą, winien więc dać jej srebrny pierścionek lub bransoletkę. Gdy w sąsiedniej wiosce młodzianka 15-letnia Tani powiła zdrowego czarnoskórego potworka, zamozny ojciec musiał rozdzielić dwieście kola-nuts między gości, zaproszonych na uroczystość nadania noworodkowi Koranowego imienia. Za ogolenie główki i wycięcie znaków plemiennych na brzuchu przyszłego wojownika szczepu Fulani fryzjer Tanko musiał otrzymać swój udział „Kushekara” w podziale mięsa między biesiadników, zebranych przed chatą szczęśliwego ojca.

Nie ma przejawu życia osobistego i społecznego, który nie łączyłby się z obowiązkiem dania albo przywilejem przyjęcia prezentu lub zapłaty. Muzułmańskie plemiona Hausa i Fulani traktują życie po kupiecku. Tylko pieniądź ma wartość. I on jest wyłącznym miernikiem wszystkiego, od cnoty czarnej Gambo poczynając i na osłe kończąc.

Stary Ali ma dwu synów i córkę. Smarkacze jeszcze. Jeden syn nosi imię Tanimu, bowiem urodził się we wtorek, zwany Talata. Drugiego wołają Balarabe, gdyż ujrzał świat w rozpalony ranek środowy, a środa nazywa się Laraba. Obaj są starsi od swej siostrzyczki, strojnej w długie strąki włosów, krągłe nagie piersi i białe guziczki w nosie. Dlatego ona nosi imię Dudu ko Delu. Jej przyjaciółka, właścicielka noska, przypominającego swym kształtem maskę warszawskiego autobusu, urodziła się w noc, po której toczyła się roześmiana szyderczo, krągła twarz księżycy, pozbawionego korpusu, rąk, nóg a nawet szyi. To była noc, więc czarny potworek o żeńskich znamionach płciowych otrzymał imię Bakuwa.

Jak proste jest życie muzułmanina. Wiadomo, że chłopiec, urodzony w chwili, gdy muzein wzywa wiernych do modlitwy, będzie miał imię Ladan, zaś dziewczę, które przyjdzie na Czarny Łąd, poprzedzone bliźniaczkami, szczyć się będzie imieniem Gambo. Wszystko jest już z góry wiadome. A więc że w styczniu powieje „harmattan”, owinięty grubą oponczą z piasku; że gdy słońce uśmiechnie się ostatni raz murom Katsiny, młody Haruna Katsina czołem uderzy o ziemię, wielbiąc imię Allaha; że Audu da ojcę swej przyszej małżonki dziesięć funtów sterlingów tytułem „dowry”; że bogobojny Isa, pragnąc Allahowi złożyć przepisaną Koranem ofiarę barana, przed zabiciem rozciągnie go na ziemi pyskiem na wschód, grzbietem na północ i nogami na południe; że wszyscy wierni postem poczną umartwiać swe ciała w każdy wrzesień, zwany Ramadan; że wierny Garba, konając, będzie miał twarz, zwróconą ku wschodowi, a jego przyjaciel Audu wypowie w takiej chwili sakramentalne słowa: „La ilaha illa' Llahu” (Nie ma boga, tylko Allah).

Koran wie wszystko. Koran jest wszystkim. Koran jest encyklopedią wiadomości, poradnikiem zdrowia, vade-mecum towarzyskim, biblią, podręcznikiem życia seksualnego, a nawet prawem podatkowym.

„Nie ma boga, tylko Allah. I Mahomet, jego Prorok”.

* * *

Zbliża się koniec sierpnia. Noc piękna usnęła nad Kano. Już od dwu dni wystawcy Emira biegają po wioskach: Nassarawa, Hadejia, Tudum Wada i Yankatsare, by dowiedzieć się, czy który z wiernych widział wschodzący księżyc. Bowiem mury Kano przesłaniają niebo, którego nie srebrzy księżycowa poświata.

Stary Emir, zmęczony wyczekiwaniem, legł na spoczynek. Była już północ, gdy na spienionym koniu przygalopował posłaniec z radosną wieścią. Świętobliwy Mallam widział twarz księżycy, przeglądającą się w szerokiej tafli wód rzeki Challawa. Obudzony Emir wydał rozkaz i po chwili strzał armatni zawiadomił wiernych, że nazajutrz rozpoczyna się post. Zaroily się mud-house'y, nędzne szałas, brudne podwórza. Płomienie rozpalonych ognisk buchnęły w niebo. Czarne gospodynie poczęły przygotowywać ostatni suty posiłek. Surowość postu zależy od woli wierzącego. Jeden postanawia pościć raz dziennie, drugi—przez cały miesiąc.

Hausa i Fulani wiedzą, co to jest higiena. Koran wie również. Więc Koran pozwala poszczającym czyścić zęby patyczkiem, który nie może jednak być ani słodki, ani kwaśny. Koran jest ludzki, więc brzemienna Dogara nie będzie pościć, gdyż słusznie obawia się o zdrowie swego płodu. Kilkuletni Amadu może jeść w czasie postu, ile chce. Jest zbyt mały, by mógł umartwiać swoje ciało bez szkody dla organizmu. Młode ciało musi być dobrze odżywione. Rozumie to Alhadji, stary jak baobab, rosnący przy jego mud-house'ie. Koran jest tego samego zdania.

Post ciała jest jednocześnie postem ducha. O tym wie każdy muzułmanin. Niestety, zapomniał o tym młodzieńczy Garba. Zgrzeszył ciężko, bowiem już w czasie postu opowiadał przyjaciółom brzydkie historie, po wtóre nie zwracał uwagi na przyzwoite zachowanie, a po trzecie któregoś dnia uściskał całkiem nieplatonicznie swoją żonę, Auta, a nawet spał z nią na macie. W biały dzień! Lekkomysłny Garba popełnił trzy ciężkie grzechy, więc dziś przyrzeka przebłagać Allaha przez nakarmienie sześćdziesięciu czarnych biednych głodomorów.

Wrzesień dobiega końca. Z nim kończy się i post. Na nów księżycy strzał emirowej armaty oznajmił ludowi, że nadszedł dzień festivalu Salla. Kano już rozbrzmiewa radosnymi okrzykami tańczących, głosami trąb i bębnow.

W pałacu Emira stary i na wpół ślepy Inusa przez cały dzień wali w królewski „tam-tam”. O świcie wszyscy zasiadają do obfitego posiłku, przybrani w odświętne stroje.

Post się skończył. Zaczyna się... obżarstwo. Jak mówi Hausa, „Człowiek je wtedy tyle aż uczuje, że może pęknąć”. Najedzony czarny muzułmanin ma siłę i ochotę do modlitwy. Cała ludność miasta i okolicznych wiosek dosiada koni, wielbłądów lub osłów, po czym podąża wszystkimi drogami i ulicami przez bramę miasta, zwaną Kofar Mata (Kobieca Brama). Już o godzinie siódmej rano olbrzymi plac jest wypełniony dziesiątkami tysięcy wiernych, którzy oczekują przybycia Emira i kapłana Limana.

Była godzina dziesiąta, gdy na ciemno-brązowym tle murów miasta Kano, zdobytych brytyjskimi kulami armatnimi w 1903 r., ukazała się postać władcy, Emira Kano. Jechał konno, otoczony gromadą jeźdźców, ubranych w bajecznie kolorowe turbany, opończe i sandały, zbrojnych w miecze, dzidy i tarcze. Szmer uznania, podziwu i holdu przeszedł przez tłumy. Emir zsiadł z konia i zajął miejsce pośrodku wolnej przestrzeni. Morze barwnych turbanów, czarnych twarzy i białych opończ stanowiło bogate tło emirowej starczej postaci. Stary, siwiejący Liman przewodził wiernym w modlitwie. Tysięczne tłumy odświętnie ubranych Murzynów pochylały się, rzucały na kolana, biły czołem o czerwonawą, wysuszoną upałem ziemię, wstawały i znowu pochylały się, gięły kolana, i znowu dotykały ziemi.

Dziesiątki tysięcy warg szeptały słowa modlitwy:

„Nie ma boga, tylko Allah. I Mahomet, jego Prorok. Allah jest wielki”.

Ale i modlitwa, i post, i uczta festivalowa mają swój koniec. „Salham Aleikum”, błogosławieństwo Limana spłynęło na pochylone głowy wierzących, na turbanami zdobne głowy wojowniczych chief'ów, na świątlnych radców emirowego dworu oraz na starczą głowę potężnego Emira Kano.

Powietrzem targnął huk. To jedyna armata czarnej władcy, ustawiona na dziedzińcu pałacowym, oznajmiła światu, że emirowy baran, przeznaczony na ofiarę, został zabity. Z tą chwilą w nędznych szałasach Nasarawa, w zniszczonych deszczami mud-house'ach starego Kano i w lichych psuedo-europejskich domkach Sabon Gari, tysiące niewinnych baranów zginą pod nożami religijnych gorliwców.

A przed Kofar Mata tłum poruszył się. Powstał. Kto stał bliżej bram miasta, ten pędem biegł wzdłuż brudnych cuchnących ulic, by zająć lepsze miejsce na szlaku tradycyjnego pochodu wiernych.

Emir już opuścił zajmowane przed chwilą miejsce. Dostojni radcy dworu ponieśli go na grzbiet wspaniałego siwka, na którym lśniła srebrem, złotem i czerwienią bogata uprząż. Droga, jedwabna oponcza okrywała nieskazoną białą postać władcy, spadała fantazyjnie na szyję i zad koński, na leki siodła i na strzemiona, zwisające z szerokich rzemieni, wyszywanych barwną nicią. Głowę Emira okrywał śnieżno-biały jedwabny turban. Lewa dłoń, na której palcach lśniły liczne pierścienie, trzymała fantazyjnie powycinane wodze. W prawej—tkwiła srebrna buława, symbol władzy monarszej. Przystojny, młody i na biało ubrany Murzyn prowadził emirowego konia za uzdę. Drugi Murzyn postępował obok, niosąc olbrzymi biały jedwabny parasol, używany tylko przez monarchów.

Długi wąż pochodu ruszył przez otwartą przestrzeń tuż u stóp wzgórza Goron Dutse, powoli zbliżył się do bramy, zwanej Wamba, przeszedł pod jej niskim sklepieniem, zatoczył olbrzymi łuk wzdłuż rozsypujących się w porze deszczowej murów miasta, po czym skierował się w stronę placu, położonego tuż u wejścia do Pałacu Emira.

Procesję poprzedzali sztukmistrze, wesołkowie i inni błazni emirowego autoramentu. Właśnie na zakręcie ulicy ukazał się jakiś obdarty brudas, dmuchając nieprzerwanie w długi na dwa metry—róg. Kiedyś na podobne dźwięki padły mury Jeryha. Mury Kano wytrzymały doskonale próbę... głosu. Tuż za trębaczem wyskoczył na jeźdźnię kilkunastoletni chłopak w podartej koszulce i spodenkach o jednej nogawce. Prowadził rower. Po chwili na oczach oniemiałej gawiedzi, półnagiej i obdartej, lecz upudrowanej, zaczął wykonywać akrobatyczne sztuczki. W biegu stawał na ramie roweru. Siadał na kierownicy. Przeskakiwał przez rozpędzony rower. To znowu jeździł, obrócony twarzą do siodelka.

Niebawem na drodze ukazał się inny „artysta”, przebrany za hienę, i zaczął rozśmieszać publiczność swoimi ruchami. Za nim szła zwarta masa wiernych. Radość, duma i przejęcie się ważnością chwili oraz swej roli, biły z ich roześmianych twarzy i błyszczących oczu. Dalszy człon barwnego pochodu stanowili liczni jeźdźcy. Emirowi trębacze grali monarsze melodie Algaita i Kakaki. W robieniu hałasu nie ustępowali im czarni dobosze, walący zapamiętałe w olbrzymie bębny, umieszczone na grzbietach leniwych wielbłądów. Następnie posuwała się konna para: królewski błazen i żebraczka. Ona była jedyną kobietą, biorącą udział w festiwalowej procesji z okazji Salla.

Za nimi wolnym stępem posuwała się niezliczona masa konnych, podzielona na grupy, skupione wokół poszczególnych wodzów. Stukot wielu tysięcy kopyt końskich, uderzających o bruk ulicy, stanowił fonetyczne tło barwnego filmu z życia muzulmańskiej północy Nigerii.

Jeźdźcy posuwali się w milczeniu, poważni, dostojni. Zanzibarskie, angielskie i japońskie jedwabie, kolorowe jak tylko cudowna bajka być może, spływały oponczami z ich ramion. Śnieżna biel, złoto, srebro i fiolet strojów walczyły o palmę atrakcyjności z purpurą, zielonością, żółtością i czernią bogato wyszywanych czapraków, siedzisk siodła, strzemion, wodzy, napierśników i ogłowiów. Piękno ludzkich postaci har-

monizowało idealnie z rasowym pięknem kształtnych końskich łbów, długich szyi, szerokich piersi, zgrabnych nóg, dobrze utrzymanych, powłóczyстых ogonów i imponujących ruchów. Żelazne lub powleczone skórą wielbłądzą tarcze, szerokie miecze, tkwiące w bogato inkrustowanych pochwach, tu i ówdzie dzidy a nawet hełmy, strojne w strusie pióra, dodawały czarnym jeźdźcom uroku wojowniczości.

Pochód posuwał się wolno, krok za krokiem. Rzeka ludzkich i końskich ciał płynęła wąskim korytem ulic, których obramowanie stanowiły rzędy niskich mud-house'ów. Na wieżyczkach, które strzelały w niebo z płaskich dachów, siedziały nieruchomo olbrzymie sępy. W drzwiach, prowadzących do labiryntów ludzkich nor mieszkalnych, stały osły, ogłupiałe widokiem ludzkiego mrowia. Czarne, nagie i oczywiście brudne dzieciaki tulili się trwożliwie do nóg ojców i matek, którzy wylegli na ulicę, by podziwiać kolorowy przepych pochodu emirowych wojów.

Słońce, blade z upału, podchodziło wolniutko pod zenit, gdy czoło procesji minęło wysoką bramę Pałacu Emira i zatrzymało się w pobliskiej szerokiej ulicy. Naprzeciwko wieży pałacowej, na kwadracie wolnej przestrzeni ustawiono rzędy krzesel. Teraz wypełnione były one przedstawicielami administracji i armii brytyjskiej z Rezydentem na czele.

W tej chwili młody Murzyn, prowadzący Emirowego rumaka, skrócił mu wodze. Piękny siwek potrząsnął kształtnym łbem, strzygąc niepokojnie uszami. Wsparty na ramionach radców dworu, stary Emir Kano zsiadł z konia, po czym powoli skierował się w stronę fotelu Rezydenta. Śnieżna biel monarszej opończy, przetykanej złotem, odcięła się radośnie od ciemnego tła garniturów Europejszczyków i khaki mundurów oficerów Royal West African Frontier Forces. Rezydent, starszy siwy pan, podniósł się ze swego fotelu. Wraz z nim wstali wszyscy Europejszczy. Czarny monarcha ceremonialną formułą pozdrowiał reprezentanta władcy Brytyjskiego Imperium. Biała dłoń uściśniła czarną. Na twarzy białego człowieka ukazał się uśmiech zadowolenia. Czarna, pomarszczona wiekiem, starcza twarz Emira Kano roześmiała się na mgnienie oka, by już za chwilę przybrać swój naturalny wyraz zmęczenia i zawodu.

Któż odgadnie, jakie myśli przebiegały w tej chwili przez głowę władcy prawie trzech milionów czarnych skór? Może duma monarsza rozpychała ściany jego czaszki. Może uczucie wdzięczności za roczną pensję angielską i pozory władzy wypełniało jego serce. A może w zwojach mózgowych, czarnego władcy kryła się pamięć losu jego poprzednika, Emira Aliyu, 60-tego z kolei króla Kano, który — pozbawiony w 1903 r. władzy monarszej przez Anglików i schwytyany w Sokoto — umarł w więzieniu w Lokoja.

Twarz Emira była zimna, pomarszczona, starcza.

Po chwili władca dosiadł rumaka i w otoczeniu dworu powoli skierował się do głównego wejścia do swej rezydencji, obejmującej obszar dwudziestu akrów gruntu. Olbrzymi biały jedwabny parasol rzucił krągły cień na jego postać, na rumaka i na najbliższe mu otoczenie.

U bramy pałacowej Emir oczekiwał na tradycyjny hołd podległych mu wodzów i ich konnych orszaków.

Nagle zadudniła ziemia pod uderzeniami tysiąca kopyt końskich. To pierwszy chief, dosiadając pięknego kasztana, pędził galopem na czele kilku setek konnych wojowników, ubranych identycznie i mających pod sobą konie tej samej maści. Zafurkotały opończe, zabrzęczały wędzidla, bryznęła piana z pysków końskich. Oddział wypadł z ulicy na otwartą przestrzeń, przebiegł galopem kilkadziesiąt metrów i runął w stronę, gdzie stał Emir Kano. Nagle jeźdźcy ściągnęli wodze. Zgięły się lśniące długie szyje końskie. Kopyta zaryły się w miękkiej ziemi. Czarne ręce podniosły się na wysokość głowy w wiernopoddańczym geście hołdu.

Radość i duma były z twarzy wojowników, patrzyły spod zawojów i turbanów radców dworu, wyglądały pomarszczoną, starczą twarz Emira Kano.

Oddział za oddziałem rwał wyciągniętym galopem, rył kopytami emirową ziemię i hołdowniczym podniesieniem prawic płacił władcy za opiekę, spokój i dobrobyt.

Nic to, że opodal stoi rzeczywisty władca w osobie angielskiego Rezydenta. Nic to, że przed chwilą właśnie jemu Emir Kano, zsiadłszy — zgodnie z ustaloną przez Anglików formą — z konia, pierwszy wypowiadał słowa oficjalnego pozdrowienia. Nic to, że nad historycznymi murami muzułmańskiego Kano od czterdziestu lat powiewa obca temu krajowi flaga Brytyjskiego Imperium.

Emir Kano z nieukrywanym zadowoleniem na twarzy patrzy na dwadzieścia tysięcy konnych wojowników, stojących zwartym murem, koń przy koniu, człowiek obok człowieka. Oni są jego ludem. On jest ich władcą.

Emirowy minstrel dał znak. Cisza legła pieczęcią milczenia na wargach tłumu zbrojnych. Masa ludzka znieruchomiała. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Emira. A on mówił wolno sakramentalne słowa, kończące Salla:

„Dzięki niech będą Allahowi i Prorokowi za sposób, w jaki obchodziliśmy ten Festival. Oby Allah pozwolił nam oglądać następne Salla. Oby Allah zmniejszył nasze niepowodzenia. Oby obdarował nas łaską długiego życia. Oby raczył zachować nas w zdrowiu”.

* * *

W krętych i brudnych zaułkach Kano, nad którymi rozrzutna natura rozpięła fantazyjne parasole palm, zamarły ostatnie echa radosnych okrzyków, brzękliwe tętent, głosy trąb i bębnow.

Wszystko mija. Po wielu dniach postu przyszedł dzień uroczystej Salla, dzień uczt, śpiewów i tańców. Ale jutro będzie znowu tak samo szare monotonią, jak przed miesiącem, i tak samo rozstłonecznione, upalne, jak ten dzień, zakończony strzałem emirowej armaty, nawołującym do postu.

Dziś muzułmańskie plemiona Hausa i Fulani mięsistymi wargami wiernych wymawiają słowa modlitewnego hołdu dla wielkości Allaha a już jutro Sudan Interior Mission na nowo rozpocznie swoją syzyfową pracę nawracania czarnych muzułmanów na wiarę chrześcijańską.

Nad niskimi mud-house'ami Kano nie wznosi się ani kopuła meczetu, ani jego strzeliste minarety. Niski, rozwalony deszczami roku 1938 i historią stu lat, brzydki meczet Massalachin Juma'a ginie w bezładnej masie biednych lepiank z czerwono-brązowej gliny.

Nad muzułmańskim miastem Kano, nad wzgórzami Goron Dutse i Dala, nad blaszanymi dachami Sabon Gari oraz kupiecką mięściną Tuaregów i wielbłądów, Fagge panuje władczo olbrzymia, z daleka widoczna, srebrna kopuła Banku Brytyjskiej Afryki Zachodniej.

Znak czasu czy raczej ironia losu religij?

„Nie ma boga, tylko Allah. I Mahomet, jego Prorok. Allah jest wielki”.

„A pieniądź jest potęgą, która daje szczęście już tutaj, na ziemi” — myśli czarny muzułmanin z plemienia Hausa.

Pisane w Salla w Północnej Nigerii.

monizowało idealnie z rasowym pięknem kształtnych końskich łbów, długich szyi, szerokich piersi, zgrabnych nóg, dobrze utrzymanych, powłóczystych ogonów i imponujących ruchów. Żelazne lub powleczone skórą wielbłądzą tarcze, szerokie miecze, tkwiące w bogato inkrustowanych pochwach, tu i ówdzie dzidy a nawet hełmy, strojne w strusie pióra, dodawały czarnym jeźdźcom uroku wojowniczości.

Pochód posuwał się wolno, krok za krokiem. Rzeka ludzkich i końskich ciał płynęła wąskim korytem ulic, których obramowanie stanowiły rzędy niskich mud-house'ów. Na wieżyczkach, które strzelały w niebo z płaskich dachów, siedziały nieruchomo olbrzymie sępy. W drzwiach, prowadzących do labiryntów ludzkich nor mieszkalnych, stały osły, ogłupiałe widokiem ludzkiego mrowia. Czarne, nagie i oczywiście brudne dzieciaki tuliły się trwożliwie do nóg ojców i matek, którzy wylegli na ulicę, by podziwiać kolorowy przepych pochodu emirowych wojów.

Słońce, blade z upału, podchodziło wolniutko pod zenit, gdy czoło procesji minęło wysoką bramę Pałacu Emira i zatrzymało się w pobliskiej szerokiej ulicy. Naprzeciwko wieży pałacowej, na kwadracie wolnej przestrzeni ustawiono rzędy krzesel. Teraz wypełnione były one przedstawicielami administracji i armii brytyjskiej z Rezydentem na czele.

W tej chwili młody Murzyn, prowadzący Emirowego rumaka, skrócił mu wodze. Piękny siwek potrząsnął kształtnym łbem, strzygąc niespokojnie uszami. Wsparty na ramionach radców dworu, stary Emir Kano zsiadł z konia, po czym powoli skierował się w stronę fotelu Rezydenta. Śnieżna biel monarszej opończy, przetykanej złotem, odcięła się radośnie od ciemnego tła garniturów Europejczyków i khaki mundurów oficerów Royal West African Frontier Forces. Rezydent, starszy siwy pan, podniósł się ze swego fotelu. Wraz z nim wstali wszyscy Europejczycy. Czarny monarcha ceremonialną formułą pozdrowiał reprezentanta władcy Brytyjskiego Imperium. Biała dłoń uściśniła czarną. Na twarzy białego człowieka ukazał się uśmiech zadowolenia. Czarna, pomarszczona wiekiem, starcza twarz Emira Kano roześmiała się na mgnienie oka, by już za chwilę przybrać swój naturalny wyraz zmęczenia i zawodu.

Któż odgadnie, jakie myśli przebiegały w tej chwili przez głowę władcy prawie trzech milionów czarnych skór? Może duma monarsza rozpychała ściany jego czaszki. Może uczucie wdzięczności za roczną pensję angielską i pozory władzy wypełniało jego serce. A może w zwojach mózgowych, czarnego władcy kryła się pamięć losu jego poprzednika, Emira Aliyu, 60-tego z kolei króla Kano, który — pozbawiony w 1903 r. władzy monarszej przez Anglików i schwytany w Sokoto — umarł w więzieniu w Lokoja.

Twarz Emira była zimna, pomarszczona, starcza.

Po chwili władca dosiadł rumaka i w otoczeniu dworu powoli skierował się do głównego wejścia do swej rezydencji, obejmującej obszar dwudziestu akrów gruntu. Olbrzymi biały jedwabny parasol rzucił krągły cień na jego postać, na rumaka i na najbliższe mu otoczenie.

U bramy pałacowej Emir oczekiwał na tradycyjny hołd podległych mu wodzów i ich konnych orszaków.

Nagle zadudniła ziemia pod uderzeniami tysiąca kopyt końskich. To pierwszy chief, dosiadając pięknego kasztana, pędził galopem na czele kilku setek konnych wojowników, ubranych identycznie i mających pod sobą konie tej samej maści. Zafurkotały opończe, zabrzęczały wędzidła, bryznąła piana z pysków końskich. Oddział wypadł z ulicy na otwartą przestrzeń, przebiegł galopem kilkadziesiąt metrów i runął w stronę, gdzie stał Emir Kano. Nagle jeźdźcy ściągnęli wodze. Zgięły się lśniące długie szyje końskie. Kopyta zaryły się w miękkiej ziemi. Czarne ręce podniosły się na wysokość głowy w wiernopoddającym geście hołdu.

Radość i duma były z twarzy wojowników, patrzyły spod zawojów i turbanów radców dworu, wygładzały pomarszczoną, starczą twarz Emira Kano.

Oddział za oddziałem rwał wyciągniętym galopem, ryl kopytami emirową ziemię i hołdowniczym podniesieniem prawic płacił władcy za opiekę, spokój i dobrobyt.

Nic to, że opodal stoi rzeczywisty władca w osobie angielskiego Rezydenta. Nic to, że przed chwilą właśnie jemu Emir Kano, zsiadłszy — zgodnie z ustaloną przez Anglików formą — z konia, pierwszy wypowiedział słowa oficjalnego pozdrowienia. Nic to, że nad historycznymi murami muzułmańskiego Kano od czterdziestu lat powiewa obca temu krajowi flaga Brytyjskiego Imperium.

Emir Kano z nieukrywaniem zadowoleniem na twarzy patrzy na dwadzieścia tysięcy konnych wojowników, stojących zwartym murem, koń przy koniu, człowiek obok człowieka. Oni są jego ludem. On jest ich władcą.

Emirowy minstrel dał znak. Cisza legła pieczęcią milczenia na wargach tłumu zbrojnych. Masa ludzka znieruchomiła. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Emira. A on mówił wolno sakramentalne słowa, kończące Salla:

„Dzięki niech będą Allahowi i Prorokowi za sposób, w jaki obchodziliśmy ten Festival. Oby Allah pozwolił nam oglądać następne Salla. Oby Allah zmniejszył nasze niepowodzenia. Oby obdarował nas łaską długiego życia. Oby raczył zachować nas w zdrowiu”.

* * *

W krętych i brudnych zaułkach Kano, nad którymi rozrzutna natura rozpięta fantazyjne parasole palm, zamarły ostatnie echa radosnych okrzyków, brzękliwe tętent, głosy trąb i bębnow.

Wszystko mija. Po wielu dniach postu przyszedł dzień uroczystej Salla, dzień uczt, śpiewów i tańców. Ale jutro będzie znowu tak samo szare monotonią, jak przed miesiącem, i tak samo rozstłonecznione, upalne, jak ten dzień, zakończony strzałem emirowej armaty, nawołującym do postu.

Dziś muzułmańskie plemiona Hausa i Fulani mięsistymi wargami wiernych wymawiają słowa modlitewnego hołdu dla wielkości Allaha a już jutro Sudan Interior Mission na nowo rozpocznie swoją syzyfową pracę nawracania czarnych muzułmanów na wiarę chrześcijańską.

Nad niskimi mud-house'ami Kano nie wznosi się ani kopuła meczetu, ani jego strzeliste minarety. Niski, rozwalony deszczami roku 1938 i historią stu lat, brzydki meczet Massalachin Juma'a ginie w bezładnej masie biednych lepianiek z czerwono-brązowej gliny.

Nad muzułmańskim miastem Kano, nad wzgórzami Goron Dutse i Dala, nad blaszanymi dachami Sabon Gari oraz kupiecką miejsciną Tuaregów i wielbłądów, Fagge panuje władczo olbrzymia, z daleka widoczna, srebrna kopuła Banku Brytyjskiej Afryki Zachodniej.

Znak czasu czy raczej ironia losu religij?

„Nie ma boga, tylko Allah. I Mahomet, jego Prorok. Allah jest wielki”.

„A pieniądz jest potęgą, która daje szczęście już tutaj, na ziemi” — myśli czarny muzułmanin z plemienia Hausa.

Pisane w Salla w Północnej Nigerii.

ROK W TREMBLINCE

Opowieść stolarza żydowskiego Jankiela Wiernika, który spędził rok w Tremblince jest jednym z najstraszliwszych dokumentów w dziejach ludzkich. „Rok w Tremblince” ukazał się w Kraju nakładem „Komisji Koordynacyjnej w Warszawie”. Zanim tekst pełny, obejmujący kilkadziesiąt stron druku ukaze się w wydaniach osobnych, podajemy poniżej najistotniejsze fragmenty tej przeraźliwej relacji, utrwalenie jej na łamach „Nowej Polski” za swój obowiązek poczytując i wolę autora wypełniając.

Trudno jest czytać te opisy mąk ludzkich, bo naturalna instynkt broni się przed zbyt już potwornym obrazem okrucieństwa, ale nie ma ucieczki od prawdy straszliwej zawartej w tych stronach spisanych ręką Człowieka do granic ostatecznych umęczonego.

Red.

Drogi Czytelniku!

Dla Ciebie jedynie przedłużam swój marny żywot. Dla mnie stracił on wszelki urok. Bo czyż mogę swobodnie oddychać i cieszyć się wszystkim, co natura stworzyła?

Bardzo często budzę się w nocy ze strasznym jękiem. Koszmarne widziadła przerywają mi tak pożądany sen. Widzę tysiące kościotrupów, wyciągających do mnie swe trupie ręce, prosząc o życie i litość. A ja obłany kroplistym potem, czuję się niemocną pomoc. Zrywam się wtedy, przecieram oczy, i cieszę się, że jest to jedynie sen. Życie me zatrute. Widma śmierci przesuwają się przede mną. Dzieci, dzieci i jeszcze raz dzieci.

Wszystkich najbliższych złożyłem w ofierze. Sam prowadziłem na stracenie. Sam budowałem dla nich komory śmierci.

Dziś jestem bezdomnym starym człowiekiem. Bez dachu nad głową, bez rodziny, bez bliskich. Sam do siebie mówię, sam sobie odpowiadam. Jestem koczownikiem. Ze strachem przestępuję osiedle ludzkie. Zdaje mi się, że wszystkie przeżycia są wryte na mej twarzy. Gdy się przegładam w strumieniu lub rzece, strach i zdziwienie wykrzywiają mi twarz. Czyż jestem do człowieka podobny? Nie. Po stokroć nie. Obrośnięty, zaniedbany, zniszczony. Sto wieków dźwigam na mych barkach. Ciężko mi. O jakże ciężko. A przecież narazie dźwigać muszę. Chcę i muszę. Ja, który widziałem zagładę trzech pokoleń i żyć muszę dla przyszłości. Świat cały musi się dowiedzieć o bezceństwach tych barbarzyńców. Wieki i pokolenia muszą ich potępiać. Właśnie ja mam być sprawcą tego. W najśmielszej wyobraźni nikt sobie takiego obrazu nie wytworzy, jak to com widział i przeżył. Również żadne pióro tego nie opisz. Chcę podać wszystko wiernie. Niech ludzie wiedzą. Niech świat cały wie, co to jest „kultura zachodnia”. Jam cierpiał, prowadząc miliony na stracenie. Niech się dowiedzą miliony. Poto żyję. To jest mój jedyny cel. W samotności i ciszy obmyślam wszystko i podaję wiernie. Samotność i cisza są moimi wiernymi przyjaciółmi. Jedynie świergot ptaków towarzyszy mi w rozmyślaniu i pracy. O drogie ptaki. Wy kochacie mnie jeszcze. W innym razie nie świergotałybyście tak wesoło i nie oswajałybyście się tak prędko ze mną. Kocham was jak kocham każdy boży twór. Może wy mnie ulecycie. Może potrafię śmiać się jeszcze kiedyś.

Może nastąpi to wtedy, gdy ukończę mą pracę i z nóg naszych spadną kajdany.

* * *

Obóz w Tremblince był podzielony na dwie części. W obozie numer jeden była bocznic kolejowa i rampa do wyładowania transportów żywych. Prócz tego był duży plac gdzie składano dobytek przyjeżdżających. Najwięcej przywozili ze sobą zagraniczni Żydzi. Tam też znajdował się „lazaret”. Długi 30 x 6 x 2 m., pracowali tam dwaj mężczyźni. Nosili białe fartuchy a na ramieniu czerwone krzyże. Uchodzili za lekarzy. Z transportów wybierali starców i chorych, sadzali ich na długą ławę zwróconych twarzą do grobu. Za nimi stawali Niemcy i Ukraińcy. Zadawali oni ofierze śmierć strzałem w kark. Trup spadał wprost do grobu. Gdy zebrało się dużo trupów, zgarniano ich i podpalano. Płonęli żywym płomieniem.

Opodal znajdowały się baraki zamieszkałe przez Niemców i Ukraińców. Kancelaria, baraki dla pracujących Żydów, różne warsztaty, stajnie, chlew, magazyn żywnościowy, składy broni. Na podwórzu stały wozy samochodowe. Z wyglądu nie przedstawiał ten obóz nic groźnego. Odnosiło się wrażenie, że jest się naprawdę w obozie pracy.

Obóz Nr. 2 był zupełnie odmienny. Barak dla robotników 30 x 10 m., pralnia, małe laboratorium, pomieszczenie dla 17 kobiet, wartownia i studnia. Prócz tego 13 komór do zagazowywania ofiar, które szczegółowo opiszę. Dookoła tych zabudowań było ogrodzenie z kolczastego drutu. Za ogrodzeniem rów 3 x 3 m. Za rowem drugie ogrodzenie z kolczastego drutu. Oba ogrodzenia dochodziły do wysokości 3 m. Pomiędzy tymi parkanami zasieki ze stalowego drutu. Dookoła stali Ukraińcy na warcie. Cały obóz otoczony parkanem czterometrowej wysokości z kolczastego drutu. Parkan ubrany był choinkami. Na placu były cztery wieże obserwacyjne cztero piętrowe i sześć wież obserwacyjnych jednopiętrowych. 50 m. za ostatnim parkanem stały kozły przeciwtankowe.

Gdy przybyłem do obozu były już trzy komory do zagazowywania. W czasie mego pobytu przybyło jeszcze 10. Wielkość komory wynosiła 5 x 5 m., razem 25 m.kw., wysokość 1,90 m. Wylot na dachu z hermetycznym zamknięciem i wloty rury, podłoga terakotowa pochyla ku rampie. Budynek murowany oddzielony jest od obozu Nr. 1 drewnianą ścianą. Te dwie ściany, drewniana i murowana, tworzyły razem korytarz podwyższony od poziomu całego budynku o 80 cm. Z tej samej strony prowadziły drzwi drewniane hermetycznie zamknięte. Drzwi z każdego pokoju ze strony obozu Nr. 2 (2.50 x 1.80) otwierały się tylko na zewnątrz od dołu do góry, zapomocą żelaznych podpórek, zamykano je zapomocą żelaznych haków, umieszczonych na futrynach i drewnianych zasów. Drzwiami ze strony korytarza wpuszczano ofiary. Drzwi od strony obozu Nr. 2 służyły do wyciągania zagazowanych zwłok. Wzdłuż komory znajdowała się elektrownia, prawie tej samej wysokości co komory, ale wyższa o różnicę rampy. Elektrownia zasilala światłem pierwszy i drugi obóz. W elektrowni stał motor z sowieckiego tanku, służący do wpuszczania gazu do komór. Gaz ten wpuszczano, łącząc motor z rurami wlotowymi. Od ilości wpuszczanego gazu spalinowego zależała szybkość śmierci ofiar. Przy maszynach pracowali dwaj Ukraińcy. Iwan, wysoki, o oczach miłych i łagodnych, jednakowoż sadysta. Tortury zadawane ofiarom sprawiały mu przyjemność. Dopadał nieraz do nas, pracujących i gwoździem przybijał ucho do ściany, albo kazał kłaść się na podłogę i wliczał tęgie nahaże. Przy tym twarz jego wyrażała sadystyczne zadowolenie. Śmiał się i dowcipkował. Ofiary wykańczał zależnie od swego nastroju. Drugi nazywał się Mikołaj Nizszy, o bladej twarzy i o tej samej strukturze duchowej co Iwan. Dzień, w którym poraz pierwszy ujrzałem jak do budynku śmierci doprowadzają dzieci, kobiety i mężczyźni przyprowadził mnie prawie o obłęd. Wyrwałem sobie włosy z głowy i wylewałem gorzkie łzy rozpacz. Najwięcej cierpiełem patrząc na dzieci przy matkach lub samotne, które nie zdawały sobie sprawy z tego, że pasmo ich krótkiego życia urwie się za kilka minut wśród największych męczarni. Oczęta ich rozszerzone były strachem, a jeszcze bardziej zdziwieniem. Na ustach dziecka jakby zastygło pytanie: „A co to, a poco, a dlaczego?”. Widząc jednak skamieniałe twarze starszych dostosowują się do chwili. Stoją bez ruchu lub tulą się jedne do drugich, lub do rodziców, czekając w naprężeniu groźnego końca. W tym, otwierają się drzwi ze strony wejściowej. Iwan trzyma w ręku grubą „gazo-rurę”, długości około 1 m. a Mikołaj szablę. Na dany znak zaczynają wpuszczać ofiary. Przy tym biją je bezlitośnie. Ryk kobiet i płacz dzieci do dnia dzisiejszego dźwięczy mi w uszach. Krzyk rozpaczliwy i bolesny. Krzyk, błagający o litość. Krzyk, wolający o pomstę do Boga. Jęki i płacze nie pozwalają mi zapomnieć o nieszczęściach, których byłem naocznym świadkiem.

Do komory, mającej 25 m.kw. wpuszczano 450 do 500 osób. Było strasznie ciasno. Stał jeden przy drugim. Wnoszono dzieci, sądząc, że w ten sposób unikną zagłady. W drodze do śmierci bito i popychano kolbami i „gaz rurą”. Puszczano na nich psy. Psy szczekały, gryzły i rzucały się na ofiary. Każdy więc z krzykiem, chcąc uniknąć uderzeń i psów rzuca się w objęcia śmierci i wbiega do komory. Silniejsi popychają słabszych. Chałas trwa krótko. Drzwi z trzaskiem zamykają się. Komora zapelniona. Puszczają motor, łączą z rurami wlotowymi. Najwyżej w 25 minut wszyscy leżą pokotem. Nie leżą nawet, bo nie ma gdzie. Padają poprostu sobie w objęcia i stoją. Nie krzyczą już. Pasma ich życia zostało przerwane. Nie mają żadnych pożądań i potrzeb. Matki i dzieci w śmiertelnym uścisku. Nie ma wrogów i przyjaciół. Nie ma zazdrości. Wszyscy równi. Nie ma ładnych i brzydkich, wszyscy zółci — zatruci. Nie ma bogatych i biednych, wszyscy równi wobec Boga. Dlaczego? Pytam sam siebie. Życie mi ciężko, bardzo ciężko. A przecież muszę, by światu przekazać te bezceństwa i bar-

barzyństwa. Po zakończeniu gazowania Iwan i Mikołaj badali stan rzeczy. Następnie przechodzili na drugą stronę, gdzie mieszczą się drzwi przy rampie, otwierają je i wyrzucają zagazowanych. Nas czekała praca zanoszenia ich do grobu. Byliśmy przemęczeni, gdyż od rana pracowaliśmy przy budowie. Mimo to nie było do kogo apłować. Mogliśmy się przeciwstawić, otrzywać bity, zginąć tą samą śmiercią co inni, lub okrutniejszą, więc bez szemrania robimy wszystko. Nad nami „Hauptman” (nie wiem jak się nazywał) wzrostu średniego, w okularach. Bije i krzyczy. I mnie się dostało. Bil mnie bez przerwy. Podniosłem nań pytający wzrok — wtedy przerywa na chwilę i powiada: „Wenn du nicht der Zimmermann bist, dann wirst du getötet”. Oglądam się. Wszyscy prawie pracujący podzielił mój los. Cała sfera psów, Niemców i Ukraińców bije i gryzie. 25% pada przy pracy. Bez badania wrzucamy ich do grobu. Wracamy w mniejszym gronie. Ja miałem to szczęście, że po odejściu „Hauptmana” „Unterscharführer” zwolnił mnie z pracy.

Gazowano dziennie 10 — 12 tysięcy ludzi. Złożyliśmy wąski tor i na platformie przewożono ludzi do grobu. Ale nie można było nadążyć. Ciągnięto na paskach we dwójkę. Tego wieczoru przeżyłem jeszcze jeden ciężki moment. Otóż tego wieczoru po ciężko spędzonym dniu nie zaprowadzono nas do obozu Nr. 1 tylko do obozu Nr. 2. Stąd widok zupełnie inny. Widoku tego nie zapomnę nigdy. Zastygła mi krew w żyłach. Przechodząc obok rampy widziałem tysiące trupów, poniewierły się one po podwórzu obozowym. Były to zwłoki świcznych ofiar. Ukraińcy i Niemcy wydawali głośne rozkazy. Dziko krzyczeli, bijąc nieludzko kolbami i drągami robotników, którzy mieli zakrwawione twarze, podbite oczy i ubrania poroziywane przez psy. Obok nich capo. Przy wejściu do obozu Nr. 2 znajdują się jednopiętrowe wieże obserwacyjne. Na wieże wchodziło się po drabinach. Przy tych drabinach katowano ofiary. Wsadzano im nogi między szczeble, głowę wdół pochyłą trzymał capo tak, że ofiara nie mogła ruszyć się. Wściekłość swą wyladowywał na nieszczęsnych zadając im tęgie razy. Do najmniejszych plag zaliczano 25 nahaji. Poraz pierwszy ujrzałem w wieczorem. Księżyc i reflektory oświetlały straszną masakrę pół żywych i obok nich leżące trupy. Jęki katowanych zlewały się ze świstem spadających na ich grzbiety barów.

Mieszkałem nadal w obozie Nr. 2 z którego codziennie zabierano mnie do pracy do pierwszego obozu, z braku rzemieślników. Przychodził „Unterscharführer” Hermann. Miał lat około 50. Wysoki ludzki i miły. Rozumiał nas i współczuł z nami. Gdy poraz pierwszy przekroczył obóz Nr. 2 i zobaczył stopy zagazowanych, zbladł, patrzył na to wystraszonemu i pełnemu litości wzrokiem. Szybko zabrał mnie, by stracić ten widok z oczu. Do nas robotników odnosił się bardzo dobrze. Często wynosił coś ukradkiem do zjedzenia z niemieckiej kuchni. Wzrok jego wyrażał tyle dobroci, że człowiek chętnie wyplakałby się przy nim i uzalił. Bał się jednak swoich kolegów. Nigdy z nimi nie mówił, ale każdy czyn i ruch odzwierciedlał jego szlachetną duszę. Przy pracy w obozie Nr. 1 widziałem wszystko: jak się naszych braci prowadzi do zagazowania i jakie strasne koleje przechodzą jeszcze przed śmiercią. Był to okres, w którym przybywały transporty. Gdy pociąg zajeżdżał, spędzano natychmiast kobiety i dzieci do baraków. Mężczyzn zostawiano na podwórku. Kobiutom i dzieciom kazano się rozbiierać. Naiwne kobiety wyjmują ręczniki i mydło, ludzą się, że będą się kąpać. Oprawcy żądają ładu i porządku. Biją i katują. Dzieci płaczą. Dorośli jęczą i krzyczą. Nic nie pomaga, bat jest silniejszy. Osłabia jednych, cuci drugich. Po uporządkowaniu wszystkiego, wchodzi kobiety i dziewczynki do fryzjerni i poddają się strzyżeniu. Teraz są już prawie pewne, że idą do kąpielni. Drugim wyjściem kierują się do obozu Nr. 2, gdzie na silnym mrozie pozostają nagie, czekając na swą kolej, gdyż w komorach nie ukończyło się jeszcze gazowanie poprzednich ofiar. Było to wszystko zimą. Mroz siarczysty. Małe dzieci zupełnie nagie i bose muszą stać pod gołym niebem. A stoją tak godzinami. Czekają kolejki. Komory nie są jeszcze wolne. Dzieciom z zimna przrastają stopy do zlodowaciałej ziemi. Stoją, płaczą, zamarzają. W szeregu biją Niemcy i Ukraińcy. Bestją dziką i podłą był Niemiec Zopf. Ten najbardziej znęcał się nad dziećmi. Gdy popychał kobiety, a te prosiły go by nie napierał gdyż mają przy sobie dzieci, wyrwał im wówczas dziecko z rąk i albo rozrywał je w pół, biorąc za nóżki, albo główką uderzał o ścianę i odrzucał zabite. To nie były pojedyncze te wypadki, co kilka kroków odbywały się takie tragiczne sceny.

Mężczyźni przechodzili jeszcze stokroć gorsze męki niż kobiety. Rozbierali się na podwórku. Musieli porządkować swe ubrania, zanicieć na plac i składać na stosie innych ubrań, następnie wchodzili do baraku, gdzie rozbiierały się kobiety, wynosiły i układały odzienie kobiet. Gdy się ustawili, wybierano zdrowych, silnych i dobrze zbudowanych i rozpoczynali się tortury. Bito ich do krwi. Bito ich w najbardziej wyszukany sposób. Ustawieni razem, kobiety, mężczyźni, starcy i dzieci na dany znak ruszają. Przejść mieli z obozu Nr. 1 do obozu Nr. 2 do komór. Po drodze stała buda. Siedział tam wewnątrz ktoś i wołał, ażeby wszystkie wartościowe rzeczy oddawać. Ludzie ludzili się jeszcze że żyć będą, starali się co mogli ukryć. To też wszystko znajdowali kaci. Jeśli nie za życia to po śmierci. Kto podchodził do budki musiał podnieść ręce do góry. I tak cały korowód śmierci przechodził milcząco do komór z podniesionymi rękami. Przed budynkiem komór stał Żyd wybrany przez Niemców t.zw. „Bademeister”. Nawoływał wszystkich do kąpielni, gdyż woda wystygła. Ironja. Wpędzano tak wśród bicia i krzyków do komór. Jak wspomniałem, w komorach ciasno. Duszą się ludzie od samego tłoku. Motor również źle funkcjonował w nowych komorach. Niesz-

częśliwi męczyli się całymi godzinami nie mogąc zginąć. Sam szatan nie wymyśliłby straszniejszych mąk. Gdy otwierano komory często było jeszcze dużo napół żywych, których kolba, kula lub mocniejsze kopnięcie dobijało. Często wpuszczano ofiary do komór na całą noc i nie puszczano w ruch motoru. Ciasnota i duszność robiły swoje, zabijając większy procent wśród strasznych mąk. Ale dużo pozostało żywych. Przeważnie dzieci były odporne. Te po wyrzuceniu z komór żyły. Ale wszystkich dobijał wówczas rewolwer Niemca. Najgorsze było wystawianie na siarczystym mrozie nago w oczekiwaniu swej kolcji i okrutnej śmierci. Jednakowoż nie mniej straszne były komory. Z prawdziwą radością witali kaci transporty zagraniczne: tam podobno reagowano na te wysiedlenia. A żeby więc nie wzbudzać podejrzenia, co czynią z nieszczęśliwcami, wywożono ich w pasażerskich pociągach i pozwalano zabrać ze sobą wszystko co niezbędne. Ludzie ci zajędzali elegancko ubrani. Przywozili ze sobą moc żywności i ubrań. W pociągu mieli obsługę, nawet restauracyjny wagon. Dużo mieli ze sobą tłuszczu, kawy, herbaty i t.d. A naga rzeczywistość ukazywała im się nagle. Wyciągano ich z wagonów i wszystko odbywało się w ten sam sposób, jak już opisałem. Następnego dnia nie było po nich śladu. Pozostały tylko ubrania, żywność i praca, ciężka praca przy chowaniu trupów. Ilość transportów powiększała się z każdym dniem, ponieważ było już trzynaście komór do gazu wania. Nieraz gazowano dziennie do 20.000. O uszy nasze obijały się tylko krzyki, płacze i jęki. Ludzie pozostali przy pracy i narazie przy życiu, w dniach przybywania transportów nie jadali i ciągle płakali. Słabsi i wrażliwi dostawali rozstroju nerwowego i popelniali samobójstwo, a czyniła to po największej części inteligencja. Ci, gdy wracali do baraków po pracy przy trupach, mając jeszcze uszy pełne krzyków i jęków ofiar — w nocy wieszali się. A było takich wypadków conajmniej 15 do 20 dziennie. Nie mogli oni wytrzymać przesładowań capo i Niemców i nie mogli znieść cierpień. Pewnego dnia przybył nowy transport z Warszawy. Z tego transportu dołączono robotników do obozu Nr. 2. Poznałem tam dużo znajomych. Ale nie był to odpowiedni element do pracy. Niejaki Kuszer nie mógł wytrzymać mąk i tortur. Rzucił się na swego oprawcę Niemca Matjasa „Ober-scharführera” z obozu Nr. 2. Był to kat i zbój. Kuszer zranił go. Przybył „Haupt-sturmführer”, zwolnił rzemieślników, a wszystkich innych wymordowano na miejscu w najokropniejszy sposób tępymi narzędziami. Pracowałem w lesie przy obróbce drzewa. Las ten znajdował się między pierwszym obozem a drugim. Tędy przechodziły transporty nagich dzieci, kobiet, starców i mężczyzn. Niemy pochód śmierci. Słyszało się tylko krzyki zbrojów. Nieszczęśliwi milczeli. Jedynie od czasu do czasu jakieś dziecko popłakiwało, płopakało i zamilkło. Palce zbroja objęły wątle gardziółko dzieciątka i zdławiły w nim ostatnie łkanie. Wszyscy szli z podniesionymi rękoma, nadszy bezbroni.

Między pierwszym a drugim obozem były zabudowania dla Ukraińców. Byli zawsze pijani. Wykradali, co się da z obozu i sprzedawali za wódkę. Niemcy strzegli ich i często odbierali im łup. Ukraińcy syci i pijani szukali jeszcze innych podnieć. Gdy przechodziły obok ich zabudowań transporty nagich kobiet wybierali z pośród dziewic żydowskich najpiękniejsze, wciągali je do swych zabudowań, gwałcili je w bestialski sposób. Później odprowadzali do komory śmierci. Shanbione przez swych oprawców duszą się narówni z innymi w ciasnych komorach. Śmierć męczeńska. Były nieraz reakcje. Opiszę jeden z takich wypadków. Oto jedna z dziewczyn wystąpiła z szeregu. Naga przeskoczyła przez płot trzymetrowej wysokości z drutu kolczastego i zaczęła uciekać w naszym kierunku. Zauważyli to Ukraińcy i urządzili za nią pościg. Pierwszy rzucił się w pogoń, ale że był za blisko nie mógł strzelać. Wyrwała mu karabin. Trudno było im strzelać wogóle, gdyż dokoła stały „Wachy” i łatwo było kogoś zranic. Jednak krew w nich zagrała. Padł strzał, który zabił Ukraińca a ona w swej furii szamotała się z innymi. Padł drugi strzał i zranił drugiego Ukraińca, odjęło mu rękę (po wyleczeniu pozostał w naszym obozie i był tam do ostatniej chwili). Nareszcie ujęli ją. Drogo zapłaciła za to wszystko. Bito, posiniaczono, opluto, skopano następnie dopiero zabito. Jest to bezimienna bohaterka nasza. Przybył transport z Niemiec. Wszystko odbyło się szablonowo. Przy rozbiieraniu występuje kobieta z dwójmgiem dziećmi, chłopakami. Legitymuje się że jest rodowitą Niemką, tylko przez pomyłkę dostała się do wagonu. Wszystkie dokumenty w porządku. Dwaj chłopcy nieobrzezani. Kobieta piękna, ale strach maluje się w jej oczach. Trzyma dzieci przy sobie, uspakaja i pociesza, zapewnia, że zaraz się wszystko wyjaśni i powrócą do tatusia do domu. Pieści je i całuje, ale sama płacze. Przekucie, straszne przekucie. Niemcy każą jej z dziećmi wystąpić z szeregu. Zdaje się, że jest uratowana. Następuje u niej odprężenie. Lecz o zgrozo, zdecydowano, że musi z Żydami razem zginąć, ponieważ za dużo widziała i może to światu rozgłosić. Rozumie się, że wszystko owiane jest tajemnicą. Kto przekroczył próg Tremblinki, ten jest skazany na stracenie. I ta kobieta z dziećmi kroczy razem, ze wszystkimi na śmierć. Dzieci płaczą tak samo jak żydowskie. W jej oczach maluje się ta sama rozpacz. Nie ma różnicy rasy. Wobec śmierci wszyscy są równi. Mąż jej napewno zginie na froncie. Ona zginęła w obozie.

Będąc w obozie Nr. 1 dowiedziałem się kim są ci żydzi, którzy noszą złote łąty. Otóż byli to ludzie różnych wolnych zawodów i rzemieślnicy pozostawieni z pierwszych transportów, wybudowali Tremblinkę. Gdy wszystko skończy się może wyfruną na wolność. Jednakże los chciał inaczej. Po pierwsze postanowione było, że kto tylko przekroczy próg tego piekła, zginąć musi. Nie wolno zostawiać świadków, którzyby światu wskazać mogli miejsce barbarzyńskich tortur. Po drugie jedno zdarzenie wy-

traćilo ich z łask i rzuciło w objęcia śmierci. Wśród nich byli złotnicy, sortowali szlachetne kruszce. A było tego bez liku. Pełne skrzynie. Do sortowania i układania był przydzielony oddzielny barak. Warty specjalnej nie było. Zdobyli sobie zaufanie. Dokąd wyniosą? Gdyby nawet sobie cośkolwiek przywłaszczyli, to też z czasem stałoby się własnością Niemców. Ukraińcy natomiast na widok złota szaleli. Zupełnie się na tym nie znają. Wystarczy dać im coś błyszczącego i zapewnić, że to jest złoto. Podczas wysiedlenia przychodzą do każdego domu i żądają szlachetnego metalu. Czynią to bez widzy Niemców. Naturalnie bez terroru nie odbywa się. Wtedy podsuwa im się co się da, a oni zgarniają wszystko. Twarze stają się u nich chwiei i dzikie, ze strach i obrzydzenie patrzeć. Złoto ukrywają skrzętnie. Pochwalą się przed swoimi rodzinami, że przywieźli łup wojenny. Nicktórzy pochodzą z pobliskich wsi, inni znów mają w pobliżu panny, którym przynoszą podarki. Część jednak tych skarbów zamieniają na wódkę. Są strasznymi pijakami. Gdy zauważyli, że Żydzi pracują przy złocie prawie bez kontroli, zaczęli ich zmuszać do kradzieży. Żydzi musieli kraść brylanty, złoto i im oddawać. Gdyby tego nie robili zostaliby przez nich zabici. Dzień w dzień banda Ukraińców wynosiła kosztowności ze skarbcza. Spostrzegł to Niemiec i naturalnie karę ponieśli Żydzi. Zrewidowano ich i znaleziono złoto i inne kosztowności. Nie mogli wyznać, że czynią to pod presją, bo i tak by to mało pomogło. Rozpoczęły się tortury. Miał złoty sen ptaka w klatce o wolności. Gorzej im było obecnie niż innym robotnikom. Naturalnie, że po tym wypadku pozostała połowa. Było ich przedtem 150. Pozostali przy życiu cierpieli głód i nędzę. I męki ich również nie należały do powszednich.

Plac cały był zasiany stosami różnych rzeczy. Rozumie się, że miliony ludzi pozostawiło po sobie miliony różnych ubrań, bielizny i t.p., przy tym każdy wierzyl, że idzie na poniewierkę, ale nie na śmierć, więc zabierano ze sobą co najlepsze, najpotrzebniejsze. Pełne były plecaki, pełne walizy i worki. Żywność najwyborniejsza. Czego dusza zapagnie było na placu w Tremblince. Wszystko w wielkich ilościach. Przechodząc zauważyłem pełen stos wiecznych piór, prawdziwej kawy, herbaty i t.d. Cukierkami było zasiane podwórze obozowe. Dużo tłuszczu przywoziły transporty zagraniczne. Ci ludzie święcie wierzyli, że nadal żyć będą.

Przy sortowaniu pracowali Żydzi. Wszystko układali, każda rzecz miała swoje przeznaczenie. Każda rzecz po Żydzie miała swoją wartość i swoje miejsce, tylko oni nie. Żydzi musieli kraść, by oddawać wszystko Ukraincom. Gdy tego nie robili, ci znajdowali pretekst do wykaręczenia ich. O ile zostali zaś na kradzieży schwytani — na miejscu zabijano ich. Handel szedł dalej. Jeden przerywał, a drugi rozpoczynał. I tak żyli ci wybrani szczęśliwcy. Jednostki spośród milionów — między młotem a kowadłem. Raz przybył transport cyganów z pod W-wy. Było ich 70. Nędzni i biedni. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Przywieźli ze sobą trochę brudnej bielizny, marne gałgany, no i siebie. Gdy weszli na plac ucieszyli się bardzo. Myśleli że znajdują się w zaczerwanym pałacu. Nie mniej jednak cieszyli się ich oprawy. Wykończyli ich tak samo jak Żydów. Po kilku godzinach cisza. Zostały tylko trupy.

Pracowałem w obozie Nr. 1. Obracałem się wtedy swobodnie. Jakkolwiek dużo widziałem, to jednak widok zagazowanych w obozie Nr. 2 był o wiele straszniejszy. Miałem już w obozie Nr. 1 pozostac na stałe. Staraf się o to „Baumoister” Hermann i czeski majster stolarski. Uważali, że nie mają równych mnie rzemieślników, więc narazie byłem im potrzebny. Ale w połowie grudnia 1942 r. nadszedł rozkaz, ażeby wszyscy z obozu Nr. 2 przybyli. Był to rozkaz bezapelacyjny, tak że natychmiast nie jedząc nawet obiadu poszliśmy do obozu Nr. 2. Na samym wstępie obraz święto zagazowanych, którym dentyści obciążkami wyciągali sztuczne zęby. Chwila tego widoku wystarczyła by zniechęcić mnie jeszcze bardziej do życia. Zęby te dentyści sortują według ich wartości i układają. Naturalnie, że co zdołali ukrasć Ukraińcy, stało się ich własnością. W obozie Nr. 2 pracowałem przez pewien czas przy remoncie kuchni. Komendant kuchni zarządził nowe porządki. Transporty w owym czasie mały i nowych sił do pracy nie przybywało. W tym czasie zaczęto wydawać pracownikom obozu Nr. 1 numery. Był to trójkąt ze sóry. Każda grupa miała inny kolor. Noszono je po lewej stronie na piersi. Krążyły pogłoski, że w obozie Nr. 2 będą również numery. Narazie tego nie było. W każdym razie nastawał porządek, nikt obcy z transportu nie mógł się wkraść by przedłużyć swój żywot, jak ja to zrobiłem. Było nam już bardzo zimno. Zaczęli wydawać kocy. Podczas mojej nieobecności w obozie Nr. 2 założyli warsztat stolarski. „Vorarbeiterem” stolarskim był piekarz warszawski. Miał on zrobić nosze do przenoszenia trupów z komór do grobów. Był to sprzęt bardzo prosty. Dwa drążki i deski w odstępach przybijane gwoździami.

Znów przybyło kilka transportów. Skąd były nie wiem. Były też dwa transporty Polaków. Nie widziałem ich żywych i nie wiem jak się z nimi obchodzili przy rozbiieraniu i odtransportowaniu do kamer. Zagazowano ich narówni z innymi. Przy pracy poznaliśmy po mężczyznach, gdyż nie byli obrzezani i słyszeliśmy jak oprawcy do siebie mówią, że przekleci Polacy już buntować się nie będą. Młodzież nasza w obozie nie miała już cierpliwości, chciała zerwać się do buntu, ale to było niemożliwe. Nie zorganizowaliśmy jeszcze napadu i ucieczki. Kontakt z pierwszym obozem nie był nawiązany. Nie trwało to jednak długo. I znów mogliśmy się porozumieć z pierwszym obozem.

Pewnego poobiedzia, w niedzielę, przybył do mnie mój szef Lefler i powiedział, że Hauptsturmführer chce zrobić przy domku przeze mnie zbudowaną bramę podobną do tego domku i mnie tę pracę porucza. Kazał mi narysować projekt. Dałem Hauptsturmführerowi dodatkowe objaśnienia. Wszystko zaakceptował. Podałem wymiary na materiał i zacząłem pracować. Chwyciłem się tego jak tonący brzytwy. Zrozumiałem, że jest to ostatnia okazja do nawiązania kontaktu ze spiskowcami. Znajdowałem często wykręty i przedostawałem się do obozu Nr. 1 i tam omawialiśmy plan z towarzyszami. Ci nie dawali nam definitywnej odpowiedzi. Kazali tylko trzymać się, by nie tracić nadziei i czekać. U nas w obozie, budowano teraz piec, t.j. rusza coraz maszywniejsze, jakgdyby to było potrzebne na wiewi. Młodzież, patrząc na to wszystko rwiała się do czynu. Traciliśmy także cierpliwość.

W obozie Nr. 2 zaczęliśmy się organizować w piątki. Każda piątka miała swoje zadanie do spełnienia. Zgładzenie załogi niemieckiej i ukraińskiej, podpalenie budynków, torowanie uciekającym drogi i. t.p. Wszystko do tego celu było przygotowane, jak tępe narzędzia do zabijania, drzewo na mosty i wiadra benzyny na podpalenie. Data wybuchu powstania wyznaczona była na dzień 15 czerwca. Z braku jednak możliwości odwołano ją. I tak działo się kilkakrotnie. Ustalano różne terminy. Posiedzenia komisji organizacyjnej odbywały się po zamknięciu nas w barakach. Gdy wszyscy już zmęczeni pracą i torturami usypiali, zbieraliśmy się wtedy w kącie naszego baraku, na górnej przycy i odbywaliśmy nasze narady. Młodzież trzymaliśmy w karchach, gdyż wyrwała się i chciała bezplanowo rozpocząć. Myśmy zaś postanowili nic bez pierwszego obozu nie czynić, gdyż byłby to dla wszystkich czyn samobójczy. W naszym obozie była garstka, gdyż nie wszyscy byli zdolni do walki. Jak już wspominałem, traktowanie i wikt były daleko lepsze aniżeli w obozie Nr. 1. W pierwszym obozie było 700 robotników, u nas zaś około 300. Robotnicy pierwszego obozu byli strasznie wygłodzeni, a do tego dołączyły się jeszcze plagi i kary. Najstraszniejsze były ze handel z Ukraińcami. Byłem naocznym świadkiem, jak jednego, za znalezienie u niego kawałka kielbasy, uwiązano w upalny dzień do pala i tak musiał stać bez ruchu. Ponieważ był dosyć silny, wytrzymał i nie wydał Ukrainca z którym handlował. Nadmienić muszę, że o ile dowiedzieli się Niemcy o Ukraincu, który szmuglował, wliczali mu również tegie nahaje, ale ci mścili się później krwawo na Żydach. Żyjąc w tych ciężkich warunkach ludzie zużywali się bardzo prędko. Wtedy Franc sprowadzał ich do płonących pieców (rusztów), przy ogniu torturował w nieludzki sposób, a później pobitych, pokaleczonych dobijał i wrzucał do ognia. W tych warunkach zrozumieliśmy, że pierwszy obóz powstanie. A i tak bez nich nie działaliśmy. Przygotowaliśmy więc wszystko, byliśmy zawsze na straży i czekaliśmy rozkazu.

A tymczasem szło „życie” swoim „normalnym” trybem. Makabryczne pomysły też nie ustawały. Zachciało się załozde zabaw i rozrywek. Tylko tego im brakowało. Urządzali więc przymusowe przedstawienia, koncerty, tańce i t.d. „Artystów” zwalniano na kilka godzin z pracy i urządzano próby. W niedzielę odbywały się pod presją „przedstawienia”, na które przychodzili Niemcy i Ukraińcy. Na chórach pod groźbą śpiewały kobiety. W skład orkiestry wchodziłi trzej muzykanci, których zmuszano do dziennej gry na zbiorce, po katowaniu. W pochodzie do pracy zmuszano do śpiewania żydowskich pieśni. Do nowego przedstawienia uszyto nowe stroje, ale nie doszło ono do skutku, z powodu naszego zamachu i planowej ucieczki.

Od 12 do 13 jadal Niemcy obiad. Żydzi stali wtedy na podwórku przed jadalnią i musieli umilać im obiad śpiewem i muzyką. Ci, którzy do „chóru” należeli, pracowali ciężko, narówni z innymi, tylko, że mieli specjalne godziny wyznaczone na śpiew i muzykę. Wogóle bawili się nasi kaci pozostałą garstką wyśmienieci. Ubierali ich jak błaznów i wyznaczali im funkcje, które nawet nas, zbolalych, pobudzały do śmiechu.

Dawno już nie przybywały transporty do Tremblinek. Aż tu pewnego dnia gdy pracowałem przy bramie, zauważyłem wśród załogi niemieckiej i ukraińskiej inny nastrój. „Stabscharführer” około lat 50, niski, krępy, o twarzy zbrojcekiej, kilka razy wyjeżdżał nawet samochodem. W tym brama otwiera się i wprowadzają około 100 cyganów (był to już trzeci transport cyganów) około 200 mężczyzn, reszta kobiet i dzieci. Za nimi na furmankach — cały ich dobytek. Brudne lachmany, porwana pościel i inne nędzne rzeczy. Przybyli oni prawie bez straży. Tylko dwaj Ukraińcy w niemieckich mundurach prowadzili ich. Ci dwaj, którzy z nimi przyjechali nie byli również świadomi całej prawdy. Chcieli wszystko formalnie załatwić i otrzymać pokwitowanie. Nie wpuszczono ich nawet do obozu. Z sarkastycznym uśmiechem przyjęto ich żądanie. Ubocznie od Ukraińców dowiedzieli się, że przywieźli ofiary do obozu śmierci. Zbledli, nie uwierzyli i znów dobijali się do bramy. Wtedy Stabscharführer wyszedł, podał im zamkniętą kopertę. Z tym odjechali. Cyganów jak wszystkich zagazowano i spalono. Byli oni z Besarabii.

Lipiec dobiegał końca. Dnie upalne, skwarne. Najciężej było pracować przy grobach. Wydobywały się stamtąd straszne wyciewy. Ludzie powracający z tej pracy nie mogli się utrzymać na nogach. Już 75% ofiar było spalonych. Teraz należało ziemię wyrównać i tak uporządkować, żeby nie pozostał żaden znak po krwawej zbrodni. Popioły milczą. Zaczęła się więc praca przy zasypywaniu pustych już grobów. Wrzucano do nich popioły spalonych, zmieszane z ziemią dla usunięcia poszlak. Powstał wolny teren. Należało go zużytkować. Otoczono teren ten kołczastym drutem. Dołączono również szmat ziemi z drugiego obozu pod plantację. Zrobiono próbę zasiania czegoś

na terenie, gdzie spoczywają popioły. Ziemia okazała się urodzajna. Ogrodnicy zasiałi hubin, który pięknie rósł. Gdy teren grobów około 75% wykopano, spalono wszystkich, wyrównano, zasiano i otoczono wysokim parkancem z kolczastego drutu wysadzzonego choinkami. Piersi ich rozpiczała duma, że tego dokonali mogli i uważali, że zasługują na małą i skromną rozrywkę. Zaczęła się ona w ten sposób, że bagier, który wykopywał naszych braci przechodził w stan spoczynku. Podniesiono go więc koszem do góry. Wyglądał on jak wieża, która dumnie sterczy ku niebu. Strzelali na wiat, a następnie była libacja. Pito, dowcipkowano i bawiono się. Nam też się coś udzieliło: mieliśmy kilkudniową przerwę w pracy. Teraz byliśmy już zupełnie pewni, że życie nasze dobiega końca. 25% grobów i my — byliśmy jedynymi świadkami tych barbarzyńskich czynów. Jednak trzymaliśmy się i cierpliwie czekaliśmy wyzwolenia. Ja miałem teraz ciągnąć pracę na terenie pierwszego obozu. Jedna z wież przez przesunięcie terenu obozu Nr. 2 do obozu Nr. 1 przeszła do obozu Nr. 1. Należało ją rozebrać i przenieść do obozu Nr. 2, przy czym pracowałem z moimi ludźmi. Nadal więc porozumiewałem się co do spisku z towarzyszami niedoli pierwszego obozu. Po kilkudniowej przerwie zaczęto wykopywać groby i spalać ostatnie 25% ofiar. Ale, jak zazwyczaj, upały były straszne. Każdy taki grób, gdy go otwierano, wydzielał straszne wyciewy. Raz dla zabawy wrzucili nasi kaci coś płonącego do wykopanego grobu. Natychmiast zaczęły się stamtąd wydobywać kłęby czarnego dymu a ogień tlił się przez cały dzień. Rozumie się, że do niektórych grobów wrzucano natychmiast ludzi po ich zagazowaniu. Ciała ich nie ostygły jeszcze. Leżały przy sobie ściśnięte tak, że przy otwieraniu w upalny dzień para buchała jak z kotła. Raz przy układaniu trupów na ruszt zauważono rękę, która sterczała wzniesiona do góry. Wszystkie palce były skurczone, tylko wskaźujący był sztywny i sterczał wysoko jakby na Sąd Boży zrywał swoich oprawców. Był to „zwykły” przypadek, jednak wszyscy byli podnieceni. Nawet nasi kaci zbledli i nie odrywali oczu od tego straszego widoku. Jak gdyby naprawdę była w tym wszystkim wyższa siła. Ręka ta długo, długo sterczała. Już część paleniska spopielała, a tu ręka ta wyciągnięta ku niebu woła o sprawiedliwość. Ten drobny, nic nie znaczący, wypadek popsuł na kilka chwil humory wszystkim mordercom.

Pracowałem nadal w pierwszym obozie, a na noc wracałem do drugiego. Robilem zagrodę z drzewa brzoźowego. Był to niski parkan dookoła ogrodu kwietnego. Były w tym ogrodzie również zwierzęta i ptactwo. Dookoła było pięknie i spokojnie. Z drzewa zrobiono ławki dla Niemców i Ukraińców. Spokój i cisza zalegały to miejsce. Lecz, niestety, było to siedlisko piekielnych obrad, gdzie napewno o niczym innym jak o torturach nie rozprawiano.

Często komendant pierwszego obozu przypatrywał się z dala mej pracy. Przemówić do nas nie było wolno. Rzucił mi nieraz kilka słów ukradkiem. Był to Żyd około lat 45. Wysoki, miły. Nazywał się Galewski. Pochodził z Łodzi. Z zawodu inżynier. Był on wybrany na „komendanta” w sierpniu 1942 r. podczas gdy powstawały „władze żydowskie”. Był sprężyną całego ruchu organizacyjnego. Ponieważ nie potrafił się spodzić jak inni, tylko uważał się za jednego z nas, wszystkich nieszczęśliwych, był często bity i prześladowany narówni z innymi. W tej chwili, gdy do mnie przystąpił, chcąc się porozumieć, powrócił z trzydniowego karceru. Będąc w karcerze, raz dziennie rano wychodził, dla wyniesienia wiadra z nieczystościami, a później znów wracał do swej ciemnej nory. Teraz wykorzystał ten moment, gdy nikogo przy mnie nie było i dobitnie, kategorycznie żądał, żeby młodzież była cierpliwa, bo zbliża się chwila wyzwolenia. Kilkakrotnie powtórzył mi to tonem rozkazującym. Wyczułem, że jest to naprawdę ostateczny termin, i że koniec zbliża się. Gdy wróciłem wieczorem z pracy zwołałem zebranie i skontrolowaliśmy czy wszystko jest należycie przygotowane. Wszyscy byli podnieceni. Noc spędzono bezsennie. Widzieliśmy się już za wrotami tego piekła. Tymczasem upały coraz bardziej nieznosne. Skwar taki, że trudno utrzymać się na nogach. Do tego wyciewy i straszne ciepło buchało z pieców. Nasi prześladowcy postanowili więc, że będziemy pracować od czwartej rano do 12-ej w południe. O 12-ej zamykali nas na terenie baraków. Byliśmy znów w rozpaczy, że trudno się będzie wy dostać. Jednak i na to znalazła się rada. Wytłumaczyliśmy im, że lepiej będzie gdy prędzej spali się trupy i że są ochotnicy, którzy za nadliczbowy chleb chętnie będą dłużej pracowali. Zgodzili się. Ułożyliśmy dwie zmiany. Od 12-ej do 15-ej i od 15-ej do 18-ej. Wybraliśmy odpowiednich ludzi i oczekiwaliśmy codziennie hasła. Za terenem naszego baraku była studnia, która dostarczała wody do kuchni i pralni. Wykorzystaliśmy i taką „furtkę”, przy której zresztą stała straż. Często niepotrzebnie wychodzono po wodę, by przywykli do naszego przychodzenia.

Obecnie nie było już żadnych transportów, oprócz egzekucji jakie przeprowadzono na poszczególnych Żydach. Nic mogli przecież nasi kaci żyć beczynnice.

Pewnego dnia znów wszyscy w dobrym nastroju. Przywrócić do swojej zbójckiej pracy. Mają męczenników. Przybył transport z Warszawy, który miał rzekomo wyjechać zagranicę. Byli to ludzie dobrze usytuowani. Poznać po nich było ich dobrobyt. Było ich około 1.000 osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Zrozumiliśmy, że jest to transport ludzi, którzy zapłacili grube pieniądze, za to by ich zawieść w bezpieczne miejsce. Zabrano im wszystko. Trzymano ich w Warszawie, jak się później dowiedziałem, w pierwszorzędnym hotelu polskim na Długiej, i wykończono w Tremblince. Poznaliśmy kim są po dowodach, gdy pracowaliśmy przy sortowaniu rzeczy. Zginęli jak wszyscy.

Tak samo przywozili transporty zagraniczne. Mówili im, że wiozą ich na wysiedlenie do Tremblinki. A ci wychylali głowy z wagonów na stacjach i pytali się zupełnie spokojnie, jak daleko jeszcze do Tremblinki. Chcieli już zmęczeni dotrzeć do tego azylu gdzie wypoczną po podróży. Przybyli. I nie mieli nawet czasu przestraszyć się i dziwić, a już poczęli na wieki. Dziś już lubin rośnie na ich popiołach.

Po tym transportie przybył transport z Tremblinki karnej. Było około 500 Żydów. Wszyscy nawpół żywi. Spracowani, wyczerpani i zmasakrowani. Patrząc na nich zdawało się, że o śmirci sami już proszą. Zabito ich jak wszystkich.

Już byliśmy bliscy kresu naszej męczarni. Termin wyzwolenia zbliżał się. Wtedy szef mój, Lefler, który mnie tak dobrze traktował, został wysłany do Majdanka. Chciał koniecznie mnie zabrać ze sobą do prac. Byłem w strasznym położeniu. Wiedziałem, że nieubłagana śmierć czeka na każdego z nas. Wyrok wydany. Jeśli przybędę do Majdanka nie będę mógł w nowych warunkach tak szybko drogi do wolności sobie utorować. Dużo czasu upłynie, nim poznam nowych ludzi i nowe warunki. Ale wybór miejsca nie zależał ode mnie. Musiałem jeszcze udawać zadowolonego, że Lefler mnie wyróżnił. Na moje szczęście Hauptsturmführer nie pozwolił mnie stąd zabrać. Byłem mu narazie jeszcze potrzebny. Mnie to również dogadzało. W tym samym czasie, nie wiem pod wpływem czego, kazano nam listy pisać. Byli i tu naiwni, którzy to czynili. Naturalnie nie wszyscy. Później sam widziałem, jak te listy palono. Czy to był kaprys, zabawa albo coś innego — nie wiem.

Data ostateczna, nicodwołalna, powstania była oznaczona na dzień 2 sierpnia. Czuliśmy, że ten termin jest pewny. Krzataliśmy się dokoła wszystkiego. Czy przygotowane jest i czy ludzie pamiętają o swoich stanowiskach. Ułożyło się tak, że odszeregowane dni nie przychodziłem do obozu Nr. 1. Robiłem budynec osmiokątowy z wiszącym dachem, podobny do wartowni, dla ukrycia w nim studni. Budowałem budynec ruchomy do rozczepienia w obozie Nr. 2, a później miałem go przenieść do obozu Nr. 1 na stałe. Niecierpliwio mnie to, gdyż nie mogłem się z pierwszym obozem porozumieć, a ostatecznie data zbliża się. Dzień 2 sierpnia 1943 r. był upalny. Słońce świeciło i przez nędzne, małe, zakratowane okienka promienie jego wkradaly się do naszych baraków. Nie zmrzyliśmy oczu przez całą noc. Świt zastał nas na nogach. Każdy czuł ważność chwili. Myślano o wolności. Obrzydło już wszystko. Zemsta na katach i wolność. Sam marzyłem ażby gdzieś w lasku usnąć spokojnie i wypocząć. Ale teraz zrozumieliśmy jakie ciężkie zadanie mamy do spełnienia. Jak już wspominałem, — dokoła wieże obserwacyjne. Na nich straż z bronią. Na każdym kroku Ukraińiec lub Niemiec uzbrojony. My o 12-cj godzinie zamknięci na terenie baraków. Cały obóz otoczony tyłoma parkanami i rowami. A mimo to dosyć już było tej męki, tych strasznych widoków. Chcieliśmy skończyć z tym. Ja za cel sobie obrałem, by to opisać. Naszkicować plan miejsca zbrodni i świata pokazać. To dało mi mocy do walki z tymi szatanami. I gdy cel sobie ten ogólny wybrałem, lżej mi było wytrwać w niedoli. A teraz niemal czułem, że cały i wolny wyjdę z tej wyprawy. W powietrzu czuć było nadchodzącą burzę. Wszyscy w silnym napięciu. Niemcy i Ukraińcy nie nic przeczuwają. Oni zgładzili miliony, mają przecież już taką rutynę, a dziś obawiać się mają tej nędznej garstki? Wydają rozkazy, które wykonuje się jak zawsze. Ale my, którzy należymy do komisji jesteśmy niespokojni. Brak nam danych. Nie znamy jeszcze godziny. Kręcę się jak szalony. Pracuję, robię wszystko, ale boję się strasznie, że kontaktu nie nawiążemy i zginiemy marnie.

Znalazłem sposób połączenia się z obozem Nr. 1. Szefa mego, Leflera, nie ma już. Jest nowy, nazwiska jego nie znam. Przezywamy go „Brazową koszulą”. Do mnie odnosi się bardzo dobrze. Podechodzę więc doń i proszę o deski. Skład desek jest w obozie Nr. 1. On, nie chcąc mi przerywać pracy idzie z innymi. Przynoszą deski. Ja oglądam je, mierzę je, mówię, że są niedobre. Muszę, niestety, sam iść i wybrać. Prostuje się i krzywie, jakgdyby mi to nie dogadzało. Idę z szefem do składu i drzę ze wzruszenia. Czuje, że o ile nie wykorzystam tej sposobności — przepadliśmy. Już jestem w obozie Nr. 1. Rozglądam się dokoła niespokojnie. Czy dane mi będzie wykonać tak wielkie zadanie. Mam przy sobie jeszcze trzech ludzi. Składu pilnował Żyd około lat 50, w okularach, nic o nim nie wiem, gdyż był w obozie Nr. 1. Należał do spiskowców. Trzej moi pomocnicy rozmawiali z szefem niemieckim, a ja niby wybierałem deski. Rozmyślnie oddzieliłem się od wszystkich i przebierałem ciągle. Nagle słyszę, jak ktoś mi szeptem do ucha. „Dziś nieodwołalnie piąta minut trzydzieści popołudniu”. Odwracam się obojętnie i widzę przed sobą tego Żyda, który pilnuje desek. Powtarza mi to jeszcze raz i dodaje. — „Będzie hasło”. — Przecieram oczy i sam sobie nie wierzę.

Gończkowo biorę te deski, które mam pod ręką. Każę je kolegom zabrać i idą do pracy. Drzę. Boję się, żeby nie poznano po mnie wzruszenia. Tak przeszedł czas do 12-cj. O 12-cj wszyscy wrócili z pracy. Znow zbiorła naszej komisji. Podajemy im wszystko do wiadomości. Proszę, żeby wszyscy byli spokojni pamiętali o swoich obowiązkach. Młodzień jest bardzo podniecona. Patrząc na naszą garstkę, zaczynam wierzyć w zwycięstwo. Wybieramy ochotników na pracę poobiednią. Pierwszą partję wybraliśmy słabszą i marniejszą, nie miała ona żadnych zadań do spełnienia. Partja ta powróciła o 15-cj z pracy. Wtedy poszli nasi ochotnicy. Było ich 30. Najmilszi, najmężniejsi i najsilniejsi. Oni to mieli torować drogę uciekającym w różny sposób. Oprócz tego wybrano odpowiednich ludzi do studni. Przed 17-ą było wielkie zapo-

trzebowanie na wodę. Otworzono zupełnie bramę, która prowadziła do studni i z potrzeby powiększono ilość wodonozsów. Ci, którzy pracowali przy trupach nosili tylko znaczne kombinезony. Za noszenie ubrania dostawało się 25 nahaji. Tego dnia nalożyli pod kombinезony ubrania. Przed ucieczką musieli kombinезony zrzucić, gdyż w innym razie poznano by ich. My zostaliśmy w baraku. Skupiliśmy się i jeden patrzył na drugiego. Co chwila inny przypominał, że czas się już zbliża. Co się z nami działo, trudno opisać. Żegnaliśmy w duchu mjejsce, gdzie spoczywają popioły naszych braci. Żal i cierpienie przykuły nas do tego mjejsca. Tu, skąd my żywi jeszcze chcemy uciec, zginęło tylu niewinnych. Wielkie ich szeregi, korowody śmierci stały nam wyraźnie przed oczyma i wołały o pomstę. My wiemy co ziemia pochłonęła, jesteśmy tego jedynymi świadkami. W milczeniu żegnaliśmy się z popiołami naszego narodu i przyrzekaliśmy, że z krwi jego powstanie mściciel.

Wtem słyszemy hasło: strzał w powietrze.

Zrywamy się. Każdy rzuca się szybko do swojego zadania już poprzednio wyznaczonego. Spełnia wszystko sumiennie. Do trudnych zadań zaliczono ściągnięcie Ukraińców z wież obserwacyjnych. Gdyby oni z góry zaczęli miotać na nas kulami, nie uszlibyśmy żywi. Szalony pociąg mieli do złota i ciągle handlowali z Żydami. Gdy padł strzał, zbliżył się do wieży jeden z handlarzy i pokazał Ukraincowi złotą monetę. Ten zupełnie zapomniał, że jest na posterunku, zostawił kaem i zbiegł pędem zgóry, ażeby skarb od Żyda wyludzić. Dwaj inni Żydzi czekali już nań z boku. Znienacka go schwycili, wykończyli i zabrali broń. Również straż z wież wykończono szybko. Po drodze każdego napotkanego zabijano. Napad był nagły. Nie zdążyli się nawet zorientować, a już droga stała dla nas otworem. Z wartowni wyniesiono broń i każdy brał co mógł. Natychmiast po sygnale zabito przy wartowni wachmana i zabrano mu broń. Wszyscy wybiegliśmy z baraku, każdy zajął swój posterunek. W przeciagu kilku minut wszystko płonęło. Wypełniliśmy wzorowo nasz święty obowiązek. Ja chwyciłem za broń, siekłem dokoła siebie gęsto, a gdy zauważyłem, że wszystko płonie a droga do ucieczki utorowana, złapałem siekiere oraz pilę i uciekłem. W pierwszej chwili byliśmy panami sytuacji. Ale w następnym już momencie pościg zaczął się ze wszzech stron. Z Malkini, Kosowa, z karnej Tremblinki. Gdy tam zauważono i usyszano strzały, przybyli na pomoc. Naszym celem było ujście w las. Najbliższy las był od nas oddalony o 8 km. Biegaliśmy po bagnach, łąkach i rowach. Co krok strzelano za nami. Każda chwila była cenna. Byle do lasu. Tam zboje nie wejdą. Gdy pędząc co tchł przed siebie, zdawało mi się że jestem uratowany — usłyszałem tuż za sobą „stój”. Byłem już bardzo wyczerpany. Mimo to biegłem jeszcze szybciej. Widzę las już bardzo blisko. Nieomal kilka kroków. Natężam całą siłę woli by wytrwać. A tu pościg coraz bliżej. Już słyszę kroki mego prześladowcy. Nagle słyszę huk i w tym samym momencie czuję w lewej łopatce silny ból. Odwracam się, przede mną wachman z Tremblinki karnej. Celuje znów we mnie z rewolweru. Automat dziewiątka. Znam się dobrze na broni. Zauważyłem, że rewolwer zaciął się. Wykorzystałem ten moment, zwołniłem celowo kroku. Wyciągnąłem siekiere z pasa. Ukraińiec sam dobiegł do mnie krzycząc po ukraińsku: Stój bo będę strzelał! Zbliżyłem się do niego i przeciąłem mu lewą pierś siekiere. Padł u moich nóg z krzykiem J... twaju m... Byłem wolny i wbiegłem do lasu. Gdy już uszedłem spory kawałek, usiadłem wśród krzaków. Zdała słyhać było gęste strzały. Kula mnie nie zraniła o dziwo! Przebiła wszystko na mnie i odbiła się o łopatkę, pozostawiając znak. Wypoczywałem sam jeden.

SPIS RZECZY

| | Str. |
|---|---------|
| KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Odejścia i Powroty</i> | 621—740 |
| BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Kupiec Wenecki</i> | 741—742 |
| MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Plejady; Pod mapą nieba</i> | 742 |
| MIECZYSLAW LISIEWICZ — „ <i>Raz śniło się Brunhildzie...</i> ” | 743—753 |
| ARTHUR KOESTLER — <i>Inteligencja</i> | 753—762 |
| STEFAN THEMERSON — <i>Z wielu możliwych spojrzeń na artystę — jedno</i> | 762—767 |
| TADEUSZ POTWOROWSKI — <i>Klub obserwatorów</i> | 768—771 |
| CZESŁAW BEYOT — <i>Biskajski Patrol (dokończenie)</i> | 771—773 |
| MIECZYSLAW PRUSZYŃSKI — <i>Koledzy z eskadry szkolnej</i> | 774—781 |
| LUDWIK KNĘBLEWSKI — <i>Nie ma Boga, tylko Allah</i> | 781—787 |
| <i>Rok w Tremblince</i> | 788—796 |

TOM IV

TOM V

Prenumerata roczna na 1945 rok

£1.16.0

nie zmieniona

£1.16.0

* * *

CZASOPISMO POLSKIEJ MYŚLI NIEZALEŻNEJ



NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciołkosz, Czuchnowski, Danilewiczowa, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Gorka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Hertz, Hładki, Janta, Karpiński, Konarska, Kossowski, Kot St., Kriedel, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Potworowski, Pragier, Ksaw, Pruszyński, M. Pruszyński, Słonimski, Sokółow, Stańczyk, Stawiński Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szerbic, Szczytt-Lednicka, Solski, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Wałigórski, Wieniewski, Witlin, Wójcicki, Zahorska, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3/-. Abonament roczny z przesyłką:

| | | | | |
|---------------------------|-----|-----|-----|---------|
| w W. Brytanii i Dominjach | ... | ... | ... | £1 16 0 |
| w Ameryce Płn. i Płd. | ... | ... | ... | \$7.50 |
| Roczniki Oprawne za 1942 | ... | ... | ... | £1 6 0 |
| " " " 1943 | ... | ... | ... | £1 15 0 |
| " " " 1944 | ... | ... | ... | £2 0 0 |

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.

TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub. czeków.

ROCZNIKI OPRAWNE

ZA UBIEGŁE LATA SĄ NA WYCZERPANIU
I NIESTETY ŻADNYCH ZGŁOSZEŃ NIE JESTEŚMY
W STANIE UWZGLĘDNIĆ

SKOROWIDZE ZA 1944R. BĘDĄ WYSLANE

tylko stałym prenumeratom

ZA UPZEDNIM PISEMNYM ZGŁOSZENIEM

KTO PAMIĘTA O SETKACH RANNYCH i CHORYCH
ŻOŁNIERZY W SZPITALACH

w Anglii, Francji i we Włoszech,

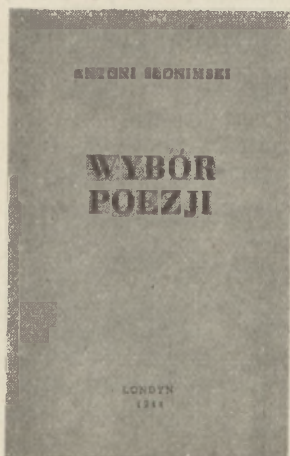
TEN NIE ZWLEKAJĄC

zamówi w administracji „NOWEJ POLSKI”

GWIAZDKOWY KOMPLET

poniższych książek wraz z wysyłką i opakowaniem za cenę

£ 1.5.6



Z pełnym prawem wyszynku trunków

BAYSWATER HOTEL & RESTAURACJA

(Kierownictwo: D. Fobbri)
121, BAYSWATER ROAD,
LONDON, W. 2.

naprzeciw Hydeparku,
obok Queens Road stacji kolei podziemnej.

KUCHNIA KONTYNETALNA

Obiady po 3/6 od godz. 12 — 3

Kolacje po 5/- od godz. 6:30—10

Dodatkowych opłat nie dolicza się

LEY-ON'S CHOP SUEY

Restauracja chińska

91. Wardour Street
London, W. 1

tel. GERrard 5875

otwarta-codziennie od godz. 12,
a także i w niedziele

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

POLONIA RESTAURACJA

29, Grosvenor Gardens,
London, S.W.1.

Wyborna kuchnia polska pod
kierownictwem p. Harris

Polonia londyńska i zamiejscowa mile
widziana.

Polski Kuśnierz
dawniej Katowice

LANGER & CO.

(Furriers) Ltd.,

59, KNIGHTSBRIDGE,
LONDON, S.W.1.

Tel.: SLOane 3626

Wykonujemy **NOWE FUTRA**
i przeróbki z własnych i
powierzonych materiałów.
Specjalne udogodnienia dla
prowincji.

UWAGA!

Wyjątkowa 25%-towa niż-
ka cen futer gotowych na
składzie.

Zapraszamy do zwiedzenia
naszego zakładu kuśnier-
skiego.

Dom zastawny
i jubiler

B. BOSHER
& SONS

464, Edgware Road,
London, W. 2

tel. PADdington 1482

Pożyczki na futra i biżuterię
Kupno i sprzedaż używa-
nych futer

Przechowywanie i konser-
wacja futer

POLISH **ARTISTS**

in Great Britain

with an essay on
Polish Art by

C. POZNAŃSKI

5/6

Published by
„Nowa Polska”

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i



KOLACJE

Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I

Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA
FRANCUSKA

LACOQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

L'ESCARGOT

BIENVENU RESTAURANT
maison française

Partners:

GEO GAUDIN ALEX GAUDIN
(French)

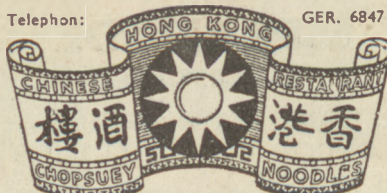
48, Greek Street, Shaftesbury Av.
London, W 1

Tel.: GERrard 4460

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Ad-
vertising Offices, The Carlton Berry Co.,
Grand Buildings, Trafalgar Square, London,
W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

Telephon:

GER. 6847



HONG KONG CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

Nowo otworzona restauracja

DUDLEY-COURT RESTAURANT

69, Edgware Road

London W. 1

zaprasza P. T. Obywateli Polskich na smaczne OBIADY i KOLACJE

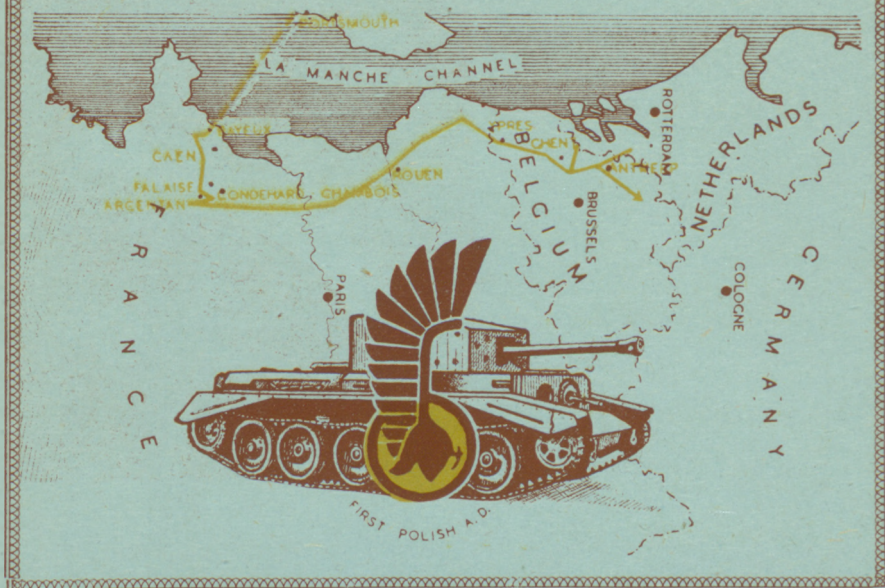
~~~~~ Mówi się po polsku ~~~~~

W bufecie zawsze świeże polsko-czeskie specjalności

... A TYMCZASEM  
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA

TEGOROCZNE AKTUALNE KARTKI ŚWIĄTECZNE

poświęcone Dywizji Gen. Maczka



聚英酒樓

CHOY'S

CHIŃSKA RESTAURACJA

Najlepsza kuchnia chińska w Londynie

otwarta codziennie od 12—10 w nocy

także w niedziele

26—28, Dean Street, London, W. 1

Tel.: GERrard 6086

Dodatkowych opłat nie dolicza się

CASA PEPE

restauracja hiszpańska  
znana klienteli polskiej ze  
swych doskonałych  
specjalności

Osobiste kierownictwo  
właściciela

J. SOLSONY

52, DEAN STREET,  
róg Shaftesbury Ave., W. 1

tel.: GERrard 3916

RAJAH'S  
RESTAURACJA ALIANTÓW

17. IRVING STREET (dawniejsza GREEN STREET)  
LEICESTER SQUARE, -:- -:- LONDON W.C. 2.

Otwarta do godziny 10:30, w niedziele do godziny 10tej.

Śniadania i obiady 5/-

Całkowita licencja. — Dodatkowych opłat nie dolicza się.  
DANIA ANGIELSKIE, INDYJSKIE I KONTYNENTALNE

Telefon : ABBey 4188

„Doktorze,

proszę mi

powiedzieć . . .

*Teraz kiedy znów  
jestem zdrow, w jaki sposób mogę na przyszłość  
uniknąć ponownego ryzyka zakażenia krwi?”*



— Nie należy nigdy myśleć, że małe zacięcie jest nieszkodliwe.

Każde pęknięcie skóry, choćby najmniejsze, tworzy szeroko otwartą drogę dla mikrobow, które powodują infekcję. Jeśli jednak zostanie natychmiast wydezynfekowane „Dettol'em”, uchroni każdego przed zakażeniem krwi i dalszymi cierpieniami.

Nie należy sądzić, że cechą charakterystyczną środków przeciwmikrobowych musi być woń nieprzyjemna, kolor niewyraźny, lub właściwości trujące. Żadnej z

tych cech nie należy łączyć z siłą, która powstrzymuje rozszerzanie się infekcji. „Dettol” nie jest trujący. Jest czystym i przezroczystym płynem o przyjemnym zapachu i nawet nie brudzi bielizny. Jednak w walce z mikrobami „Dettol” jest o wiele bardziej skuteczny od czystego kwasu karbолоwego.

Oto dlaczego używany jest w oddziałach chirurgicznych i położniczych największych szpitali i dlaczego ten środek niezawodny i przyjemny powinien się znajdować w każdym domu.

30302

II

# NOWA POLSKA

## MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 12

ANTONI SŁONIMSKI  
ZYGMUNT HAUPT  
MARIA PAWLIKOWSKA  
PORUCZNIK HERBERT  
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI  
ALEKSANDER PISKOR  
STEFAN THEMERSON  
STEFAN ŁĘCZYC  
JULIAN STAWIŃSKI  
TOLA KORIAN  
TOMASZ JANTA-POLCZYŃSKI  
TADEUSZ RÓŻYC  
EUGENIUSZ CĘKAŁSKI

Wydano z dotychczas  
Bibl. PAN  
w Krakowie

LONDYN  
GRUDZIEŃ

1944





1/6 & 2/6 Including Tax

*Wilerbys*

**Kawiarnia — Restauracja**

Obiady — Podwieczorki taneczne  
Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe  
Orkiestra kontynentalna

— Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

**VANEK** zaleca klientom oswo-  
dzonych krajów zaopat-  
rzenie się w kostiumy,  
palta na spodzie futrzanym i t. d. z  
najlepszych angielskich materiałów.  
Wszelkiego rodzaju futra i reperacje.  
Na składzie są futra męskie.

**VANEK**

4, WILLIAM STREET,  
KNIGHTSBRIDGE, S.W. 1

a także w Bournemouth

... A TYMCZASEM  
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**

**POLSKI KUŚNIERZ**

dawniej Katowice

**LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.**

59 Knightsbridge, London S.W. 1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z  
własnych i powierzonych materiałów.

**UWAGA!** Wyjątkowa 25%-towa zniżka  
cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

**L'ESCARGOT**

BIENVENU RESTAURANT  
maison française

Partners:

GEO GAUDIN ALEX GAUDIN  
(French)

48, Greek Street, Shaftesbury Av.  
London, W 1

Tel.: GERrard 4460